

MARGIT SANDEMO

SKRZYDŁA DEMONA

Tajemnica czarnych rycerzy tom 09

Tytuł oryginału: „Demonens vinger”

Streszczenie

Rozpoczęła się ostatnia wielka ekspedycja. Grupa się podzieliła. Jordi, Unni, Pedro, Gudrun i Juana prowadzą poszukiwania w Galicji z zamiarem poruszania się na wschód, natomiast Antonio, Morten, Sissi i Flavia wyruszyli z Nawarry i podążają śladem tych, którzy wieźli skarb, na zachód.

Nikt z nich nie wie, że kaci inkwizycji sprowadzili z Ciemności dwa demony, Tabrisa i Zarenę. Ich zadaniem jest dowiedzieć się, jaki jest cel poczynań grupy, lecz mogą podjąć decyzję o unieszkodliwieniu zbędnych lub niebezpiecznych uczestników ekspedycji. Rycerze nie są już w stanie dłużej pomagać swoim sprzymierzeńcom.

W Santiago de Compostela Jordi wraz z towarzyszami trafił do sali tortur katów inkwizycji i mało już brakowało, a zginęliby z ich rąk, lecz ocalił ich Tabris, rozwścieczony przez mnichów. Demony miały wszak śledzić tych ludzi aż do osiągnięcia przez nich celu, zabić można ich będzie dopiero później.

Zarena przysparza wielu kłopotów grupie Antonia. Kiedy dotarli do Baskonii, udało jej się podstępem nakłonić Antonia do opuszczenia przyjaciół.

Grupa Jordiego znajduje się teraz w maleńkiej wiosce Veigas na pustkowiach Asturii. Towarzyszy im Tabris, przeobrażony w miłego młodego człowieka, Miguela. Uprawdza on Unni, która budzi się w jakimś ciemnym, zakurczonym pokoju.

KILKA SŁÓW O BOHATERACH:

Unni Karlsrud

21 lat. Ukochana Jordiego, potomkini rycerza *don Sebastiana de Vasconia*. Zostało jej trzy i pół roku życia, jeśli nie zdołają rozwikłać zagadki rycerzy, a tym samym zniweczyć przekleństwa.

Jordi Vargas

29 lat. Wybrany przez rycerzy, którzy licząc na jego pomoc, odroczyli o pięć lat jego ostateczną śmierć. Potomek *don Ramira de Navarra*. Pozostały mu trzy miesiące życia.

Antonio Vargas

27 lat. Brat Jordiego, nie jest dotknięty przekleństwem. Świeżo upieczony lekarz.

Vesla Odegård Vargas

23 lata. Żona Antonia.

Morten Andersen

24 lata. Potomek don Ramira, pozostały mu trzy miesiące życia.

Sissi

22 lata. Potomkini *don Garcii de Cantabria*, pozostały jej trzy lata życia. Szwedka, zakochana w Mortenie.

Gudrun Vik Hansen

66 lat. Babcia Mortena.

Don Pedro de Veín y Galicia

61 lat. Potomek DON FEDERICA DE GALICIA, niedotknięty przekleństwem.

Flavia

44 lata. Włoszka, macocha Mortena.

Juana

Hiszpanka, młoda uczona, zakochana w Miguelu.

Rycerz *don Galindo de Asturias* nie ma żyjących potomków.

Po stronie zła:

Emma Lang

Bardzo piękna, lecz na wskroś zła młoda dama.

Alonzo

Jej kochanek, przywódca hiszpańskich łotrów.

Tommy, Kenny i Roger

Trzej norwescy kryminaliści.

Chudy mężczyzna

Nieznany, wciąż czai się z tyłu.

Thore Andersen

Jego szofer i pomocnik.

Asystent chudego

Postać zupełnie nieznana.

Leon

Dawniej kochanek Emmy i przywódca bandytów. Teraz wcielił się w czarnoksiężnika *Wambę* i pilnuje skarbu, którego poszukują wszyscy stojący po stronie zła.

Pięciu diabelskich katów inkwizycji

Na początku było ich trzynastu, lecz czarownica *Urraca*, przyjaciółka rycerzy, wyeliminowała jednego z nich, jednego zniszczył Jordi, Unni zaś rozprawiła się z sześcioma. Nazywają siebie świętymi mnichami, lecz można o nich powiedzieć wszystko, tylko nie to.

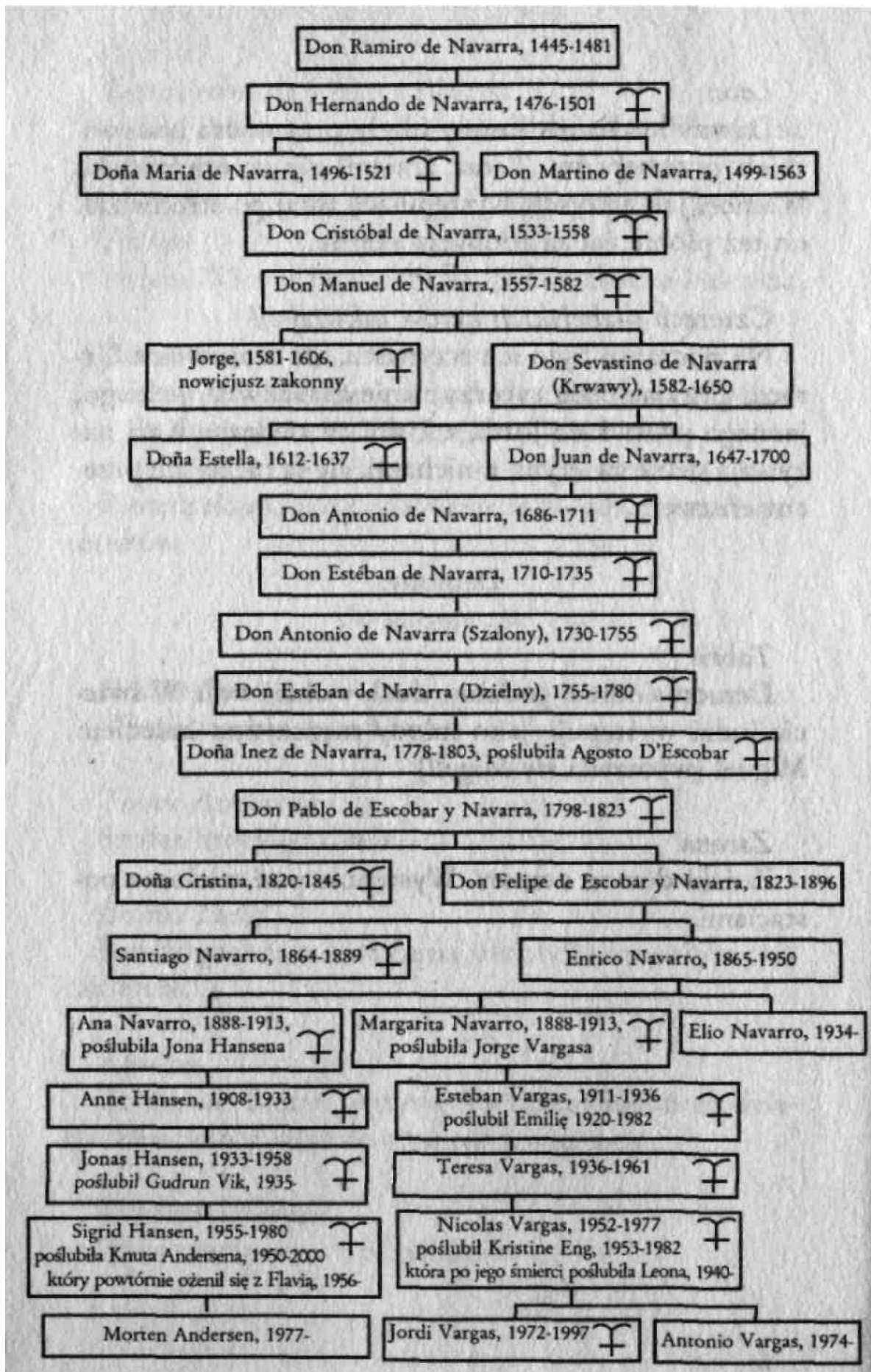
Demony:

Tabris

Demon szóstej godziny, duch wolnej woli. W świecie ludzi występuje pod postacią młodego człowieka *Miguela*.

Zarena

Żeński demon zemsty; ukazuje się w wielu postaciach.



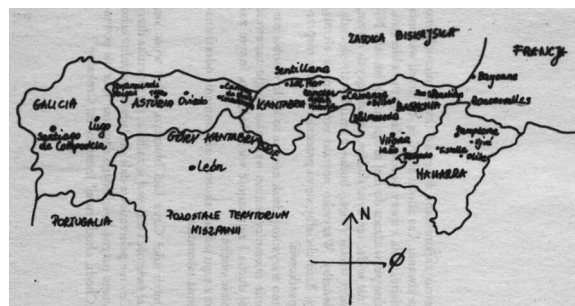
Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią, ukryte. Któż chciałby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha i zamożność wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

A może nie? Czyż liści bluszczu, który wijąc się, ometał świętość i usiłował ją zadusić, nie przenika drzenie? Czy nie pobrzmiwa dalekie, ledwie słyszalne echo pokrytego patyną kościelnego dzwonu? Czy nie powtarza: „Chodź, chodź tutaj! Jesteśmy tu. Czekamy”?



CZEŚĆ PIERWSZA
SPLATAJĄ SIĘ WĄTKI

1

Kurz pod rękami Unni wydawał się grubym dywanem.

Leżąc, nie śmiała się poruszyć. Może wielka ręka, która spoczęła na jej klatce piersiowej, zniknie, gdyby Unni udało się nie oddychać?

Tak się jednak nie stało. Zamiast tego ręka zaczęła się przesuwać po górnej połowie jej ciała w sposób, który należało uznać za stanowczo zbyt natrętny. Unni zdrętwiała ze strachu.

Nagle usłyszała na wpół szepczący głos:

- Dobry Boże, rzucili mnie obok trupa! Unni drżąco wypuściła powietrze z płuc.

- Antonio?!!! Co ty tutaj robisz? Dłoń natychmiast się cofnęła.

- To ty, Unni? I co znaczy „tutaj”?

- Nie wiem. Myślałam, że jestem w Veigas, ale słyszę ruch uliczny.

- Nic z tego nie rozumiem! Jechałem samochodem razem z resztą przez Baskonię i nagle ocknąłem się tu, wszystko jedno, co to za miejsce.

- A ja? - Unni w czasie, gdy dłońmi usiłowali wymacać coś, co powiedziałyby im, gdzie są, szukała w pamięci. - Ja stałam w blasku księżyca nad brzegiem strumienia w Veigas, na granicy między Galicią a Asturią, a potem... Nic więcej nie pamiętam.

- Ja też nie. Było coś z jakimś samochodem, który nas dogonił i zatrzymał. Potem jakby wszystko zatarło mi się w pamięci.

Usiedli. Unni rozkaszała się od kurzu, który podrywał się w górę od najmniejszego ruchu.

- Jak to możliwe, że razem trafiliśmy w to samo miejsce? - zachodził w głowę Antonio. - Mój Boże, przecież Galicję od Baskonii dzieli co najmniej sześćset kilometrów. Tymczasem jesteśmy tu oboje. Doprawdy, nic z tego nie mogę pojąć!

Wstał i uderzył głową o jakąś belkę. Zaklął dyskretnie.

- Ciasno tutaj - skomentowała Unni.

- To prawda. - Antonio próbował myśleć, lecz raczej nie dlatego rozcierał głowę. - Chodziło o coś z Veslą...

- Z Veslą? Ojej, na pewno nie dostałeś wiadomości! Vesła leży w szpitalu!

- Co?

Wybuch Antonia był tak gwałtowny, że kurz otoczył twarz Unni gęstą chmurą. Zabrakło jej tchu, zdołała jednak wykrztusić kilka uspokajających słów.

- Vesla już się dobrze czuje, dziecko też, jeszcze się nie urodziło. Ale przez moment sytuacja obojga była krytyczna. Przecież już od jakiegoś czasu Vesla skarżyła się na puchnięcie. Ciśnienie, zdaje się, niebezpiecznie jej podskoczyło.

Antonio zaklął znów, teraz już mniej dyskretnie.

- Jak ja się stąd wydostanę? Muszę z nią porozmawiać. Ale nam ukradziono telefony komórkowe, więc nie mam możliwości porozumienia się z nią.

- Za to ja mam swój telefon - uspokoiła go Unni. - Proszę. Zaczekaj, wyłączyłam go na noc, nie przypuszczaliśmy, że na pustkowiu będą mogły się nam do czegoś przydać, w dodatku o tak późnej porze. Już, gotowe! Zadzwoń do mojej mamy, dowiesz się dokładnie, jak skontaktować się z Veslą.

- Dziękuję, Unni! Nie pojmuję, jak się tu znaleźliśmy, ale cieszę się, że tu jesteś.

- Ja również. Nie, wcale się nie cieszę, to znaczy... Och, wiesz, o co mi chodzi. Ale, gdzie my, u diabła, jesteśmy? I jak się wydostaniemy?

Po omacku posuwali się wzdłuż ścian ciasnego pomieszczenia. Mało brakowało, a Unni pokaleczyłaby się o jakiś gwóźdź. Znaleźli w końcu drzwi, lecz okazały się one starannie zamknięte na klucz i za nic nie dawały się otworzyć. Zresztą czego innego mogli się spodziewać?

Otrzepli w końcu ręce i dzięki temu poczuli się potem choć odrobinę czystiej.

Kolejne minuty poświęcili na rozmowy telefoniczne. Antoniowi udało się porozmawiać z Veslą, oboje byli bardzo wzruszeni tą rozmową. Unni bardzo nie chciała podsłuchiwać, ale gdzie się miała podziać?

- Wracam do domu pierwszym samolotem! - wykrzyknął Antonio do słuchawki.

Vesla zapewniła go, że nie jest to wcale konieczne. Niebezpieczeństwo już minęło, usunięto jej mnóstwo wody z ciała, poddano leczeniu i przepisano lekarstwa na przyszłość. Nie trzeba też było przyspieszać porodu, bo małe serduszko dziecka było mocno i rytmicznie, zresztą Vesla miała być pod stałą opieką lekarską. Owszem, tęskniła za Antoniem, gdy była chora i wystraszona, ale gdy tylko się dowiedziała, że dziecko ma przed sobą całe, normalne ludzkie życie, od razu wszystko wydawało się łatwiejsze.

Antonio w pierwszej chwili nie zrozumiał nic z tego wyводу.

Vesla opowiedziała mu więc całą smutno - wesołą historię o dziecku, którego spodziewali się Jordi i Unni. Prawda ta kompletnie go osłabiła tnie wiedział, jak powinien zareagować. Na usta cisnął mu się okrzyk: „Jak, u diabła, mogliście być tacy nieostrożni!”, powstrzymał się jednak w porę. Przyganiał kocioł garnkowi!

Vesla wypowiedziała słowa, które wszyscy wciąż mieli w myślach i stale powtarzali:

- Rozwiążcie zagadkę, pozbądźcie się całego przekleństwa! Jedyne to może pomóc!

Antonio zrozumiał wtedy, że jego miejsce jest teraz w Hiszpanii. Zakończył rozmowę, a potem uściskał Unni. Ten gest powiedział więcej niż słowa.

Do jego grupy nie mogli telefonować, bo nikt z niej nie miał już aparatu, ale Unni oświadczyła:

- Teraz moja kolej na dzwonienie!

Grupa w Veigas zorientowała się już, że Unni zniknęła. Z początku współtowarzysze przyjęli jej nieobecność stosunkowo spokojnie, zajrzeli do miejsc, w których mogła przebywać, od czasu do czasu wołali ją po imieniu. Wkrótce jednak zrozumieli, że sytuacja jest poważna. Coraz bardziej zrozpaczeni szukali już wszędzie, zaglądali do każdej chałupy w opuszczonej wiosce, przetrzasnęli okoliczny las, spory kawałek szli w dół strumienia, wzywając ją stale, jak najgłośniejszym głosem, aż wśród skalnych ścian niosło się echo.

Oczywiście próbowali też do niej dzwonić, lecz Unni miała telefon wyłączony. Poinformował ich o tym chłodny damski głos z taśmy, doszli więc tylko do wniosku, iż niemożliwe, by Unni wpadła do wody. Cóż, zawsze to jakaś pociecha!

Jordiego niemal paraliżował strach. Dlaczego pozwolił jej wracać samej? Skąd miał tę pewność, że tutaj nic im nie grozi? Przecież oni nie są bezpieczni w żadnym miejscu, na tym etapie poszukiwań dawno już powinni o tym wiedzieć.

Zaraz, gdy tylko się okazało, że Unni zniknęła, Jordi bez pukania otworzył drzwi do pokoju Miguela, lecz młody człowiek usiadł zaspany na łóżku, pytając, co się stało. Potem pomógł im szukać, a Jordiego ogarnęły wyrzuty sumienia, że podejrzewał Miguela, który przecież nigdy nie zrobił im nic złego, raczej przeciwnie.

W końcu Jordi był bliski rozpaczy. Pedro pojechał nawet samochodem spory kawałek drogą pod górę, lecz nigdzie nie napotkał żadnego śladu Unni. Nadzieją Jordiego pozostawał jeszcze stary kościół. Może jakimś przypadkiem Unni zamknęła się w środku i nie mogła wyjść? Ale nie, z zewnątrz w drzwiach kościoła nie było klucza, zresztą i dookoła, i w środku panowała cisza.

W rozpaczy zaczął ją wołać po imieniu. Jego krzyk był jak otwarta rana, tak przynajmniej Juanie powiedziała Gudrun, gdy go usłyszała.

W końcu zebrali się przy zabudowaniach, usiłując zrozumieć, co się stało, i omówić, co robić dalej. Jordi miał twarz ściągniętą i zszarzałą, a twarze pozostałych również wyrażały przybicie i strach.

Stali tak pełni rezygnacji.

Nagle w kieszeni Jordiego rozdzwonił się telefon.

- Unni! - zawołał rozradowany, słysząc jej głos. - Dzięki Bogu, gdzie ty jesteś?

- Bardzo mądre pytanie! Jestem w jakiejś nieznanej mi bliżej, ciemnej małej komórce i jest tu ze mną Antonio.

- Co takiego? Antonio jest w Veigas?

- Nie, chyba nie jesteście w Veigas, słyszymy ruch na ulicy.

- To gdzież wy, na miłość boską...

- Sami nic z tego nie rozumiemy. Antonio był w Baskonii, przeniesiono go tu w ciągu sekundy. Tak samo jak mnie. Ale Antonio twierdzi, że jego grupa ściągnęła na siebie coś strasznego.

- Co masz na myśli, mówiąc o czymś strasznym? Czy mogę porozmawiać z Antoniem?

Antonio przejął telefon, - Nie, nie wiem, co to jest, ale to coś prześladowuje nas przez całą drogę. I wszyscy, co do jednego, straciliśmy nasze komórki. Nie wiem, gdzie są tamci, zmierzaliśmy do doliny Carranza, lecz oczywiście nie mogę się z nimi skontaktować przez telefon. To jakiś kompletny absurd, Jordi, ale obiecuję ci, że będę się opiekował Unni. Pst! Ktoś idzie, może dowiemy się teraz czegoś więcej. Damy wam jeszcze znać!

Połączenie przerwano.

Tabris - Miguel stał nieco wyżej na wzgórzu i nie słyszał treści tej rozmowy. Zobaczył jednak, że Gudrun objęła Jordiego i że płaczą i śmieją się na przemian.

Co to ma znaczyć? Dlaczego oni tak robią? Zastanawiał się lekko poirytowany, ponieważ nie mógł zrozumieć takiego zachowania.

Demon jest istotą pozbawioną czułości, nie posiadającą żadnych cieplejszych uczuć dla innych. Seks, owszem, lecz wyłącznie dla własnej przyjemności, zresztą akt odbywa się najzupełniej mechanicznie, bez odrobiny ciepła i poczucia więzi pomiędzy partnerami. Ludzkie sympatie i uczucia są demonom najzupełniej obce.

Tabris nastawił uszu. Zarena go wzywała. Prędko odłączył się od ludzi i oddalił niezauważony.

Unni i Antonio, zdreśliwali z niepewności, w milczeniu wsłuchiwali się w głosy zbliżające się do ich komórki, najwyraźniej nie używanej od wielu, wielu lat.

Unni przez głowę przeleciała myśl: Czy spodziewała się takiej sytuacji rok temu, wówczas gdy po raz pierwszy zobaczyła Antonia w bibliotece? Tyle się wydarzyło od tamtej pory!

Gdy zorientowali się, do kogo należą głosy, Antonio złapał ją za rękę i wolno uściśnął.

„Tak, mamy go, nasza piękna pani, mamy go! - rozległ się pochlebny szept. - Jesteśmy potężni, niepokonani, sprowadziliśmy go tu dla twojej, pani, przyjemności, he, he”.

„Wstrętne paplanie przerwał wściekły okrzyk:

- Przestańcie mnie obmacywać, przekłete trupie gady! Zajmijcie się otwarciem drzwi, żebym go mogła zobaczyć. Musi mi teraz wyjawić prawdę, bo inaczej...

Emma! Razem z mnichami inkwizycji! Dłoń Antonia zacisnęła się jeszcze mocniej na rękę Unni.

„Słodka dziewico... „

Ha! oburzyła się Unni w myślach. Dziewico!

„Najsłodsza pani, my nie jesteśmy w stanie posłużyć się kluczem. Nie tutaj, tak daleko od naszego miasta”.

- No, w każdym razie nie jesteśmy w Santiago de Compostela - szepnęła Unni do ucha Antoniowi. - Dobrze i to. Tutaj mnisi nie mają żadnej władzy.

- Dajcie mi więc ten klucz - syknęła Emma. - Wysoko, na futrynie? Dobrze. I wiecie chyba, co macie zrobić z więźniem, kiedy już otworzę?

„Cieszymy się na to, piękna pani” - przypochlebiali się dalej.

Coś trzasnęło w zamku. Zardzewiałe drzwi zazgrzytały, otwierając się, i do komórki wpadło światło.

W drzwiach stanęła Emma, otaczała ją pięciu katów inkwizycji, jacy jeszcze pozostali „przy życiu”. Z dumą pokazywali jej swoją zdobycz. Nagle jednak widać było, jak dreliwieją z przerażenia, a potem, zanosząc się charakterystycznym dla siebie ostrym ptasim krzykiem, rozpierzchli się na wszystkie strony.

„Ach, nie, nie, tylko nie ona! - rozległo się zawodzenie. - Tylko nie ta morderczyni świętych mnichów, ratunku!”

Zaraz potem zniknęli.

- Wracajcie, do cholery! - krzyknęła Emma. - Przecież ja nie dam rady dwojgu jednocześnie! Alonzo! Wszyscy, chodźcie tu! Gdzie, u diabła, podziali się wszyscy ludzie?

Czym prędzej zatrzasnęła drzwi i, nim Antonio zdążył zareagować, przekręciła klucz w zamku. Słysząc było jej oddalające się kroki, wyraźnie szła gdzieś na górę, po schodach.

- Zdążyłam przez okienko piwniczne zobaczyć szyld sklepowy - powiedziała prędko Unni. - Jesteśmy w Bilbao.

- W Bilbao?! Jak, u...? Dość już o tym! Musimy się stąd wydostać, zanim przyjdą jej podwładni! Co robimy?

Myśleli gorączkowo, jak ogarnięci paniką, lecz nie potrafili dostrzec żadnego wyjścia.

- Mnisi nie mogli wykonać tej sztuczki, jaką było przeniesienie nas z jednego miejsca w drugie - mruknął Antonio. - Musieli nas w jakiś sposób uspić. Unni słuchała go tylko jednym uchem.

- Antonio - szepnęła przejęta. - Twój amulet!

- Co z nim?

- To amulet Asturii, ten, który reprezentuje siłę magiczną. Czy nigdy nie ostrzegał cię przed niebezpieczeństwem?

Antonio zamyślił się.

- Czasami miałem wrażenie, że robi się ciepły - przyznał z wahaniem. - Ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie pamiętam, w jakiej to mogło być sytuacji.

- Ty nie jesteś tak wyczulony jak Jordi i ja. Możesz mi go na chwilę dać?

Antonio już zdjął amulet z szyi i włożył go w rękę Unni.

- Mój w niczym tutaj nie pomoże, on symbolizuje miłość, a teraz nie jest nam potrzebna. Antonio, twój amulet robi się coraz cieplejszy!

- Ale jak zamierzasz...

- Pst! Nie mamy czasu na rozmowy.

Unni trzymała magicznego gryfa Asturii w ręku, aż zaczął się żarzyć.

- Pomóż nam teraz - szepnęła. - Musimy się stąd wydostać, i to jak najprędzej!

Po ciemku zdołała wymacać zamek w drzwiach i przysunęła do niego gryfa.

- Zrób, co tylko możesz - przekonywała szeptem. - Urraco, ty, która dałaś mu moc...

Jakieś głosy wysoko na schodach... W zamku coś stuknęło. Unni ujęła za klamkę, drzwi były otwarte.

- Chodźmy!

Pospiesznie przeszli do oświetlonej piwnicy. Unni podziękowała amuletowi i w biegu oddała go Antoniowi. Na ułamek sekundy stanęli, żeby zorientować się, gdzie są, i udało im

się znaleźć wyjście. Drzwi piwnicy wychodziły bezpośrednio na ulicę czy też - mówiąc ściślej - na schody prowadzące wprost na ulicę. Na dworze panował wieczorny mrok.

Była to zwykła miejska ulica, ani szeroka, ani wąska. Antonio ujął Unni za rękę i puścili się biegiem w stronę, jak im się wydawało, centrum miasta.

- Co robimy teraz? - spytała Unni zdyszana.

- Wynajmiemy samochód i pojedziemy za resztą do doliny Carranza.

- Ja nie mam pieniędzy. Nie myśli się o takich rzeczach, gdy się idzie podziwiać szumiący strumień.

- Za to ja mam przy sobie kartę kredytową, gotówkę także. Musimy znaleźć jakieś *rentacar* najszybciej jak tylko się da.

- O tej porze?

Znajdowali się już na dużej ulicy, ku której się kierowali, i Antonio się zatrzymał.

- No tak, masz rację.

Rozejrzał się w koło, lecz stwierdził, że przynajmniej na razie nikt ich nie ściga. Podjął kolejną decyzję.

- Zobacz, tam jest postój taksówek. I stoi jakiś samochód.

- Oszalałeś! - wydusiła z siebie Unni. - Mamy jechać taksówką do doliny Carranza?

- Przynajmniej kawałek do przodu. Powinniśmy się stąd oddalić, a nie możemy jechać główną drogą, bo tam będą nas ścigać. Musimy ruszyć w góry.

Unni powlokła się za nim niechętnie, ale widząc, że kierowca taksówki dyskutuje z jakąś młodą dziewczyną, jęknęła:

- Ach, nie, byle tylko nie podebrała nam samochodu! Znalezli się już prawie przy aucie i usłyszeli, jak dziewczyna mówi:

- Ależ ja muszę spotkać się z tą grupą turystów w Balmaseda. Jutro rano, o ósmej...

Urwała, pytająco patrząc na Antonia i Unni, którzy właśnie podeszli.

- Balmaseda? - powtórzył Antonio, Twarz mu się rozjaśniła, jakby oświetlona wewnętrznym blaskiem. - Przecież my właśnie tam się wybieramy, możemy się przyłączyć? Podzielimy się rachunkiem.

Kierowca, prawdziwy Bask, uśmiechając się szeroko i życzliwie, stwierdził tylko:

- Masz dużo szczęścia, Silvio!

Otworzył drzwiczki swojego białego mercedesa. Unni padła na tylne siedzenie, a dziewczyna, Silvia, dziękując za wybawienie, zajęła miejsce z przodu. Uciekł jej ostatni autobus, a José - Luis miał dyżur i nie mógł jej prywatnie zawieźć do Balmaseda, chociaż byli starymi przyjaciółmi. Unni dobrze to rozumiała. Gdy Antonio ustalał cenę z kierowcą, Unni z

całych sił starała się nie oglądać za siebie, taki gest mógł za bardzo rzucać się w oczy. Po głosie Antonia poznawała, że i on próbuje stłumić gorączkową nerwowość, zatem również on nie czuł się najpewniej. Zamiast więc wypatrywać ewentualnych prześladowców, zrobiła jedyną możliwą w tej sytuacji rzecz, mogącą ochronić ją przed wrogiem: osunęła się najniżej jak tylko się dało na siedzenie i swoim łamanym hiszpańskim powiedziała:

- Ach, jak cudownie móc wreszcie usiąść! Taksówka ruszyła, kierując się w stronę Balmaseda.

Mieli przed sobą trzydzieści kilometrów. To połowa drogi do Carranza.

Dolina Carranza? Unni najchętniej wróciłyby do Jordiego i reszty przyjaciół w Veigas, lecz to było niemożliwe.

- Dołączę do niewłaściwej grupy - zwróciła się do Antonia po norwesku.

- Będziesz u nas mile widziana - uśmiechnął się w odpowiedzi. - Tamten podział i tak był strasznie niesprawiedliwy. Wszyscy silni znajdowali się w grupie Jordiego. Teraz przynajmniej będziemy mieć ciebie.

Uśmiechnęła się blado.

- Skąd wiedziałeś, że mamy jechać do Balmaseda?

- Sprawdzaliśmy drogę do Carranza, zanim ja... No cóż, zanim znalazłem się tutaj, w Bilbao. Tamci musieli już minąć Balmaseda.

Unni cały czas starała się odzyskać normalny rytm oddechu.

- Mówiłeś coś, że musieliśmy zostać uśpieni. Ale to się nie zgadza w czasie.

- No właśnie, wiem o tym. Przecież wtedy minęło zaledwie kilka minut.

- Tak, patrzyłam na zegarek. Chyba że upłynęła cała doba?

- Nie sądzę, żeby tak było. Co tu się dzieje, Unni?

Dziewczyna z rezygnacją pokręciła głową.

- Muszę zadzwonić do Jordiego.

- Dobrze, zadzwoni i spytaj, czy mieli jakiś kontakt z moją grupą.

Unni nie śmiała ponownie zerkać na zegarek. Prawdopodobnie zrobiło się już skandalicznie późno, ale ona po prostu musiała porozmawiać z Jordim.

Udało się z nim połączyć. Prawdę mówiąc, czekał na jej telefon. Cudownie było usłyszeć jego głos.

- Jordi, wydostaliśmy się. Ocalił nas gryf Asturii, jesteśmy wolni!

- Całe szczęście! Juana i Miguel jeszcze cię szukają, zaraz sprowadzę ich tu z powrotem. Ale co się właściwie stało, gdzie wy jesteście?

Unni opowiedziała mu o Emmie i mnichach, a na koniec oświadczyła:

- Kierujemy się do Carranza. Przenocujemy w Balmaseda, tam wynajmiemy samochód i spotkamy się z grupą Antonia w Rmales de la Victoria w pobliżu doliny Carranza. W dolinie sępów, wiesz „tam, gdzie orły będą małe”.

- No to wszystko się jakoś ułoży, to wielka ulga. Niedługo się spotkamy.

- Miałeś jakieś wiadomości od grupy Antonia?

- Tak, Morten załatwił sobie nowy telefon komórkowy. Wszystko u nich w porządku. Przyłączyła się do nich jakaś młoda dama, która zna boczne drogi.

- Świetnie. Możesz nam podać numer telefonu Mortena?

Antonio, dowiedziawszy się o młodej damie, która przyłączyła się do grupy i służyła jako przewodnik, zrobił się dziwnie milczący. Unni nie chciała przeszkadzać mu w myśleniu.

W blasku samochodowych reflektorów dostrzegali łaciate drzewa eukaliptusowe i skandynawskie klony, porośnięte mnóstwem jemioli. Była już późna jesień i drzewa stały nagie.

- Nie mogę teraz dzwonić do Mortena! - wykrzyknął nagle Antonio. - Jest przecież środek nocy, oni na pewno śpią. Ale... - urwał i znów zatonął w myślach.

Samochód sunął przez ciemność.

- Żałuję, że nie jest jasno - odezwała się Unni do młodej Silvii. - Mam wrażenie, że bardzo tu pięknie.

- To prawda. Widzisz te białe domy z pomalowanymi na czerwono narożnikami i drzwiami? To domy baskijskich rodzin, które wyemigrowały do Ameryki Środkowej, a potem znów powróciły do domu. Ci ludzie wiele dali swej starej ojczyźnie i budowali właśnie te specjalne domy. Widzisz też te domy z podobnymi do siebie, jakby spłaszczonymi werandami? Zabudowa typowa dla tych okolic.

Unni wyjaśniła, że sama jest z pochodzenia Baskijką, lecz jej przodkowie wyemigrowali do Chile, a stamtąd została adoptowana do Norwegii.

Silvia uznała tę wiadomość za interesującą, i to do tego stopnia, że postanowiła o wszystkim opowiedzieć Jose - Luisowi, który w przeciwieństwie do niej nie najlepiej radził sobie z angielskim. Dziewczęta rozmawiały ze sobą po angielsku, dla Unni tak było łatwiej. Całkiem nieźle rozumiała już hiszpański, ale jest wielka różnica pomiędzy rozumieniem języka a mówieniem.

José - Luis śmiał się uradowany, kiedy usłyszał, że w samochodzie jest aż troje Basków.

Antonio poczuł się trochę na uboczu.

- Cóż, ja pochodzę jedynie z Nawarry - westchnął teatralnie.

Oni jednak okazali się wielkoduszni i zapewnili go, że Baskonia i Nawarra są ze sobą ściśle związane.

Teren zaczął się wznosić, widać było, że jadą ku górcom. Antonio spowaźniał i odezwał się po norwesku:

- Mamy w tym samochodzie bardzo sympatyczną przewodniczkę, ale mam wiele wątpliwości co do przewodniczki, która przypadkiem przyłączyła się do , tamtych. Ogromnie się niepokoję o Mortena, Flavię i Sissi. Zwłaszcza o Sissi, bo to na niej skrupiło się najgorsze.

- Wspominałeś, że ściągnęliście na siebie coś strasznego - powiedziała Unni cicho.

- Owszem, i w niejedną sytuację była wplątana jakaś kobieta.

- Zawsze ta sama?

- Nie, i to właśnie jest takie straszne. Wyjechali z niewielkiej miejscowości i samochód otoczyła ciemność.

3

Nad porośniętymi lasem wzgórzami i dolinami Taramundi świecił księżyc. Jego blask padał na niewielką zamieszkaną wioskę, Teixois, i na Veigas, gdzie akurat w tym momencie przebywały jedynie dwa psy oraz kilkoro szalonych Norwegów i ich przyjaciół. Księżyc sprawiedliwie oświetlał też inne opustoszałe zagrody i wioski, oddalone od tak zwanej cywilizacji.

Księżyc „widział” również dwoje ludzi nieco wyżej w dolinie ponad Veigas: Miguela z coraz bardziej sfrustrowaną Juana, deptającą mu po piętach.

Może księżyc zauważył więcej niż ona? Może spostrzegł, że idzie przed nią wcale nie sympatyczny młody Miguel, lecz straszliwy demon Tabris?

Czy on musi iść tak prędko? Nie może na nią zaczekać?

Wszyscy Norwegowie twierdzą, że doskonale teraz wyglądam, myślała Juana ze smutkiem. Tylko Miguel nie powiedział o tym ani słowa. Nawet nie spojrzy w moją stronę, nigdy się do mnie nie odzywa, chyba że pierwsza go o coś zagadnę.

Dlaczego tak się odmienił? Przecież na początku był dla mnie miły. Potrafił mnie nawet objąć i patrzeć na mnie prawie z podziwem, rozmawiał ze mną i śmiał się. Ale odkąd przyjechaliśmy do Veigas, niemal mnie unika. Wpadł prosto na mnie, kiedy szukaliśmy Unni, i stanął jak wryty, jak gdyby nie podobało mu się, że mnie widzi, ale ja uznałam, że możemy jej szukać razem i poszłam z nim.

Chyba nie powinnam była tego robić.

- Aż tak daleko Unni nie mogła zająć - wydyszała Juana, wspinając się na wzniesienie.

Miguel zatrzymał się. Był niezmiernie zirytowany, lecz zmusił się, by tego nie okazać.

- Najlepiej będzie, jak zawrócisz i pójdziesz do domu - oświadczył z udawaną życzliwością.

Wewnętrznie wściekał się na tego rzepa, którego za nic nie mógł się pozbyć. Tabris gotów był udusić Juanę na miejscu, wiedział jednak, że taki wypadek wywołałby zbyt duże zamieszanie, za wiele pytań i opóźnień.

Szedł na spotkanie z Zareną, która go wezwała. Nie miał najmniejszej ochoty się z nią widzieć, bo w jej głosie już dała się słyszeć wściekłość i Tabris czuł się nieswojo. Ale jak miał przeobrazić się w demona i unieść nad ziemię, skoro nie mógł zostać sam?

Wrócić do domu? Juana, nieszczęśliwa, obejrzała się z lękiem za siebie. Droga do Veigas była długa, a w lesie ciemno, księżyc do niczego się nie przydawał. Przeciwnie, rzucał

tylko paskudne cienie, w których wrażliwe dusze mogły dopatrzeć się mnogości niesamowitych postaci i straszdeł.

Miguel ostatni raz spojrzął przelotnie na widniejące w oddali wzgórza i wreszcie się poddał.

- No dobrze, odprowadzę cię kawałek z powrotem, a potem będę sam dalej szukał.

Jego wyczulone demonie uszy słyszały już nawoływania Jordiego, wzywające ich do powrotu, ponieważ Unni się odnalazła, lecz Tabrisowi potrzebny był ten wypad. Miał dzięki temu szansę na spotkanie z Zareną jeszcze tej nocy, chociaż ani trochę tego nie chciał.

Unni się znalazła? Czyżby to była przyczyna tak głośnego gniewu Zareny? Ale to przecież niemożliwe, wszak ona również ukryła swoją ofiarę w tym samym miejscu.

Zarena, demon zemsty, potrafiła być naprawdę straszna, gdy coś ją rozdrażniło.

Chciał mieć nieprzyjemne spotkanie jak najprędzej za sobą. Ach, gdyby tylko mógł się pozbyć tej Juany, tej nic nie wartej kobiety ludzkiego rodu! Musiał ją jednak oszczędzić, aby wypełnić zadanie.

Postanowił, że będzie udawał przed nią zyczliwość. Może iść powoli i w ten sposób zyskać na czasie, zresztą nie trzeba odprowadzać jej aż do samego Veigas.

Juana zareagowała ogromną wdzięcznością, kiedy zawrócił i ruszył w jej stronę. Znajdowali się teraz na szczycie jednego z licznych w tej okolicy wzgórz.

Po raz kolejny stwierdził, że na Juanie nie warto nawet oka zawiesić, podobnie zresztą sprawa ma się ze wszystkimi innymi ludźmi. Tabris nienawidził tych jej oczu, miłych i dobrych jak u psa. I białego, przepraszającego uśmiechu. Nienawidził tego, że sam musi być człowiekiem. Ogromnie mu to we wszystkim przeszkadzało, czuł się głupio i niezdarnie, przebranie ograniczało też w niewiarygodny sposób jego możliwości. Nie mógł pojąć, jak ludzie wytrzymują, że są ludźmi.

Tabris zmusił się, by mówić tak jak sympatyczny Miguel.

- Czego wy właściwie szukacie? - spytał lekko.

- To... to dość zawile - odparła Juana niepewnie. - Wiesz chyba, że ty i ja jesteśmy w pewnym sensie osobami postronnymi.

- No tak - przyznał, lecz dopiero po namyśle, bo nie życzył sobie, by porównywała go do siebie.

- Miałaś okazję spotkać rycerzy?

- Rycerzy?

Miguel najwyraźniej o niczym nie wiedział. Juana nie miała pojęcia, ile wolno jej zdradzić, ale przecież rozmawiała z Miguelem, człowiekiem, który już tak bardzo im pomógł.

Tak właśnie ona to postrzegała, tymczasem w rzeczywistości Miguel nie pomógł im ani trochę, z jednym wyjątkiem, gdy ocalił im życie w sali tortur. Lecz o tym akurat Juana nie wiedziała. Z podziwem tylko słuchała, co mówił, i z podziwem patrzyła, co robił.

Na widok krzywego drzewa, przypominającego starego garbatego dziada, Juana wzdrygnęła się i instynktownie przysunęła do Miguela. Powoli strach ustępował, w końcu odzyskała normalny oddech, przynajmniej prawie normalny.

Ach, idzie obok niego! To znaczy za nim, bo ścieżka była zbyt wąska, by mogli zmieścić się na niej oboje, ramię w ramię. Lecz już sama możliwość przebywania w jego pobliżu, to, że znów się do niej odzywał... To było okropne, gdy okazywał jej taki chłód.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. W myślach tłumaczyła sobie, że niepokoi się o Unni, to przecież oczywiste. Gdzie ona może być? Oby tylko nie porwali jej ci okropni mnisi! Miguel znów coś powiedział, a ona nie słuchała. Musiała go poprosić, żeby powtórzył.

A on odwrócił się gwałtownie w jej stronę i Juana przez ułamek sekundy dostrzegła w jego oczach jakiś błysk, który ją przeraził. Nieprzyjemne wrażenie jednak szybko minęło. Miguel uśmiechnął się do niej przyjaźnie i jeszcze raz zadał pytanie:

- Co mówiłaś o tych rycerzach?

Cóż to było w jego spojrzeniu? Coś zielonego, coś niebezpiecznego, jakby otchłań?

Ach, nie, to na pewno przez ten blask księżyca.

- Widzisz, to wszystko jest szalenie skomplikowane - próbowała mu wyjaśniać. - Naszych przyjaciół prześladowają poszukiwacze skarbu, gdy tymczasem ich ten skarb ani trochę nie obchodzi - oni muszą ratować życie. Wielu z nich umrze już niedługo, jeśli wkrótce nie odnajdą... nie dotrą do czegoś.

Głos jej zamarł.

Zdaniem Tabrisa wiadomość o rychłej śmierci niektórych uczestników wyprawy była całkiem przyjemna.

- Ale co wspólnego mają z tym rycerze?

Juana odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili głębokiego wahania.

- Ja ich spotkałam. Oni są... upiorami. Z piętnastego wieku.

- Tak jak kaci inkwizycji?

- Wiesz o nich? - spytała, szeroko otwierając ze zdziwienia oczy.

Ojej, za bardzo pospieszył się z odpowiedzią! To się nie może powtórzyć.

- Ktoś o nich wspomniał - mruknął niepewnie, zły na siebie, a przede wszystkim na nią.

Ale przecież obiecał, że się wszystkiego dowie!

- Słyszałaś o jakiejś Urrace?
- Którą Urracę masz na myśli? Którą z dawnych królowych czy czarownicę?
- Tę ostatnią.
- Tak, ona też w tym bierze udział.
- Była na wskroś zła, prawda?
- O nie, ona jako jedyna była dobra. Jedyna pomagała rycerzom.

Tabris patrzył na Juanę zdumiony. No tak, niewłaściwie sformułował pytanie. To przecież dlatego jego pan i mistrz z mrocznej otchłani pragnął pokonać Urracę. Dlatego, że nie posługiwała się swymi magicznymi siłami w odpowiedni sposób, lecz przeszła na tę wstrętną dobrą stronę.

Znajdowali się teraz na krawędzi głębokiej przepaści. Wystarczy jedno lekkie pchnięcie, a namolnej Juany już nie będzie.

Zatrzymała się, żeby podziwiać widok. On również przystanął, na pół ukryty za nią j zmagając się z pragnieniem wyrządzenia jej krzywdy.

Ona jednak mówiła dalej, niczego się nie domyślając.

- Ciekawa jestem, czy nie można stąd zobaczyć zarówno Asturii, jak i Galicji - powiedziała rozmarzona. - Spójrz, jaki ten krajobraz w blasku księżyca jest baśniowo piękny, taki smutny, taki... wieczny. To zupełnie tak, jakby dziś w nocy przemawiała potężna historia starych królestw.

- Aż do piętnastego wieku? - mruknął, starając się nakłonić ją, by powiedziała mu coś więcej na temat rycerzy.

- Tak. Wiesz, ja się specjalizuję w piętnastowiecznej Asturii - roześmiała się. - Nie tak jak Unni, która twierdzi, że jest specjalistką od wszystkiego.

- Wtedy raczej nie jest się specjalistą?

- Och, nie, ona tylko żartuje, chyba to rozumiesz!

Tabris spochmurniał. Musi nauczyć się czegoś więcej o humorze, nie może stale wychodzić na głupca. Nie, nie wolno do tego dopuścić!

Zanim zdążył spytać o Urracę - obawiał się, żeby nie wydać się zbyt ciekawski, Juana uratowała go, mówiąc:

- Chętnie poznałabym historię życia czarownicy Urraki, ale w pismach wzmiankowana jest zaledwie kilkakrotnie. Unni wie o niej o wiele więcej niż ja.

- Jak Unni może wiedzieć cokolwiek?

- O, Unni jest bardzo niezwykła. Spotkała Urracę, częściowo w wizjach z tamtych czasów, częściowo w rzeczywistości, gdzieś na jakimś górskim szczycie w Norwegii. Żałuję,

że nie mnie się to przytrafiło. Ach, tyle pytań bym jej zadała!

Unni niezwykła? Wobec tego dobrze, że się jej pozbył. Niech inni wyciągają z niej prawdę o tych rycerskich bzdurach i nadętych wiedźmóch. On już zrobił swoje.

Co by było, gdyby teraz zepchnął tę gadatliwą Juanę w przepaść i zakończył całe zadanie? Nikt by nic na to nie powiedział, Zarena dałaby sobie radę z resztą. Doprawdy on i tak już dostatecznie długo się poświęca.

- Zrozum, na rodach rycerzy ciąży przekleństwo... - podjęła Juana.

Mój ty świecie, jakże ona żałośnie się prezentuje! Ludzka istota!

- Przekleństwo? - powtórzył, chcąc zachęcić ją do mówienia.

Z oddali doszedł go trzepot skrzydeł, których Juana na razie wciąż jeszcze nie mogła usłyszeć.

Zarena! Rozwścieczona furia! Nawet przez powietrze wyczuwał jej bezgraniczny gniew. Tabris nie stawił się wszak w umówionym miejscu spotkania! A może chodziło o coś jeszcze?

Zadziałał błyskawicznie, nie zastanawiając się nawet przez moment.

Juanę jego poczynania kompletnie zaskoczyły. W jednej sekundzie wydało jej się, że słyszy gdzieś daleko szum ogromnych skrzydeł, w następnej porwały ją w górę czyjeś silne ramiona. W oszalałym pędzie opadli w przepaść, lecz tylko kawałek, Juana już wcześniej zauważyła w dole niewielką półkę skalną. A potem coś połyskującego zielono przesunęło się po jej twarzy i w jednej chwili cały świat spowiła ciemność.

Zareną rzeczywiście targał gniew. Krążyła nad pasmem wzgórz, gwałtownie uderzając skrzydłami, w złości smagając nimi powietrze.

- Wiem, że tu jesteś, Tabrisie! - wrzeszczała. - Wyczuwam twoją obecność!

Nie mogła go dostrzec. Nie widziała, że szara formacja kamienna w dole, na skalnej półce, nie jest wcale częścią skały, lecz czymś zupełnie innym. Specjalnością Tabrisa była umiejętność wtapiania się w krajobraz, posiadał, podobnie jak niektóre zwierzęta i owady, zdolność kamuflażu.

- Słyszysz mnie, ty nędzny demonie nocy rozświetlonej przez dzień? - wołała Zarena.

- Jak, do stu piorunów, mogłeś być tak głupi i uprowadzić pogromczynię mnichów? Naszych zleceniodawców ogarnęła bezgraniczna wściekłość, przecież oni nie mogli się do niej zbliżyć! I co więcej: Ona uciekła! Ona i ten ładniutki doktorek, którego ja im ściągnęłam. Musiała posłużyć się magiczną pomocą, a my przecież nie chcemy mieć do czynienia z nikim, kto potrafi się uwolnić za pomocą czarów. Nie pojmujesz, czego narobiłeś? Zniszczyłeś moje dobre imię, przeklęty niewolniku! W królestwie Ciemności obędą cię żywcem ze skóry, już

ja się o to zatroszczę. Pragnę teraz jedynie zemsty!

Rozgniewane skrzydła zatoczyły jeszcze kilkakrotnie krąg wokół tego miejsca, po czym ich szum zniknął w oddali.

Juana ocknęła się na skalnej półce. Miguel leżał na krawędzi przepaści i usiłował podciągnąć ją do góry.

- Co się z tobą stało? - zawołał zdumiony. - To się naprawdę mogło źle skończyć, nagle zachwiałaś się i spadłaś. Zemdlałaś?

Juana podniosła się zdziwiona i oszołomiona.

- Najwidoczniej tak musiało się stać.

- Ale teraz czujesz się już dobrze? Chodź, słyszałem, jak Jordi woła, że Unni się znalazła. Wracamy do domu.

Ruszył przed nią w dół zbocza, prowadzącego ku Veigas, i nie odzywał się przez całą drogę. Juana czuła się kompletnie zdezorientowana. Zachowała przedziwne wspomnienia...

Miała niejasne wrażenie, jakby na poły zapomniała sen, że siedziała w czymś bezpiecznym i ciepłym, jak gdyby otoczyło ją coś w rodzaju zielonkawej kapsuły. Jak gdyby tkwiła pomiędzy czyimiś kolanami i czuła czyjś głęboki oddech na plecach. Jej dłonie dotykały skóry, pokrytej czymś przypominającym rybią łuskę... Czyżby to sen, który przyśnił jej się, kiedy straciła przytomność?

Czyjeś ręce na ramionach, szpony na piersiach?

Poza owym bezpiecznym zamknięciem było groźnie. Jakiś straszny głos wykrzykiwał słowa w nieistniejącym języku. Tak, bo taki język nie mógł istnieć, był czymś jeszcze dziwniejszym od mowy, którą posługiwali się jej norwescy przyjaciele. To w ogóle nie był żaden język!

Niebezpieczny, groźny.

Najbardziej zdumiewające jednak było owo ciepło, które czuła, będąc zamknięta w ochronnej kapsule. Lubieżnie zmysłowe, a nawet więcej, nasycone silnym gorącym erotyzmem, seksualną żądzą, która wciąż targała jej ciało.

Juana, drepcząc w milczeniu za przygnębionym Miguelem, z drżeniem przeżywała owo szokujące wspomnienie. Była dziewczyną z dobrej rodziny, wychowaną bardzo surowo i nigdy nie zbaczała ze ścieżki wyznaczonej jej przez rodziców, zawsze była ich ozdobą i chlubą. Skąd więc ten wstrząsający, niezwykły sen?

Przytłoczona bezgranicznym smutkiem przyglądała się przystojnemu, fascynującemu Miguelowi. Dlaczego okazywał jej taki chłód? Kochać i być kochanym, myślała, czyż to nie jest najważniejsze w życiu? Wszyscy tego pragną. Ale o nim nic nie da się powiedzieć z całą

pewnością.

A ten mroczny zaczarowany sen, który przeżyłam? Nigdy nie starczy mi śmiałości, żeby opowiedzieć o nim Miguelowi. Gdybym to zrobiła, na pewno nie chciałby mieć więcej ze mną do czynienia.

Gdy byli już prawie na samym dole, Miguel odwrócił się do niej tak gwałtownie, że aż drgnęła.

- Teraz sama już znajdziesz drogę - oświadczył krótko. - Idź do domu, ja zaraz przyjdę. Chcę... chcę coś sprawdzić w lesie.

Z tymi słowami zniknął. Juana stała przez chwilę, nie wiedząc co robić, aż w końcu zerwała się z miejsca i biegiem pokonała krótki odcinek, dzielący ją od zabudowań, skąpanych w świetle księżyca.

Tabris musiał spotkać się z Zareną bez względu na to, jak bardzo nie miał na to ochoty. Zobaczywszy, że Juana weszła do domu, znów przeobraził się w demona i uniósł w powietrze. W ciągu kilku sekund dotarł w umówione miejsce spotkania.

Tak jak się tego spodziewał, Zareny tam nie zastał. Zapewne powiedziała już wszystko, co miała mu do powiedzenia, i uznała sprawę za załatwioną. Tabris jednak musiał złożyć raport. Liczył na to, że wyrzuciła już z siebie najstraszniejszy gniew i że uda mu się porozmawiać z nią jako tako rozsądnie. Dlatego ją wezwał.

No cóż, nastrój Zareny, gdy się zjawiała, trudno było nazwać dobrodusznym, łagodnym i pogodnym, lecz mimo wszystko trochę zdołała się uspokoić.

- Czego chcesz ode mnie? - spytał krótko.

- Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Wydaje ci się, że nie wiem, iż byłeś na wzgórzu i słyszałeś wszystko, co mówiłam?

- Powtórz to jeszcze raz!

- Do czarta, nie mogę na całą wieczność zostawiać samych tych dumnych ludzi, których mam pilnować. Ogłuchłeś czy dopadła cię skleroza? Mówiłam, że wprowadziłeś niewłaściwą osobę. Naszych zaszuszonych zleceniodawców oblewa zimny pot, jeśli to w ogóle możliwe, gdy tylko o niej usłyszą. A z kolei ich zleceniodawczyni, ta przeklęta kobieta, Emma, oby kupa gnoju otworzyła się pod nią i pochłonęła ją na wieki, wścieka się, ponieważ nasi jeńcy uciekli! Znow jakież czary! A teraz twój raport! Dowiedziałeś się czegoś o Urrace?

- Ona pomaga rycerzom.

- Jakim rycerzom?

- Jakimś duchom. No i moja grupa porusza się według jakichś map, które odnajdują.

- O tym dobrze wiem. Moja robi tak samo. Z czasem się spotkają.

- Jest jakiś skarb, którego poszukuje wielu ludzi, lecz im wcale nie zależy na jego znalezieniu. Ich poczynania mają coś wspólnego z życiem i śmiercią.

- Ach, te krótkie ludzkie istnienia! Doprawdy, czy jest o co walczyć?

Zbliżyła się do niego. Okrążyła go, a jej kocie oczy zabłyśły.

- Wydaje mi się, że Tabris, demon wolnej woli, jest podniecony? - zagruchała miękko.

- Umiem to wywęszyć. To żądza. Jednak więc mnie pragniesz, czy nie tak?

Żartobliwie klepnęła go po ramieniu, lecz jej oczy zalśniły niebezpiecznie, a uśmiech stał się jeszcze ostrzejszy.

- Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele - odparł lodowatym tonem. - To tylko ciebie ogarnęło podniecenie, a u mnie nie masz czego szukać.

- O tym dobrze wiem - syknęła urażona. - I tak nigdy nie zdołałbyś mnie zaspokoić.

Powiedziawszy to, rozpostarła skrzydła i zniknęła, zanim Tabris zdążył powiedzieć jej więcej pogardliwych słów.

Tabris odetchnął z ulgą. Dobrze, że tak się rozzłościła i zapomniała spytać o więcej. Nie musiał się przed nikim usprawiedliwiać!

Przymknął swoje żółte koźle oczy. Nagle poczuł się najsamotniejszym stworzeniem na ziemi. On i Zarena naprawdę szczerze się nienawidzili. Jego ludzie byli tylko śmieszni i tak słabi, że wydawało się, iż przy najlżejszym dotknięciu rozpadną się na kawałki. Nic go z nimi nie łączyło. A na dole, w królestwie Ciemności, też nie był mile widziany. Oczywiście miał kilku równych sobie, w osobach innych demonów z rodu Nuctemeron, lecz jeśli nie wywiąże się z powierzonego mu zadania, one również będą nim gardzić. Natomiast jeśli mu się powiedzie, zostanie w nagrodę przeniesiony do wyższego kręgu demonów, złych i agresywnych. Z pewnością dobrze się stanie, lecz tam nie będzie miał już w ogóle żadnych sprzymierzeńców.

Otworzył oczy i popatrzył w gwiazdy, które księżyc wciąż przyćmiewał swym blaskiem. Oczywiście Tabris bywał już wcześniej na ziemi, lecz nigdy tak długo i nigdy w związku z tak kłopotliwym zadaniem. Nigdy nie przebywał aż tak blisko znienawidzonych ludzi. Ach, oby mógł jak najszybciej z nimi skończyć!

Kiedy rozmyślał o królestwie Ciemności, nieoczekiwanie przeszedł go dreszcz. Przecież tam zawsze był jego dom. Teraz wydawał mu się taki... No tak, właśnie, taki ciemny?

Rozpostarł czym prędzej skrzydła i zawrócił do przeklętego świata ludzi.

- Och, jesteś wreszcie! - wykrzyknął zadowolony Jordi, gdy Juana weszła do przytulnego wspólnego pokoju w Veigas. - Musiałaś zapuścić się gdzieś daleko. Nie było z tobą Miguela?

- Był i niedługo przyjdzie - odparła Juana niewyraźnie, mając nadzieję, że Jordi nie zauważy, jak bardzo drży jej głos. Jej dusza wciąż nie mogła wyzwolić się od wstrząsu, wywołanego tamtym tajemniczym snem. Ciało również, lecz do tego nie chciała się przyznać nawet przed sobą.

- Powinniśmy teraz położyć się spać, najwyższy na to czas - stwierdził Jordi życzliwie. - Ale zerkaliśmy już na ten kawałek skóry i usiłowaliśmy go odczytać.

Juana natychmiast się zainteresowała i poprosiła, by jej go pokazano. Historia piętnastego wieku to przecież jej dziedzina.

Przez dobrą chwilę wszyscy czworo: Jordi, Gudrun, Pedro i Juana, pochylali się nad kawałkiem skóry.

- Wiele liter i wiele słów - stwierdziła Hiszpanka i zaczęła odczytywać je na głos: - „PUENTE DEL INFIERNO EL PROPIETARIO DE LAS MINAS SOTO DE LOS INFANTES”. Zakładam, że zdołaliście to odcyfrować?

- Owszem, i nawet przetłumaczyć - odparł Jordi. - Ale nie zrozumieć. Wiemy, że jest tam napisane: „Most piekiel właściciel kopalni las dzieci”. Czy może raczej „zarośla dzieci”, tak jest chyba właściwiej. Ale nie znajdujemy w tym żadnego sensu.

- *Infantes* może oznaczać zarówno zwykłe dzieci, jak i dzieci królewskie. Myślicie, że ma to jakiś związek z naszymi dziećmi? Z Elvirą i Rodriguezem?

- Trudno powiedzieć - stwierdził Pedro.

Gdy tak stali pochyleni nad kawałkiem skóry, do pokoju wszedł Miguel. Juana mocno się zaczerwieniła, zrobiło jej się gorąco, nie śmiała podnieść wzroku.

- Czy to prawda, że Unni się odnalazła? - spytał Miguel. - Nie widzę jej wśród nas. Poszła się położyć?

- Nie, nie, nie ma jej tu w ogóle - odparł Jordi. - Jej zniknięcie to poważna zagadka. Na szczęście jest teraz bezpieczna i zamierza dołączyć do naszej drugiej grupy. Miguel popatrzył na niego zdziwiony, ale Jordi dodał prędko:

- Porozmawiamy o tym później. Teraz musimy omówić plany na jutrzejszy dzień i ustalić, gdzie mamy dalej jechać.

Ach, mój Boże, pomyślała Juana. Zapomniałam spytać o Unni! Myślałam, że położyła się spać.

- Przypatrz się jeszcze temu tekstowi na kawałku skóry, Juano - poprosił Pedro.

Juana zebrała myśli. Nie było to łatwe w obecności Miguela.

- Chyba się domyślam, co nam mówi ten napis - powiedziała oszołomiona. - Gdzie jest mapa Unni? No tak, to prawda, Unni nie ma tutaj. Nie rozumiem, jak...

Jordi był zbyt zmęczony, by kolejny raz roztrząsać zniknięcie Unni.

- Przyniosę tę mapę - przerwał jej.

Podczas jego nieobecności przy stole panowało milczenie. Twarze Gudrun i Pedra nosiły wyraźne oznaki zmęczenia i długotrwałego, przeciągającego się niepokoju. Miguel był bardziej przytomny, lecz wciąż tak samo przygnębiony i zamknięty w sobie. Juana chętnie by go spytała, co dziwnego znalazł w lesie, lecz czuła, że nie jest w stanie powiedzieć nic

mądryego. Ona również był wycieńczona.

Jordi wrócił z mapą. Kartki dotyczące ich podróży zaczynały być już bardzo zniszczone.

Juana tłumaczyła, wodząc palcem wskazującym po wyżynach Asturii.

- „Most do piekła” leży gdzieś tutaj. Jest! „Puentę del Infierno”. A „Soto de los Infantes” położone jest kawałek dalej na wschód.

- Widzę - powiedział Pedro. - To tutaj.

- No właśnie. Pozostaje nam więc jeszcze „el propietario de las minas”. Właściciel kopalni. Słowa te zostały napisane pomiędzy dwiema nazwami geograficznymi. Czy możemy założyć, że właściciel kopalni mieszkał gdzieś pośrodku?

- A co tam jest? - wtrąciła się Gudrun. - Pokaż mi... Spójrzcie, spójrzcie! Pośrodku leży miasto Tineo. Trzeba będzie lekko zboczyć z drogi, ale tylko trochę, a widzicie te znaki wokół Tineo? Te dwa skrzyżowane narzędzia?

Jordi natychmiast odnalazł legendę do mapy.

- Masz rację, te symbole oznaczają kopalnię. Wydaje mi się, że Tineo będzie naszym kolejnym celem.

- Doskonale, Juano i Gudrun! - powiedział Pedro. Juane tak ucieszyła ta pochwała, że musiała aż odwrócić głowę.

- A teraz do łóżek! - polecił Jordi. - Godzina jest tak późna, że aż wstyd. Jutro musimy wyruszyć w miarę wcześnie... To znaczy dzisiaj, bo już niedługo się rozwidni. Nie za wcześnie, bo wszyscy musimy wypocząć, ale też i nie za późno. Jutro czeka nas kolejne zadanie.

- Może być trudne i czasochłonne - kiwał głową Pedro. - Starajcie się chociaż na chwilę zapomnieć o tych wszystkich problemach i tajemnicach, które na nas spadają.

Ach, nie znacie mojej tajemnicy, pomyślała Juana. Lecz akurat w tej chwili cała tamta sprawa wydawała jej się dosyć odległa, jak dość rzeczywisty sen, lecz nic więcej.

Rozeszli się do swoich pokoi. Juana wyjęła ze swej starannie zapakowanej torby koszulę nocną, ciesząc że zabrała i ją, i szczoteczkę do zębów, bo kiedy opuszczała Oviedo, nawet przez myśl jej nie przeszło, że podróż do Santiago de Compostela rozwinie się tak, jak się rozwinęła. Teraz, prawdę powiedziawszy, kierowali się ku jej rodzinnemu miastu, lecz Juana nie śmiała wspomnieć o tym głośno. Bardzo chciała jechać z nimi dalej, pragnęła lepiej poznać Miguela i przekonać się, dokąd zaprowadzi ją cała ta szaleńcza wyprawa. Troski i zmartwienia jej towarzyszy podróży stały się nieoczekiwane jej troskami.

Księżyc już zaszedł, lecz gwiazdy wciąż nie bardzo mogły się pokazać. Na

wschodnim niebie powoli zaczynało rozpościerać się zimne, przytłumione światło świtu.

Mały pokoik zapraszał do wypoczynku, a Juana miała wrażenie, że jej ciało ze zmęczenia zaraz zapadnie się pod ziemię.

Już wkładała nocną koszulę przez głowę, gdy nagle znieruchomiała w pół ruchu. Najpierw ogarnęło ją zdumienie, nic nie mogła zrozumieć. A potem przeszył ją szok i kompletnie osłabił.

Pomiędzy barkiem a piersią dostrzegła trzy sinoczerwone znaki i jeden nieco słabszy. Wyglądało to tak, jakby w tym miejscu wbiły się w skórę ostre szpony.

5

Taksówka wioząca Antonia i Unni zbliżała się do Balmaseda. W okolicach Guenes zaczynała się skomplikowana sieć dróg, prowadzących w różne strony, oni jednak jechali główną szosą. Unni szczerze podziwiała elegancję, z jaką kierowca pokonywał zakręty.

Mijali jakąś niedużą miejscowość.

Unni przypadkiem akurat wtedy wyjrzała przez okno i zobaczyła zaparkowany samochód, w którym siedzieli dwaj mężczyźni. Padało na nich światło ulicznych latarni, a dodatkowo oświetliły ich jeszcze reflektory taksówki.

Unni mocno złapała Antonia za ramię.

- To przecież... To był przecież Thore Andersen! I ten wysoki chudy człowiek, którego imienia nie znamy.

- Jesteś pewna?

- Tak. Jose - Luis, jedź prędzej! Czy zdołamy się oddalić, zanim oni ruszą?

- Oczywiście!

Taksówka wykonała karkołomny manewr, wyprzedzając tira, i skryła się za wielką ciężarówką. Potem José - Luis skręcił w boczną drogę. Samochód Thorego Andresena, który już zdążył ruszyć, nie miał szans w porę zmienić kursu, pojechał dalej główną drogą za tirem.

- Widzieli nas? - spytał Antonio.

- Wydaje mi się, że nie - odparła Sihria. - Chociaż to właściwie możliwe.

- No tak, bo przecież siedzieli i czekali. - Unni aż dech zaparło w piersiach. - A kiedy nas zobaczyli, pokazali palcem, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Nareszcie są!”

- Czy wy właściwie nie wybieraliście się do Ramales de la Victoria? - spytał Jose - Luis.

- Owszem - odpowiedział Antonio.

- Wobec tego jedziemy tam - zdecydował Jose - Luis. - Balmaseda to bardzo przejrzyste miasteczko, trudno wam będzie się tam ukryć.

- Ale to daleko. No i Silvia miała jechać do Balmaseda.

- Daleko? Z Bilbao to zaledwie siedemdziesiąt kilometrów, a jesteśmy już w połowie drogi. Dojedziemy za trzy kwadransy. I gwarantuję, że Silvia dotrze do Balmaseda w porę.

Silvia kiwnęła głową na znak, że się zgadza. Mogła przecież zdrzemnąć się w samochodzie.

- Nam bardzo by to odpowiadało - powiedział Antonio łagodnie. - I oczywiście

zapłacimy za cały wasz trud.

- Dla nas to przyjemność - stwierdził Jose - Luis.

- Skąd oni, na miłość boską, mogli wiedzieć, że będziemy tędy przejeżdżać? - spytał wciąż oszołomiony Antonio po norwesku. - Unni, zaczynam się bać.

- Oni przecież wiedzą wszystko - jęknęła w odpowiedzi. - Przez cały czas śledzą nasze ruchy. Ale mogłabym przysiąc, że nie współpracują z bandą Emmy.

- O, nie, to rzeczywiście wykluczone. Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też nie. Ta dziwna, zmienna kobieta, o której; mówiłeś, ta, która jest teraz w samochodzie Mortena.. Sądziś, że ona może mieć coś z tym wspólnego?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło. Po prostu nie rozumiem tylko, w jaki sposób.

Podczas jazdy samochodem wszyscy czworo się ze sobą zaprzyjaźnili. Teraz jednak Silvia i José - Luis przestali się odzywać. Antonio domyślał się, że czekają na jakieś wyjaśnienia, są tylko zbyt delikatni i obawiają się, by nie uznano ich za ciekawskich.

Im mniej ludzi wiedziało o ich wyprawie wśród cieni śmierci, tym lepiej. Teraz jednak musiał coś zrobić. Odetchnąwszy głęboko, powiedział:

- Sprawa polega na tym, że wpadliśmy na trop czegoś, co zdobyć pragnie wielu innych. Wiercie mi, to my jesteśmy „dobrymi”. „Źli” są nasi prześladowcy, macie na to moje słowo honoru.

- Ale czegoś tu nie rozumiem - stwierdził Jose - Luis. - Widzieliśmy przecież, że uciekacie przed czymś już w Bilbao. Jak oni mogli dojechać tutaj przed nami?

- Nie, ci to zupełnie ktoś inny.

- No, to rzeczywiście, musieliście wywachać coś wielkiego - stwierdziła Silvia cicho.

- Bo tak też w istocie jest. Sprawa ma związek z dawnymi dziejami Hiszpanii. Nam wcale nie chodzi o pieniądze, w przeciwieństwie do tamtych. Niestety, nie mogę wyjawić nic więcej, nie wdając się w opowieść, która starczyłaby na całą drogę stąd co najmniej do Santiago de Compostela. Zresztą ścigają nas nie tylko te dwie grupy, z którymi mieliście okazję już zawrzeć znajomość. Tych grup jest aż pięć.

- Możecie działać bez współpracy z władzami? - dziwiła się Silvia.

- Pomaga nam młoda uczona, zajmująca się historią Hiszpanii, a także wysoki urzędnik państwowy. Znacie nazwisko don Pedro de Verin y Galicia?

Owszem, znali. Nazwisko Pedra stanowiło dobrą gwarancję. Unni w duchu zadawała sobie pytanie, ile to już razy bardzo im się przydało stanowisko Pedra. Po pokonaniu licznych zakrętów wyjechali z powrotem na główną szosę. Teraz znajdowali się już na odcinku pomiędzy Balmaseda a Ramales de la Victoria. Unni zauważyła, że teren zaczyna się

podnosić.

- Znów wjeżdżamy na wyżyny? - spytała z pewnym lękiem.

- Tak, będziemy jechać pod górę - odparł wesoło Jose - Luis.

- Wąskimi, krętymi drózkami?

- Miejscami tak.

- Ach... Czy mogę usiąść z przodu?

- Oczywiście!

Szybko zamieniła się z Silvią na miejsca. Wielki mercedes to wspaniały i wygodny samochód na szerokie, proste drogi, ale na wąskich pełnych zakrętów górskich drożynach jego sprężynująca miękkość potrafi wyjść nosem.

- Nie widać za nami żadnych świateł samochodowych - obwieściła Unni. - Wymknęliśmy się im!

- Na pewno wkrótce odkryją swój błąd - odparł Antonio złowieszczo.

- Nie ma obawy - uspokajał ich Jose - Luis. - Tego auta nie zdołają dogonić.

Unni nie mogła się powstrzymać, żeby nie pochwalić się samochodem, będącym własnością jej rodziny.

- W Norwegii jest niewiele dużych dróg, ale w Szwecji ojciec jeździ tak szybko, że mama musi go czasami upominać i prosić, żeby zmniejszył prędkość do stu pięćdziesięciu.

- To nic takiego! - stwierdził José - Luis z niezachwianą pewnością siebie. - Ja z tego wyciskałem już dwieście.

Unni nie pozwoliła mu na łatwy triumf:

- Jednego dnia przejechaliśmy osiemset kilometrów.

José - Luis otwartą dłonią uderzył w deskę rozdzielczą.

- To jeszcze nic, mnie się zdarzyło pokonać tysiąc kilometrów w jeden dzień, do Madrytu. I to nie raz!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Cudownie móc się wreszcie odprężyć!

- Czy to właśnie z don Pedrem macie się spotkać w Ramales de la Victoria? - zainteresowała się Silvia.

- Nie - odpowiedział Antonio. - Tam jest trzyosobowy zespół, który jedzie z południowej części Baskonii. Don Pedro i jego grupa podążają od strony Galicji. Muszą więc najpierw przejechać całą Asturię.

- Czy oni też jadą krętymi drogami?

- Tak, z pewnością jadą przez góry.

- Muszą koniecznie spróbować serów z górskich okolic Asturii! - stwierdziła z

ożywieniem Silvia. - Są naprawdę słynne.

- Ach, uwielbiam ciekawe sery! - wykrzyknęła Unni.

- I miejscowej wódki w wysokich, cienkich jak rurka butelkach - dodał Jose - Luis.

Silvia roześmiała się.

- Mój dziadek, który ma dziewięćdziesiąt sześć lat, pije codziennie kieliszeczek, nim się zdrzemnie. To go utrzymuje w dobrym zdrowiu.

- Nie ucz Unni złych zwyczajów - uśmiechnął się Antonio. - Ale to rzeczywiście brzmi nieźle.

- Czy nie możemy zadzwonić do Jordiego i poprosić go, żeby nam kupił - poprosiła Unni - mnóstwo serów i może... - Głos jej zrobił się cienki i błagalny: - ... butelkę albo dwie?

- Teraz? Teraz to oni śpią i musimy im na to pozwolić.

- Ale na niebie zaczyna już jaśnieć.

- Na razie to tylko wąski pasek na horyzoncie. Unni westchnęła.

- No tak, szkoda, że jest tak ciemno! Chętnie zobaczyłabym krajobraz. A widać tylko falujący horyzont i od czasu do czasu jakieś nagie drzewo.

Górska droga była, łagodnie mówiąc, kręta.

Jakiś tir, któremu najwyraźniej się spieszyło, ciągnął tuż za nimi, nie mogąc ich wyminąć. Unni zauważyła, że José - Luis nuci pod nosem.

- Zaczynasz śpiewać za każdym razem, gdy ktoś chce nas wyprzedzić - uśmiechnęła się. - Mój ojciec reaguje podobnie, tylko że on wzdycha i pojękuje.

José - Luis roześmiał się.

- Stare przyzwyczajenie.

- Wydaje mi się, że wielu kierowców w taki czy inny sposób odreagowuje sytuacje wymagające szczególnej uwagi - włączył się do rozmowy Antonio. - Powiedz mi, Silvio, jakie atrakcje ominęły nas w Balmaseda?

W dziewczynie natychmiast obudziła się przewodniczka.

- Stary most na rzece zbudowali Rzymianie jeszcze przed narodzeniem Chrystusa, został odbudowany w dwunastym wieku i jest absolutnie wart zobaczenia. Dalej mamy kościół San Severina, w połowie gotycki, a w połowie barokowy. No i wspaniałe arkady. Są też fabryki mebli, wykorzystujące doskonale drewno, którego dostarczają okoliczne lasy...

- Ach, tak, dziękujemy za informacje - powiedział Antonio dość cierpko. - Ten most rzeczywiście może być interesujący. Może uda nam się zobaczyć miasto w powrotnej drodze do domu.

Optymista, pomyślała Unni. Czy będzie dla nas jakaś powrotna droga do domu?

Wielka ciężarówka w końcu ich wyprzedziła. Znajdowali się teraz dość wysoko, poznawali to po linii horyzontu leżącej na niższym poziomie. Świt kazał jeszcze na siebie czekać. Unni wiedziała, że tu, na południu, światło dzienne pojawia się o wiele bardziej nagle niż na jej rodzinnej północy. Świt i wschód słońca nie trwają długo.

Na razie jednak wciąż panowała ciemność.

Silvia wyjaśniła, że jadą teraz przez przełęcz Esrita, i wkrótce potem dostrzegli przed sobą głęboką dolinę, w której tu i ówdzie jaśniały światła nielicznych wiosek.

- Dolina Carranza - powiedziała Silvia. Nagle José - Luis zaczął powoli hamować.

- Tam coś jest - oznajmił zdumiony.

Ach, nie, nie znów, pomyślał Antonio, mając świeżo w pamięci pojawienie się na drodze straszego Emile.

Mniej więcej na środku jezdni stała jakaś młoda dama, machając do nich ręką. Zbliżyli się do niej, rozważając oczywiście zatrzymanie się i przyjęcie jej z pomocą, gdy nagle koła samochodu wjechały na nieduży garb na jezdni, a światło reflektorów padło na twarz kobiety. Jej oczy błysnęły zielono, po kociemu.

- Jedź! - ryknął Antonio. - Na miłość boską, nie zatrzymuj się!

- Ale ona przecież stoi na środku drogi - zaczął José - Luis oburzony, ale Unni złapała za kierownicę a jednocześnie na sekundę przycisnęła pedał gazu.

Zarena uskoczyła w bok, bo nawet demon nie lubi być rozjechany przez samochód. Z mnichami sprawa przedstawiała się inaczej, lecz oni to jedynie fantomy, przez które można przemknąć na wskroś. Zarena, pomimo iż potrafiła się przeobrażać, stawać niewidzialna, zbudowana była z bardziej konkretnej materii.

- Ale my... - jęknął Jose - Luis.

W następnej chwili coś wylądowało na dachu i samochód gwałtownie się zatrząsł. W końcu jednak uchwyt napastniczki wyraźnie zelżał i usłyszeli jeszcze tylko wściekły syk, który z wolna cichł, kiedy Jose - Luis, zdoławszy odzyskać panowanie nad autem, pognął naprzód.

- Coś mi się wydaje, że tej pani nie bardzo się spodobało nasze zachowanie - stwierdził Antonio słabym głosem.

Poranne światło z wolna zalewało już piękną dolinę Carranza. José - Luis z trudem panował nad drżeniem dłoni, mocno zaciskając je na kierownicy.

- Co to było? - spytała Silvia, skulona w kącie, odzyskując wreszcie mowę.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparł Antonio. - Ale mieliśmy już do czynienia z upiorami wywodzącymi się z piętnastego wieku, zarówno z rycerzami, jak i z katami

inkwizycji, którzy starają się uchodzić za mnichów, lecz doprawdy trudno ich tak nazwać. Spotkaliśmy też dobrą czarownicę i złego czarownika z tej samej epoki. Ze wszystkimi jakoś nauczyliśmy się obchodzić, ale ta kobieta...? Mówiłem o pięciu różnych grupach przeciwników, ona musi należeć do szóstej.

- I najgorszej? - spytała Unni.

- Bez wątpienia. Nie rozumiem jej natury. Nie wiem, czym ona jest, ani skąd pochodzi.

Dotychczas tak dobroduszny i pogodny José - Luis milczał. Unni rozumiała go, zapewne najchętniej wysadziłby ich gdzieś na bocznej drodze.

- Ale co wy właściwie znaleźliście? - dopytywała się Silvia.

- Na razie jeszcze nic - odparł Antonio. - Mamy do czynienia z prastarym przekleństwem, Życie wielu naszych przyjaciół jest zagrożone, jeśli nie znajdziemy dla nich ratunku. Szukamy pewnej ukrytej, zapomnianej doliny, która może przynieść nam odpowiedź na wszystkie zagadki - W rejonie Carranza?

- To raczej nie jest nasz ostateczny cel. Musimy jechać dalej.

W samochodzie zapanowała cisza, gęsta i nieprzyjemna.

- Dobrze, przedstawię wam główne punkty - zdecydował wreszcie Antonio, wzdychając. Należało jakoś wytłumaczyć pojawienie się owej makabrycznej kobiety. - Może ty, Silvio, jako przewodniczka zdołasz podsunąć nam jakąś wskazówkę?

- Ale dlaczego Carranza?

- Szukamy pewnej groty na granicy pomiędzy Baskonia a Kantabrią.

- To gorzej, bo jest ich co najmniej kilka. Dwie duże. Jedna w dolinie Carranza w Baskonii, a druga w pobliżu Ramales de la Victoria, po stronie kantabryjskiej.

- Cóż, nikt nie obiecywał, że cokolwiek przyjdzie nam łatwo - westchnęła Unni z ponurą miną. - Antonio, zastanawiałam się nad czymś. Ty nie za bardzo reagujesz na magicznego gryfa Asturii, którego nosisz na piersi. W razie niebezpieczeństwa on się robi ledwie ciepły, prawda?

- Owszem.

- Coś mi się wydaje, że powinniśmy zamienić się na amulety, w ten sposób lepiej będziemy mogli wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo. Ty dostaniesz mojego gryfa miłości z Vasconii. Przyda ci się pod nieobecność Vesli, może dzięki niemu lepiej odczujesz swoją bliskość?

Antonio zgodził się na to bez sprzeciwów i zaraz wymienili gryfy.

Zjeżdżali teraz w dół. W tym czasie Antonio w krótkich zarysach wprowadził dwoje

Basków w całą historię, Unni zaś wypatrywała słynnych sępów.

Nie zauważyła jednak żadnego. Być może pora była na to zbyt wczesna.

6

Morten miał wrażenie, że wybrał się na przyjemną przejażdżkę ze swymi trzema damami. Tak było na początku.

Przewodniczka Claudia szybko odnalazła wspólny ton z resztą pasażerów. Wprawdzie Sissi nie bardzo podobało się, że Claudia zajęła miejsce obok Mortena z przodu, ale ponieważ miała wskazywać drogę, nic nie dało się na to poradzić.

Claudia okazała się dość dziwaczną osobą. Nawet na chwilę nie zdjęła ciemnych okularów przeciwsłonecznych, a tematy konwersacji, na które zabierała głos, też wydawały się ograniczone. Ach, wiedziała wszystko o starych budynkach, kościołach, zamkach i dworach, lecz gdy rozmawiali o nowoczesnych wynalazkach i cudach techniki, milczała jak zaklęta. Raz Morten odezwał się po norwesku, a Claudia natychmiast odpowiedziała mu po hiszpańsku. Zaraz jednak się poprawiła: „Przepraszam, co teraz powiedziałeś? Chyba nie zrozumiałam...”

Flavia obserwowała ją podejrzliwie i okazywała jej wyraźną rezerwę, Sissi jednak zachowywała się otwarcie i naturalnie, jak zwykle.

Do Ramales de la Victoria dotarli wieczorem, na wiele godzin wcześniej niż Antonio i Unni dojechali taksówką do doliny Carranza.

Było już ciemno, wciąż jednak dostatecznie wcześnie, żeby zjeść obiad.

Miejsca w hotelu nie dostali, znaleziono im jednak kwatery prywatne. Flavia przystała na to w milczeniu. Doprawdy, miała okazję spróbować znacznie twardszego życia niż to, do jakiego przywykła, lecz chociaż czasami na jej twarzy malował się wyraz udręki, to jednak nigdy nie narzekała głośno.

W mieście natomiast było kilka dobrych restauracji. Claudia oświadczyła, że chociaż będzie nocować gdzie indziej, to i tak chętnie zje z nimi obiad. Przecież tak się ze sobą zaprzyjaźnili.

Wciąż nie zdejmując ciemnych okularów, usiadła razem z nimi przy stoliku. Rozmawiali, żartując w kilku językach, i Sissi pokazała swoje prawdziwe talenty. Flavia jednak wciąż okazywała rezerwę wobec Claudii. Ukradkiem obserwowała przewodniczkę i najwyraźniej nie podobało jej się to, co widzi.

Morten w miły i grzeczny sposób dał do zrozumienia, że dalej nie będą już mogli zabrać dodatkowej pasażerki, z czym Claudia beztrąsko się pogodziła. I tak miała przez kilka dni zostać w Ramales de la Victoria, zanadto więc nie pokrzyżowali jej planów.

Oni również zamierzali zostać tu przez jakiś czas, planowali wszak przeszukać groty, lecz nie zdradzili się z tym ani słowem. Z takiego czy innego powodu wzdragali się spytać Claudię o groty, wstrzymywał ich chyba przed tym zdrowy instynkt.

Morten czuł się trochę nieswojo. Podczas nieobecności Antonia to on objął dowodzenie i tak też starał się zachowywać, ignorując niemądry wewnętrzny głos, który przez cały czas nie przestawał mu szeptać, że zarówno Flavia, jak i Sissi równie dobrze jak on nadają się na szefa grupy.

Nie bardzo rozumiał, jak to możliwe, że Antonio miał przyjechać z Bilbao, w dodatku razem z Unni. Przecież to się nijak nie składało.

On również kontaktował się z Jordim. Całej jego grupie niewypowiedzianie ulżyła świadomość, że Unni znalazła się w bezpiecznych rękach. Mogli spokojnie udać się na spoczynek w swojej małej wiosce na pustkowiu.

Morten wyraził przed Antoniem swoje współczucie dla Jordiego. Jordi bez Unni? To przecież nie do pomyślenia!

- Dobrze im to zrobi - odparł Antonio krótko i bez serca - Przecież nie rozstali się nawet na godzinę, odkąd spotkali się w Stryn, tysiąc milionów lat temu. Spróbują teraz czegoś nowego.

Morten usłyszał w tle chichot Unni.

Teraz przy obiadowym stole westchnął ciężko. Szczerze pragnął, żeby był z nimi Antonio. Już sama kwestia wyboru jedzenia... Zamówienie musiała składać Flavia, bo on nie rozumiał ani słowa z karty. Dostali specjalność zakładu: *sopa de melon y bogavante, falsos raviolis de bonito rellenos de mousse de idem, carreras de buey a las verduras frescas*, na deser zaś *pastel de chocolate caliente*.

Zrozumiał z tego przynajmniej tyle, że będzie to zupa melonowa z czymś, pierożki nadziewane jakimś musem, mięso ze świeżymi warzywami i chyba gorące ciastko czekoladowe.

Chociaż nazwy potraw brzmiały nie najlepiej, to jednak wszystko smakowało wybornie.

Dowiedzieli się, że Antonio rozmawiał z Veslą i że w Norwegii wszystko jest w jak najlepszym porządku. Podali mu swój adres, zdawali sobie jednak sprawę, że Antonio i Unni tak prędko tutaj nie dotrą.

Gdy siedzieli już przy kawie, z zewnątrz dobiegł nagle huk eksplozji. Zdrętwieli.

- Przecież opuściliśmy już Kraj Basków - mruknął Morten.

- To nic nie znaczy - odparła Flavia równie cicho. Wszyscy podeszli do okna, żeby

zobaczyć, co się stało. Tajemnica prędko się wyjaśniła: wciąż jeszcze się dymiło z rury wydechowej jakiegoś starego samochodu.

Z ulgą powrócili do stolika. Claudia oznajmiła, że nie będzie piła kawy, podziękowała za podwiezienie i wspólny posiłek w miłym towarzystwie, a potem opuściła ich, obiecując pożegnać się z nimi następnego dnia rano.

Pozostali we trójkę.

- No tak, już po wszystkim - stwierdziła Flavia krótko.

- Nie polubiłaś jej? - na pół skonstatowała Sissi.

- Miała w sobie coś dziwnego, coś, co wzbudzało nieufność.

- Ja niczego takiego nie zauważyłem - stwierdził Morten i wypił wielki łyk *irish coffe*.

Uznał, że zasłużył sobie na to po całym długim dniu jazdy samochodem.

Flavia również się napiła, a i Sissi spróbowała swojej kawy. Zaraz jednak zmarszczyła czoło.

- Czy to ma tak smakować? - spytała zdziwiona, podając szklankę Mortenowi. - Spróbuj!

Morten ostrożnie zanurzył usta.

- Ależ skąd! - stwierdził zaniepokojony. - Jest zupełnie inna niż moja.

- Czuję się trochę dziwnie - powiedziała Sissi, a z oczu bił jej lęk. - Nie widzę wyraźnie.

Flavia wstała.

- Claudia! Gdzie ona mieszka?

- Nie wiem - odparł Morten. - Chodźcie, wrócimy do naszych pokoi!

- Dlaczego to mnie stale musi się coś przytrafiać - poskarżyła się Sissi, wspierając się na Mortenie, gdy opuszczali restaurację.

- Nie wiem - odparł wystraszony. - Nic nie rozumiem. Zaraz spróbuję znaleźć jakiegoś lekarza. Nie, Flavio, nie możemy wezwać policji, to będzie wymagało zbyt wielu wyjaśnień. Dzięki Bogu, że nie wtajemniczyliśmy Claudii w cel naszej ekspedycji. Zajmiemy się tobą, Sissi, możesz mi zaufać!

Morten w jednej chwili zmienił się w dużego, silnego i skutecznego w działaniu. Nikomu nie wolno skrzywdzić jego Sissi.

Nawet jeżeli w samochodzie flirtował trochę z dziwną tajemniczą Claudią.

Miał nadzieję, raczej próżną, że Sissi niczego nie zauważyła.

Jednocześnie

Całkowicie bezradni rycerze mogli jedynie przyglądać się temu, co się dzieje.

Towarzyszyli swoim protegowanym do ich skromnego miejsca noclegu i widzieli, że przyszedł lekarz, który zajął się Sissi najlepiej jak umiał, i dziewczyna mogła w końcu spokojnie się położyć, pilnowana przez wykazującego nadmiar opiekuńczości Mortena.

„Nie poddają się” - stwierdził don Federico z ponurą miną.

„Żadne z nich. Również ci w tym drugim obozie. Ani też ci dwoje, którzy dopiero tu jadą. Są doprawdy wyjątkowo dzielni” - przyznał don Ramiro.

„Kiedy demony zwabiły młodego medyka Antonia i dzielną Unni wprost w pułapkę, sądziłem, że to już koniec” - powiedział don Garcia.

„Wrogowie omylili się co do naszej Unni - uśmiechnął się surowo don Galindo. - Przez cały czas jej nie doceniają. Ta dziewczyna ma w sobie olbrzymią moc, tylko jeszcze o tym nie wie”.

„Prawie do obłędu wystraszyła katów - zachichotał don Sebastian. - Ale jutro ma się spotkać z tą diabolicą Zareną. Jak to się skończy?”

„Obawiam się, że posypią się iskry” - powiedział zamyślony don Federico.

„Unni jest wspaniała - zauważył przodek dziewczyny, don Sebastian. - Ale pod względem sił nie może się mierzyć z demonem, a już zwłaszcza wtedy, gdy nie ma przy niej Jordiego”.

„Może jednak powinniśmy wezwać Urracę?” - spytał młody don Ramiro.

„Zobaczymy - odparł don Federico. - Przekonamy się, co się stanie”.

Kiedy Morten poszedł do siebie, Sissi wciąż nie mogła zapanować nad niepokojem. W końcu wstała i usiadła na fotelu. Ręce nerwowo zacisnęła na poręczach.

Była wystraszona i czuła się nieszczęśliwa. Uczucie, że ktoś cię nie lubi i chce twej krzywdy, zawsze jest paskudne. I nawet gdy zostaje wyrażone tylko słowami, pozostaje nieprzyjemne, a co dopiero, gdy ma się do czynienia z tak namacalnym ujawnieniem złych zamiarów, z nienawiścią, jaką przesycone jest działanie z zimną krwią.

Cóż, być może tu nienawiści nie było, o tym Sissi nic nie wiedziała, jasne jednak się stało, że jest osobą ze wszech miar niepożądaną.

To przykra myśl. Sissi czuła się taka mała i samotna. Ach, gdyby tylko był tu Antonio! On wprawdzie miał pewną szaloną teorię o jakimś diabelstwie, które przyczepiło się do nich po drodze i objawiało w różnych postaciach, ale Sissi była niemal skłonna przyznać mu rację. Antonio jednak dawał poczucie bezpieczeństwa, a w tej chwili właśnie tego najbardziej potrzebowała.

Zastanawiała się nad wezwaniem swoich giermków, Hassego i Nissego, wiedziała, że stawiliby się natychmiast. Nie mogła tego jednak zrobić, nie pytając uprzednio reszty o zgodę.

Och, doprawdy, bardzo przydałoby jej się dwóch silnych strażników z gwardii przybocznej! Mimo to jednak nie miała pewności, czy powinna wciągać Hassego i Nissego we wszystko, co się tutaj działo. Oni wprawdzie reprezentowali siłę w czystej postaci, lecz te ataki miały w sobie zbyt mało konkretów i tyle niewyjaśnionych elementów, ci dwaj więc nie byli chyba najodpowiedniejszymi osobami, które należało zaangażować w tego rodzaju sprawy.

Sissi musiała przyznać, że bez względu na to, jak silny, mądry i opiekuńczy usiłuje być Morten, to mimo wszystko jest zawodnikiem wagi lekkiej, i to w wielu dyscyplinach. Nie pomagała mu też Flavia, wciąż traktująca go jak małego chłopca, któremu kiedyś była macochą. Na pewno nie robiła tego celowo, ale stale wykazywała wobec niego nadopiekuńczość. A to wcale nie poprawiało sytuacji chłopaka.

Sissi ani trochę nie żałowała wyprawy do Hiszpanii, wprost przeciwnie, walczyła wszak o życie tak samo jak Jordi, Unni i Morten. Jeśli im się nie powiedzie, wszyscy czworo umrą w ciągu niespełna trzech lar. No i przecież tak doskonale czuła się razem z pozostałymi członkami ekspedycji.

Cóż więc z tego, że od czasu do czasu oberwie trochę po głowie? Musi to znieść. Tylko dlaczego akurat ona?

Zacisnęła dłonie na poręczach fotela, aż pobieleły jej kostki. W tej chwili miała wrażenie, że z każdej strony coś jej zagraża. Jedyne podpory byli Morten i Flavia. Flavia naprawdę doskonale radziła sobie z rozwiązywaniem problemów praktycznych. Była jednak kobietą z wyższych sfer, nie umiejącą przeciwstawić się atakom przemocy i nadprzyrodzonym zjawiskom.

Ta straszna tajemnicza Claudia! Cóż, rano czeka ją niespodzianka. Oczywiście sądzi, że Sissi została już sprzątnięta z drogi, ale nie, nie pójdzie jej tak łatwo!

Sissi skuliła się w fotelu. Naprawdę trudno być dzielną i twardą, gdy się wie, że ktoś czyha na twoją zgubę. To doprawdy bardzo przykre.

Ach, gdyby tylko był tu Antonio! I Jordi z Unni, i Pedro z Gudrun. Czułaby się wtedy dużo bezpieczniejsza.

A Morten...?

Westchnęła głęboko. Cóż, nie mogła nie zauważyć, że Morten ogląda się za wszystkimi ładnymi dziewczynami, ani tego, jaki uwodzicielski robił się jego głos, gdy tylko zaczynał z którąś z nich rozmawiać. Nawet z tą wstrętną Claudią!

To oczywiście typowy przykład braku pewności siebie, niedoceniaenia własnej osoby, element odwiecznej pogoni mężczyzny za dowodami własnej atrakcyjności. Nie przypuszczała, by Morten tak naprawdę zastanawiał się nad swoim zachowaniem ani też by miał świadomość, jaką przykrość potrafi zrobić osobom, które darzą go głębszym uczuciem.

Westchnęła jeszcze głębiej.

Myśli Sissi automatycznie przeszły do innej nieprzyjemnej sprawy.

Pierwsze spotkanie z Mortenem było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Jego złocisto - blond włosy i intensywnie niebieskie oczy, ciepły, otwarty uśmiech i pogodne usposobienie sprawiały, że w jej oczach stał się niemal egzotycznym romantykiem. Okazywał jej taką rycerskość, sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego, natychmiast stopił jej serce. Tak bardzo różnił się od wielu jej twardych, obcesowych kumpli. Wydawał się jej wówczas jakby wprost żywcem wyjęty z jakiegoś romansu. A to, że natychmiast wychwytał jej sygnały mówiące, że nie chce z nim od razu iść do łóżka, jeszcze dodatkowo umocniło w niej jego obraz jako dżentelmena. No i ta niezwykła rycerska przygoda, w którą był wmieszany...

A potem spotkała braci Vargasów i Morten wrócił na swoje miejsce. Sissi zrozumiała, że jego opowieści o własnych bohaterskich czynach zostały zbyt mocno podkoloryzowane.

Coraz częściej musiała przyznawać, że jest od niego silniejsza, i to zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym.

Usiadła prościej. I co z tego? Czy stale ma udawać, że jest słabą małą idiotką, aby on mógł chodzić dumny jak paw ze swej męskości?

To przecież na dłuższą metę niemożliwe. Jeśli on traktuje ją poważnie, to, doprawdy, musi zaakceptować - ją taką, jaka jest. Ojej, ale się teraz zawstydziła! Skoro wymagała tego od niego, to chyba jego również po - winna zaakceptować w pełni. Jakżeby inaczej!

Jakoś dałaby sobie z tym radę, ale z jednym wyjątkiem: On musi w końcu przestać się oglądać za wszystkimi ładnymi dziewczynami. Nie flirtować z nimi w przekonaniu, że jest Don Juanem o nieodpartym wdzięku. Gdzieś musi istnieć jakaś granica.

Wszystkie te przemyślenia zmusiły ją do zadania sobie pytania, czy naprawdę jest zakochana w Mortenie.

Owszem. Lecz czy dostatecznie mocno?

Potrzebowali czasu, powinni więcej o tym wspólnie porozmawiać, a na razie skoncentrować się przede wszystkim na zagadce rycerzy. Zapomnieć o sobie.

Dobrze, że jeszcze ze sobą nie spali. Sissi wciąż czuła, że jeszcze do tego nie dojrzała.

Teraz wreszcie mogła iść do łóżka. A była już na to najwyższa pora.

Nadszedł ranek. Ten sam ranek, w którym grupa Jordiego opuściła Veigas, daleko na zachodzie, żeby odnaleźć miasto Tineo lub też jakąś inną miejscowość pomiędzy „Mostem do Piekła” i „Zaroślami Dzieci”.

Tego samego poranka Antonio i Unni o mglistym wschodzie słońca przejechali przez dolinę Carranza i zaczęli zbliżać się już do Ramales de la Victoria tuż za granicą Kantabrii. Opuścili już Baskonię i rejon Carranza ku wielkiemu rozczarowaniu Unni, której nie udało się zobaczyć ani jednego sępa. Było jednak, jak już wspominaliśmy, bardzo mglisto.

Silvia, przewodniczka, otrzymała wiadomość, że oprowadzanie turystów w Balmaseda zostało odwołane z powodu „niestawiennictwa wiernych”.

O „niestawiennictwie wiernych” mawiano kiedyś w sytuacjach, gdy trzeba było odwołać nabożeństwo, ponieważ do kościoła przyszło zbyt mało osób lub nie przyszedł wręcz nikt. Obecnie pastory cieszą się chyba, gdy przyjdzie w ogóle ktokolwiek. Nieprzyjemnie musi być duchownym w naszych czasach. Dawniej było inaczej. Parafianie mieli obowiązek chodzenia do kościoła, a z ambony grzmiano o grzechu, zatraceniu i piekielnych mękach, ludzie więc stawali się religijni z czystego strachu.

W wypadku Sylvii nie było mowy o religii. Tym razem przeważała niechęć turystów do długich wędrówek, woleli raczej posiedzieć na tarasie w hotelu, bez pośpiechu jeść

śniadanie gawędząc, wypić drinka, a potem iść do miasta na zakupy.

Właściwie Silvia przyjęła wiadomość z ulgą. Czowała się okropnie zmęczona po długiej nieprzespanej nocy spędzonej w samochodzie i tak niezwykle, przerażających przeżyciach. Razem z Jose - Luisem przyjęli od Unni i Antonia zaproszenie na wspólne śniadanie. Mieli na to i czas, i ochotę.

Trzy grupy utrzymywały między sobą stały kontakt telefoniczny. Wszyscy zatem wiedzieli, w jakim miejscu znajduje się reszta. Nie mogli przecież nikogo stracić, Jordi i Unni prawie się nie rozłączali.

Gdy siedzieli w samochodach lub gdy ktoś inny był w pobliżu, ich rozmowa przebiegała normalnie, dowiadawali się, gdzie są pozostali, dyskutowali o tym, co się wydarzyło i co należy przedsięwziąć dalej, żartowali, z przyjemnością słuchając swoich głosów...

Ale kiedy tylko mogli skraść dla siebie kilka minut prywatnej rozmowy, ton natychmiast się zmieniał.

- Unni, nie umiem żyć bez ciebie. Już tak nieopisanie za tobą tęsknię.

- A ja za tobą. To okrutne!

- I tak się o ciebie boję, kiedy jesteś daleko. Nie mogę o niczym myśleć. Chciałbym, żebyś była bezpieczna przy mnie, żebym mógł cię chronić, wiedzieć, że tu jesteś.

- Dam sobie radę. Mam magicznego gryfa Asturii, nie musisz więc niepotrzebnie się martwić, ale dłużej tak być nie może. Nie powinniśmy być rozdzieleni. Jordi, uzależniłam się od ciebie.

- Wiem, ja też tak to odczuwam - uśmiechnął się. - Unni, czy już ci mówiłem, że kocham twoje błyszczące oczy?

- Tak, ale powtórz to jeszcze raz, wydaje mi się, że wytrzymam.

- I twoje lśniące czarne włosy. Nareszcie są tej długości, w której bardzo ci do twarzy. I twoje ręce, w moich są takie małe. Uwielbiam trzymać cię za rękę, to takie podniecające.

Unni tak bardzo się ucieszyła, a jednocześnie zawstydzona, że mało brakowało, a zaczęłaby chichotać, w porę jednak się opanowała.

Jordi powiedział coś o dziecku, którego oczekiwali. Unni nie za dobrze słyszała, bo akurat przenosiła telefon do drugiego ucha.

- Jordi, ono ciągle jest, a ja nie znoszę jazdy po tych wąskich górskich drożynach. Te drogi prowadzą wprost do poronienia, dostaję od nich choroby morskiej. Połykam stale tabletki, tak że zasypiam raz na pół godziny. To chyba nie jest najlepsze rozwiązanie?

- Uważaj na lekarstwa. Nie wiem, na ile szkodliwe mogą być środki przeciwko

chorobie lokomocyjnej, ale ja nie o tym mówiłem. Powiedziałem, że Vesla próbowała się z tobą skontaktować. Ma ci coś do powiedzenia o twoim dzieciństwie.

- O moim? Ach, przepraszam, pogubiłam się w pokoleniach. Zaraz do niej zadzwonię.

Take care!

- *Miss you.*

Czasami łatwiej wyrażać uczucia w obcym języku.

8

Vesla w szpitalu przeżyła bardzo nieprzyjemną wizytę. Jej matka położyła obowiązkowy bukiet na łóżku i przysunęła sobie krzesło.

- Byłoby miło, gdybyś sama poinformowała mnie, że tu leżysz, nie musiałabym się o tym dowiadywać od innych - zaczęła ostro. - Ale żadną miarą nie przejmuj się mną!

Doskonale sama się sobą przejmujesz, pomyślała Vesla, ale mruknęła coś tylko o tym, że czuła się zbyt źle, żeby zadzwonić.

- Tak, tak, to doprawdy szczęśliwe rozwiązanie - stwierdziła matka zadowolona.

- Jakie rozwiązanie? - zdziwiła się Vesla.

- No, poronienie. Nie będziemy musiały zastanawiać się, co ludzie powiedzą. Będiesz też miała więcej czasu dla mnie, nie musząc zajmować się dzieciakiem.

Vesla gniewnie oznajmiła jej, że dziecko na szczęście żyje i że prawdopodobnie nie się w tym względzie nie zmieni. Matka, spuściwszy w dół kąćki ust, poskarżyła się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej.

- Ale dostałaś chyba z powrotem pieniądze, które wyłudził od ciebie ten flirciarz - kaznodzieja?

- Och, nie mów tak! - poprosiła pani Ødegård cienkim głosem. - Wobec mnie miał poważne zamiary, wiem o tym. Biedny człowiek! Z wielkim żalem i ciężkim sercem musiałam zrezygnować z podróży do Ameryki, o której marzę już od tak dawna!

Od dawna? Co najwyżej od trzech tygodni, pomyślała Vesla.

Matka z kwaśną miną kołysała głową.

- Tak, tak, odzyskałaś swoje akcje, które tyle dla ciebie znaczą. Dla ciebie czy też raczej, jak przypuszczam, dla tego łajdaka, który ci zrobił dziecko. Gdzie się zresztą podziewa ten twój elegancki zalotnik? Ten tak zwany lekarz, który nie chciał nawet słuchać o moich dolegliwościach. Doprawdy, zachował się wobec mnie bezwstydnie! - Nagle w utyskującym głosie zabrzmiał triumf: - Poza wszystkim mogę cię poinformować, że ci twoi wspaniali przyjaciele nie są wcale tacy eleganccy, jak ci się wydaje.

- Jakie plotki znowu przynosisz?

- Ja? Przecież nigdy nie słucham plotek! Ale pani Larsen słyszała od kogoś, kto jakiś czas temu pracował w ambasadzie w Santiago de Chile, że ta twoja najdroższa Unni wcale nie jest rodzoną córką tych zadzierających nosa Karlsrudów.

- O tym wszyscy doskonale wiemy.

Matkę Vesli na moment zbiło z pantałyku, zaraz jednak przygotowała się do zadania kolejnego ciosu.

- Pomyśl tylko, że ta Unni jest po prostu dzieciakiem jakiejś nędzarki, hiszpańskiej dziwki, i Indianina. Indianina z Ameryki Południowej!

- Ach, jaka wspaniała wiadomość! Unni bardzo się ucieszy, kiedy się o tym dowie. Zresztą wszyscy się ucieszą. My lubimy Indian. A teraz powiem ci, że będę ci bardzo wdzięczna, jeśli wychodząc, poprosisz pielęgniarkę, żeby wstawiła kwiaty do wody. Muszę odpocząć, jestem bardzo zmęczona.

- Ależ ja miałam zamiar porozmawiać z tobą o tym, jak to będzie, kiedy wyjdiesz ze szpitala. Nie możesz przecież mieszkać całkiem sama w tym wielkim domu, chętnie się do ciebie wprowadzę...

- Kiedy indziej, mamo, teraz muszę odpocząć. Naprawdę.

Nigdy w życiu nie dopuści do tego, żeby matka przeprowadziła się do niej, nigdy!

Pani Ødegård, urażona brakiem zainteresowania ze strony Vesli, prędko zamknęła za sobą drzwi, mamrocząc pod nosem: - Jak można nie mieć czasu dla własnej matki!

Unni, usłyszawszy nowinę o swoim pochodzeniu, musiała po prostu podzielić się nią z przyjaciółmi i obdzwonić wszystkich po kolei, tak wielka rozpierała ją radość, - Teraz już wiemy, skąd się wzięła ta twoja ciemna cera i włosy - podsumował Antonio. - I ta głębia w twoich oczach...

Jordi zaś powiedział:

- To wyjaśnia wszystkie twoje nadprzyrodzone zdolności. Indianie często mają takie rzeczy we krwi. Gratuluję, moja kochana!

Gratulacje złożyli jej wszyscy, Morten oczywiście jak zwykle nie mógł powstrzymać się od odrobiny złośliwości i stwierdził, że wyjaśnia to również pykniczny typ budowy Unni, niewysoką a szeroką sylwetkę. Unni tylko się śmiała.

Zastanawiała się, czy nie powinna zająć się odszukaniem ojca. Po raz pierwszy usłyszała jakąkolwiek wskazówkę, kim mógł być. Nagle jakby wyłonił się z cienia.

Rozważaniem tej kwestii zajmą się jednak później. Akurat w tej chwili dość mieli innych spraw na głowie.

Czwórka przybyła taksówką skończyła już śniadanie, kiedy pojawili się Morten, Sissi i Flavia, wszyscy nie bardzo wyspani Unni serdecznie przywitano we „wschodniej” grupie i teraz przy powiększonym z konieczności stoliku zasiadła już cała siódemka.

Mortena zaskoczyła jego własna reakcja. Ogromna ulga, jaką przyniosła mu

świadomość, że jest z nimi Unni. Wspaniale oczywiście, że Antonio również wrócił, gdyż dzięki temu z Mortena spadła odpowiedzialność. Ale dlaczego tak uradowała go obecność Unni? Przecież ona nie ma w sobie nic szczególnego, dlaczego taką ulgę sprawiło mu jej przybycie? No, oczywiście, to mistrzyni w unicestwianiu mnichów, ale. - Gdzie zresztą znajdowali się teraz ci ograniczeni mnisi? Od dawna się nie pokazywali Morten naturalnie nie wiedział nic o tym, że pozostawili całą brudną robotę Zarenie, demonowi zemsty. Kaci inkwizycji mogli siedzieć w spokoju i tylko ją dopingować, nie narażając własnej wyschniętej skóry na niebezpieczne znaki Unni.

Wszyscy chcieli zadać Silvii i Jose - Luisowi mnóstwo pytań, no bo któż lepiej mógł znać te okolice niż przewodniczka i taksówkarz? Kantabria nie była wprawdzie regionem, który znali jak własną kieszeń, oni przecież pochodzili z Bilbao w Baskonii, coś jednak zawsze wiedzieli, na przykład o grotach.

- Groty! Groty! - wybuchnęła nieoczekiwanie Flavia. - Jeśli jeszcze raz usłyszę to słowo, zacznę krzyczeć. Nie życzę już sobie żadnych grot, ani jednej!

W końcu jednak uspokoiła się i uśmiechnęła z pewnym zawstydzeniem.

- No dobrze, posłucham, jak będziecie o nich rozmawiać, ale moja noga nigdy tam nie postanie. Nawet tam z wami nie pojedę!

- Ale przecież nie możemy zostawić cię tutaj - zaprotestował Antonio.

- Zamknę się na klucz w swoim pokoju. Kupię nową komórkę i będziemy przez cały czas w kontakcie.

Wyraźnie było widać, że Antoniowi nie podoba się jej decyzja, ale nic więcej nie powiedział. Rozmawiali dalej o grotach.

Głos zabrała Silva:

- O grotach Covalanas w Kantabrii wiem niewiele, właściwie tylko tyle, że leżą one niedaleko stąd. Natomiast grotę Pozalagua w rejonie Carranza w Baskonii znam lepiej. Położona jest koło wioski Ranero, w pionowej stromej skale, i jest niezwykle interesująca dla grotolazów. Niesłychanie piękna...

- Chcę ją zobaczyć! - wykrzyknęła Unni. Nie ona jedna miała na to ochotę.

- Została odkryta w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym, kiedy olbrzymim świdrem dowiercono się do prawdziwej galerii stalaktytów o bardzo niezwykłych formach. Turystom grotę udostępniono w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym.

- Brzmi to świetnie - stwierdziła Sissi. - Ale czy naprawdę tam mamy szukać? W piętnastym wieku nie było żadnych olbrzymich wiertel, które mogłyby otworzyć drogę posłańcom niosącym skarb.

Ogarnęło ją przygnębienie. Wszyscy, z wyjątkiem Flavii, chcieli zobaczyć akurat tę grootę. Wtrącił się Jose - Luis:

- Jest jeszcze inna grotka, tuż obok. Grotka Santa Isabel. Ale zamknięto ją dla turystów.

- Dlaczego? - spytał czujnie Antonio.

- Ze względu na nietoperze.

- Ach, uwielbiam nietoperze! - zawołała Unni.

- Sępy i nietoperze! - westchnął Morten. - Skąd ty wytrzasnąłeś taką bratową, Antonio?

Unni zbyła go machnięciem ręki.

- To miejsce schronienia nietoperzy, prawda? Coś w rodzaju rezerwatu?

- Właśnie tak - odparł Jose - Luis.

- No, to nie będziemy im przeszkadzać. Mów dalej, Silvio!

- Dlaczego nie pojechać tam od razu?

Wszyscy się zapalili do tego pomysłu. Flavia odprowadziła ich przynajmniej do drzwi. Kiedy znaleźli się na ulicy, okazało się, że poranna mgła się podniosła, niebo było czyste, błękitne.

A Unni, tak rozczarowana brakiem sępów w dolinie Carranza, mogła wreszcie cieszyć oczy widokiem olbrzymich ptaków, krążących na tle błękitu.

- Ach! - westchnęła tylko, ogarnięta zachwytem.

- Właśnie na ciebie się zamierzają - zażartował Morten. - Na taki okrągły, dobrze wysmażony na słońcu kąsek.

- Lepiej uważaj na siebie, sępy nie są wybredne. Ach, że też nie mam aparatu fotograficznego!

Morten prychnął:

- To by było tak jak robienie zdjęcia księżycowi. Na zdjęciu wygląda jak mała kropka.

A sępy będą całym mnóstwem maleńkich niewyraźnych kropek.

- A gdyby tak się przybliżyły? Zdejmij koszulę, na pewno zaraz przyfruną i będę miała świetne zdjęcie. Zrobię je, zanim urządzi sobie ucztę na twoim trupie bladym ciele - odparowała Unni.

- Rzeczywiście, i ja zaczynam się zastanawiać, skąd wziąłem taką bratową - roześmiał się Antonio lekko wstrząśnięty.

- A poza tym nie jestem ani trochę okrągła - oznajmiła urażona Unni.

- Rzeczywiście, raczej kwadratowa - poprawił się Morten. - A ja wcale nie jestem trupio blady, chcesz zobaczyć?

- Nie, nie, dziękuję - szybko powiedziała Unni. - Czy nie możemy wyjść na tę łąkę tam, żebym mogła zobaczyć je lepiej? Tu jest tyle domów, które przeszkadzają. Czy ktoś zrobi im dla mnie zdjęcie?

- Mam aparat w samochodzie - odparł Jose - Luis. - Z zoomem.

- Świetnie, wobec tego będę mogła podtrzymać znajomość z wami jeszcze przez jakiś czas - uśmiechnęła się Unni ciepło, bo zdążyła się już przywiązać do sympatycznych Basków.

Kiedy tak stali na łące, pokazując sobie palcami sępy, które zbliżały się i być może dałyby się sfotografować, w ich stronę nadciągnęła swobodnym krokiem jakaś kobieta w okularach przeciwsłonecznych. Nie był to wcale dziwny widok, bo przecież słońce świeciło mocno.

Morten pomachał jej ręką i zaraz zdumiony odwrócił się do Unni, usłyszał bowiem jej jęk.

- Kto to jest? - spytała Unni, chociaż z trudem dobywała słów.

- To nasza przewodniczka, Claudia - odparł Morten.

Unni nic więcej nie powiedziała. Wpatrywała się tylko w nadchodzącą, a potem sięgnęła do piersi, na której miała zawieszony gryfa.

To, że Antonio nie rozpoznał Zareny, nie było wcale takie dziwne. Po pierwsze, występowała teraz w zupełnie nowej dla niego postaci, jako chłodna, układna, pracująca zawodowo kobieta, a po drugie, nie zachował żadnych wspomnień ze swego poprzedniego spotkania z kobietą - demonem. Morten, Flavia i Sissi wytłumaczyli mu wprawdzie dokładnie, że jakiś młody mężczyzna o kobiecych rysach wysiadł ze swego samochodu i podszedł do nich, żeby zabrać Antonia, ponieważ jego ukochana Vesla miała za kilka godzin przybyć samolotem do San Sebastian. Teraz już wiedzieli, że Vesla jest bezpieczna i po dość poważnym kryzysie odzyskała formę w norweskim szpitalu, a to wszystko, co powiedział ów młody człowiek, było zwyczajnym kłamstwem. Antonio jednak nic nie pamiętał z tego spotkania, nie przypominał też sobie chwili, w której wsiadał do samochodu tego człowieka, Zarena więc nie bała się Antonia. Gwałtownie jednak się zatrzymała, napotykając spojrzenie Unni.

Na sekundę zapanowała całkowita cisza, jak gdyby wszyscy nagle postradali i słuch, i mowę. Pozostali niczego nie rozumieli, lecz w oczach zarówno Unni, jak i osoby podającej się za Claudię widać było prawdziwą desperację.

Claudia - Zarena prędko się opamiętała. Odwróciła się do Sissi i Flavii ze słodkim uśmiechem.

- Chciałam tylko się z wami pożegnać. Mój powóz odchodzi za chwilę. Życzę wam

przyjemnej dalszej podróży.

Odwróciła się i pobiegła.

Powóz? Co miała na myśli, mówiąc o powozie? Doprawdy, dziwaczne wyrażenie!

Wciąż panowała cisza. Kątem oka nie dało się dostrzec żadnych cieni.

Zadarli głowy, patrząc na niebo.

Wszystkie sępy zniknęły.

Jak gdyby coś je wystraszyło.

Zarena wezwała Tabrisa. Wyczuwał, że jest zła, a właściwie wściekła jak zawsze.

Dosyć już miał tych jej humorów. Wezwanie nie pasowało mu ani trochę. Siedział w samochodzie wraz z całą grupą, zbliżali się do pasma wzgórz, Punto del Palo, i nie miał ani czasu, ani możliwości, żeby odłączyć się od grupy.

Zarena jednak nie ustępowała. Syki jej rozkazu szumiały mu w głowie, miał ochotę odgonić je jak komary, to jednak było niemożliwe.

Jeszcze kogoś w samochodzie dręczył wielki niepokój. Juanę ogarnął nieprzyjemny lęk. Nie miała co do tego całkowitej pewności, lecz przypuszczała, że wkrótce wyjadą na większą drogę, a na skrzyżowaniu będzie najprawdopodobniej tablica z nazwą „Oviedo”. Wówczas któreś z nich może wpaść na pomysł, że Juanie podwiezienie jej aż do samego domu będzie bardzo na rękę i właśnie tam ją wysadzą.

Tymczasem ona wcale nie chciała się od nich odłączać, pragnęła im towarzyszyć dalej, aż do samego końca tej podróży.

Chyba że...?

Miguel pochodził przecież z Santiago de Compostela, które opuścili już dawno. Jak zamierzał wrócić do domu? Jemu będzie wolno towarzyszyć im przez cały czas, a jej nie?

Może również jego wysadzą w Oviedo i poproszą, żeby stamtąd wracał do domu pociągiem, autobusem albo samolotem?

A gdyby rzeczywiście rozstał się tam z grupą, to czy i ona by to zrobiła?

Wszystkie te rozważania stały się zbyt skomplikowane dla nieszczęsnej, udręczonej duszy Juany. Naprawdę gorąco pragnęła, by oboje mogli jechać dalej, lecz czy istniały ku temu jakieś rozsądne powody?

Prawdopodobnie nie.

Tak bardzo chciała zobaczyć, jak to się wszystko rozstrzygnie, przydać się do czegoś, być razem ze swymi nowymi przyjaciółmi, najlepszymi, jakich miała kiedykolwiek w życiu. I za nic nie chciała rozstawać się z Miguelem.

Dobry Boże, oby nikt nie wspomniał Oviedo!

W górze rysowały się już Punto del Paño. Juana napięła wszystkie mięśnie. Czy będzie tam znak z nazwą „Oviedo” wymalowaną krzyczącymi wielkimi literami?

Tabris - Miguel rozpaczliwie usiłował wymyślić jakiś powód, pozwalający mu na opuszczenie samochodu. Wzdrażał się przed tłumaczeniem konieczności poszukiwania

„ustronnego miejsca”. Nie było to godne demona.

Wjechali już na górę, gdzie powitał ich widok, od którego wprost kręciło im się w głowie, i wtedy Pedro zaordynował przystanek. Wszyscy mogli rozprostować nogi i pstryknąć kilka zdjęć, bo widok był doprawdy wspaniały.

Juana odetchnęła z ulgą. Nigdzie dookoła nie widać było żadnej tablicy drogowej.

Tabrisowi również ulżyło. Wprawdzie okolica była tu odsłonięta, lecz jednak tu i ówdzie sterczały samotne skały i widać było zagłębienia terenu, w których można się ukryć. Wyruszył więc pospiesznie, co raz upewniając się, czy nikt za nim nie idzie.

Oni jednak zajęci byli podziwianiem widoków i robieniem sobie nawzajem zdjęć.

Ach, ludzie, ludzie, kto ich pojmie!

Miguel zmienił się w Tabrisa, stał się niewidzialny i rozpostarł olbrzymie nietoperzowe skrzydła. Sekundę później spotkał się z Zareną.

Była bardziej wzburzona niż zazwyczaj.

Znajdowali się w otoczeniu szczytów, wśród mocno pofałdowanego krajobrazu Asturii. Współtowarzysze podróży Tabrisa nie mogli ich zobaczyć, choć błyskawice spadające z nieba na ziemię, wywołane przez tych dwoje, tworzyły na skalnych ścianach roziskrzone poświaty. A wszystko to sprawiał przede wszystkim gwałtowny gniew Zareny.

Tabris przesycony zgryźliwą nienawiścią stwierdził, że Zarena jest nieznośnie brzydka. Ona, o której w królestwie Ciemności mówiono, że jest najpiękniejsza ze wszystkich faworyt ich władcy. Tabris poczuł rozdzierające wątpliwości. To, o co wcześniej walczył - wyższa ranga w hierarchii demonów - wydało mu się nagle żalodne, gdy ujrzał przed sobą tego paskudnego, choć wysoko postawionego kobiecego demona.

Mój ty świecie, jakże ona wygląda! Aż trudno uwierzyć!

Najgorsze zaś, że on sam miał podobną do niej powierzchowność. Czy naprawdę mógł być z niej kiedyś dumny? Skrzydeł wielu mu zazdrościło, bo były naprawdę eleganckie, połyskująco zielone, z drobinami błękitu i żółci, ale potrafiły się zmieniać według jego woli, stawać szarobrunatne, niewidoczne w terenie. Bardzo wielkie, potrafiły unosić go z prędkością, od której kręciło się w głowie. Wiedział, że również Zarena chętnie by się z nim zamieniła. Zdradzały ją wszystkie złośliwe komentarze na temat jego skrzydeł.

Lecz że mógł być kiedyś dumny z całego swojego wyglądu...? Aż trudno mu było w to uwierzyć.

Zarena była naprawdę rozzłoszczona.

- Co się stało tym razem? - spytał Tabris z rezygnacją.

- Dobrze wiesz! - wypluła z siebie.

- Nie, naprawdę nie wiem. Zrobiłem to, co chciałaś. Uprowadziłem jedną z podejrzanych.

- Z podejrzanych? To doprawdy łagodnie powiedziane, ona jest przecież niebezpieczna!

- Mówiłem ci o tym.

- Nie mogłeś mnie wyraźnie uprzedzić? Jest o wiele groźniejsza, niż raczyłeś dać do zrozumienia. Potrafiła mnie przejrzeć na wskroś.

- Mnie się tak nie przyglądała.

- No tak, bo ty należysz do mało znaczących demonów Nuctemeron - stwierdziła Zarena z pogardą.

Poruszyła się, jakby chciała się na niego rzucić, ledwie panując nad frustracją.

- Nie mogę teraz wrócić do mojej grupy, ty głupcze i prostaku!

- Co więc zamierzasz robić? - spytał Tabris nie bez zadowolenia w głosie.

Zarena już podjęła decyzję.

- Zmieniamy grupy, ja przejmuję twoją.

- Bardzo chętnie - syknął w odpowiedzi. - Co to za ludzie?

- Niegroźni. Antonio jest bardzo przystojny i dość bystry, lecz nie ma pojęcia, kim jestem. Morten to szczeniak, łatwo go oszukać. Kobiety... - W głosie Zareny zabrzmiała bezgraniczna pogarda. - Flavia i Sissi to zera. Ignoruję je całkowicie. W ogóle ich nie dostrzegam. Natomiast ta nowa, ta, która przez ciebie zawisła mi u szyi jak młyński kamień... O, nie, dziękuję! A kogo ja dostanę?

Tabris zaczął się zastanawiać już w czasie, gdy ona to mówiła. Kto jej przypadnie? Zarena w jego grupie? Potężny don Pedro, władze poruszają niebo i ziemię, jeśli coś mu się stanie. Przyjaźnie nastawiona do świata Gudrun. Głupia, ale życzliwa. Juana. Jordi. Ta przeklęta Zarena wśród nich? Ten zdradliwy wstrętny demon zemsty?

- Nie możesz przejąć mojej grupy! - wykrzyknął z jękiem. Twarz mu się ściągnęła, jeszcze bardziej potworniejac.

- A to dlaczego? Mówiłeś przecież, że...

- Nie zastanowiłem się dobrze. Jordi! Jordi jest jeszcze bardziej niebezpieczny niż Unni. On cię natychmiast przeniknie.

- Wtedy go zabiję.

- Nie możesz tego zrobić, bo wydaje mi się, że on już nie żyje.

- Co?

- Słyszałaś, co powiedziałem. Właśnie dlatego jest taki niebezpieczny. Potrafi zajrzeć za zasłony dzielące życie od śmierci i prawdopodobnie również za te, które dzielą ich wymiar od naszego.

- Wobec tego pozabijam resztę, a on zostanie sam. Wtedy nie poradzi sobie z tym zadaniem, bez względu na to, na czym ono polega.

- Czy już zupełnie zmaćło ci się w głowie? Jak myślisz, co powie na to nasz władca? Przecież on chce wiedzieć.

Zarena zastanawiała się tak wzburzona, że aż prychała.

- No cóż, wobec tego będę ich śledzić z oddali. Nie wrócę do tej Unni.

- Równie dobrze więc możesz śledzić z oddali swoją grupę.

- Ty zawsze musisz wszystko popłatać. Tabrisa oblał zimny pot.

- Nie pozwalam ci tknąć żadnego z moich... więźniów. Chodzi mi o to, że... Jordi jest dla ciebie zbyt niebezpieczny.

Zarena, samolubna i zapatrzona w siebie, źle go zrozumiała. Podeszła bliżej. O wiele bliżej.

- Ależ, Tabrisie - zagruchała. - Widzę, że już pełzasz przede mną na kolanach.

Odepchnął ją od siebie, aż zatoczyła się w tył. Zanim zdążyła zrobić cokolwiek oprócz ratowania się przed upadkiem, Tabris wzbił się w powietrze i zniknął.

- Pożałujesz tego jeszcze, Tabrisie! Ty nędzny demonie piątej rangi bez znaczenia - szepnęła. - Wystarczy, że porozmawiam z naszym władcą, a tam na dole będziesz skończony.

- To mi wygląda na burzę tam, w górach na wschodzie - stwierdził zdziwiony Pedro. - To niezwykle o tej porze roku, w dodatku gdy nad nami jest zupełnie czyste niebo.

- W górach zapowiadali opady śniegu - uśmiechnęła się Gudrun. - Aż trudno w to uwierzyć. Śnieg wydaje się nieprawdopodobny, tak samo jak ta burza. Dziwna ostatnio pogoda.

- No, chyba jedziemy dalej - powiedział Jordi, chociaż wszyscy jeszcze stali, nie mogąc nasycić się widokiem.

- Gdzie jest Miguel? - spytała nagle Juana, która bardziej wypatrywała jego, aniżeli podziwiała oszalałymi piękne głębokie doliny i widniejące w oddali za nimi szczyty.

Obrócili się i popatrzyli w głąb płaskowyżu.

- Idzie tam - powiedział Pedro. - Zapłacił się gdzieś naprawdę daleko.

- Burza minęła chyba równie prędko, jak się zaczęła - stwierdził Jordi. - I dziwne, że nie słychać było żadnego grzmotu.

- Była daleko - wyjaśnił Pedro zwięźle.

Miguel podszedł do nich, jego ruchy zdradzały niepokój. Życzliwa Gudrun spytała z zainteresowaniem:

- Co cię tak poruszyło, Miguelu?

- Ach, nie ma o czym mówić! Myślałem jedynie o kimś znajomym z dawnych dni. Wsiadajcie do samochodu, tam będziemy bezpieczni.

- Bezpieczni? - powtórzył Jordi. Ale wyraz twarzy Miguela nie zachęcał do kolejnych pytań. Usadowili się w milczeniu.

Miguel prosił, by pozwolono mu jechać razem z Jordim, który był teraz osamotniony w swoim samochodzie czy też, mówiąc ściślej, w samochodzie Juany. Pozwolono mu na to.

Juana natomiast była z tego powodu głęboko nieszczęśliwa. Uparcie wyglądała przez okno, ale niewiele widziała, oczy bowiem miała aż błyszczące od łez.

Minęli „Most do Piekła”, w ogóle go nie zauważając, i zaraz pojawiła się droga skręcająca na Tineo.

- Pozostaje jeszcze sprawa serów dla Unni - przypomniała Gudrun.

- I tej mocnej wódki dla Antonia - uzupełnił Jordi.

- Hm, myślę, że sami też możemy trochę spróbować - ostrożnie uśmiechnął się Pedro.

Zarena została teraz wolnym strzelcem. Nie była przypisana do żadnej grupy, postanowiła jednak potajemnie przyjrzeć się tym, których Tabris „nie pozwolił jej tknąć”.

To nie jego sprawa, co ona robi.

Gdy więc zachodnia grupa dotarła do miasta Tineo, była już na miejscu i obserwowała ich ukradkiem w przebraniu starszego, nieporządnego mężczyzny z brodą i w brudnych okularach. Wiedziała przecież, że jej kocie oczy natychmiast ujawnią, kim jest. Tabris miał szczęście, gdyż jego oczy wyglądały całkiem jak ludzkie.

Był tam, wysiadł z samochodu! Zarena zachichotała. Rzeczywiście wybrał sobie niezłą powierzchowność! Zazdrościła mu, że może poruszać się jak zwykły człowiek wśród innych. Sama była za bardzo demonem, by jej się to powiodło. Tabris przebywał w królestwie Ciemności jedynie z łaski, ponieważ wszystkie duchy godzin zaliczano do gromady demonów. Stanowiły one jednak przypadki graniczne i nie cieszyły się poważaniem.

Zarena zateęskniła za powrotem do Ciemności. Zateęskniła, by władca skinął na nią palcem, a wtedy wiedziałaby, że noc należy do niej.

Tabrisowi nie pozwolono nawet pełnić funkcji jednego z wielu jego strażników.

Ta dziewczyna, która wysiadła z drugiego powozu, była całkiem zadurzona w Tabrisie, wyglądała na nieszczęśliwą. Szkoda, że nie wie, co się kryje za tą jego słodką powłoką! Gdyby rozpostarł te swoje słynne skrzydła. Przeklęte skrzydła, sama pragnęła je mieć. Byłaby wtedy najbardziej atrakcyjna wśród wszystkich kobiecych demonów.

Tabris nie patrzył na dziewczynę. Oczywiście nie chciał mieć do czynienia z tymi nędznymi ludźmi. Cóż za myśli przychodzą jej do głowy!

A ten tam to musi być Pedro. Don Pedro de Verin y Galicia. Mój ty świecie, gdyby Zarena tylko zechciała, uwiodłaby go w jednej chwili, nie miała jednak ochoty się trudzić. A to jego kobieta, Gudrun. Stara, łatwo się jej pozbyć. Na razie nie ma co się nią przejmować.

Ale z drugiego samochodu też wysiadł jakiś mężczyzna.

Ach, fuj!

Zarena nieco się cofnęła. Cóż to, na piekła, za rodzaj człowieka!

Wyostrzyła wszystkie zmysły. Niebezpieczeństwo, wielkie niebezpieczeństwo!

O tak, on był o wiele groźniejszy od tej przekłetej Unni. Żył w dwóch światach, a teraz badawczo rozglądał się dokoła. Wyczuwał jej obecność!

Niech spadnie na niego śmierć!

Ale czy on już nie jest martwy? Otaczała go poświata dawno minionych czasów, jak gdyby wieczności? Pomimo że był śmiertelnikiem.

A może nim nie był?

Tabris miał rację. Nie wiadomo, co tak naprawdę sądzić o tym Jordim.

Niech go piekło pochłonie!

To niesprawiedliwe! Teraz mieli w każdej grupie po jednej osobie, której musieli unikać, a Zarena nie mogła się do nich zbliżyć przez swoje oczy. Tabrisowi przypadnie więc wszelka chwała!

Ach, nie, tylko nie jemu, który tak strasznie ją upokorzył! Trzeba szukać jakiegoś wyjścia. Jeśli jej się to uda, zyska niepodzielne łaski władcy. Tabris zaś zostanie wrota do królestwa Ciemności zamknięte.

Musiała się wycofać, żeby się zastanowić. Wymyślić jakiś zabójczo dobry plan. Może popsuć Tabrisowi szyki w taki czy inny sposób, tak by ci jego ludzie odwrócili się do niego plecami. Albo...?

Na pewno coś wymyśli.

Zarena zniknęła w tłumie.

Gudrun urządziła w sklepie z serami prawdziwą orgię zakupów. Uznawała, że każdy kolejno wyciągany ser jest jeszcze ciekawszy od poprzedniego, i w końcu miała do zanieśienia do samochodu naprawdę okazałą torbę. W tym czasie Pedro i Jordi po męsku i ze znanstwem dyskutowali z właścicielem sklepu i kilkoma klientami na temat wielu twarzy asturiańskiej wódki, smakowali, a w końcu kupili dwie wysokie rurkowane butelki. Weseli i uradowani cieszyli się tą chwilą oderwania od ponurych myśli, które wciąż dręczyły ich podczas wykonywania zadania.

- Ten i ten kupiłam dla Unni - tłumaczyła wesoło Gudrun. - Ten ser sama chcę zatrzymać i podobny kupiłam Vesli, która przecież nie może być z nami. Ten natomiast, nie wiem, komu dam...

- A tę bombę śmierdzącą położymy koło koła zapasowego - zdecydował stanowczo Pedro.

- Ależ on podobno jest naprawdę świetny i był najdroższy ze wszystkich! A co ty kupiłaś, Juano?

- Butelkę wódki dla dziadka - roześmiała się dziewczyna. - I malutką flaszkę dla siebie.

- A ty, Miguelu? - dopytywała się Gudrun.

- Ja? Ja nie kupiłem nic - uśmiechnął się.

Jordi zamyślił się. Miguel nigdy nic kupował, ani za nic nie płacił. Jordiemu coś podpowiadało, że ten człowiek nie ma pieniędzy.

Ale o takie rzeczy nie mógł go przecież spytać.

Tabris nie miał żadnych kłopotów z udawaniem Miguela. Żadnego wysiłku nie wymagało od niego występowanie w ludzkim przebraniu, nie musiał niczego pilnować, by nie wypaść z roli. Był Miguelem tak długo, jak sam tego chciał. I w przeciwieństwie do Zareny nie tak łatwo dawało się go przejrzeć. Wynikało to stąd, iż demony z rodu Nuctemeron reprezentowały stosunkowo wiele niemal dobrych cech. Były raczej dzinami, duchami aniżeli złymi demonami ciemności. Należały jednak do królestwa Ciemności, co do tego nie było wątpliwości, i pod wpływem panującej tam atmosfery również pragnęły zła. Zło bowiem cieszyło się w Ciemności wielkim poważaniem. Również Tabris chciał awansować, stać się demonem potężniejszym od tych nieznośnych, wyniosłych samochwał z kliki Zareny. Pragnął zyskać większy szacunek u Mistrza, bo w jego obecnej pozycji snoby stale obgadywały go za plecami. Ale on jeszcze im pokaże! To jego zadanie, jego wielka szansa.

Na pewno jej nie zmarnuje!

Tabris miał w świecie ludzi tylko dwa problemy: Unni i Jordiego. Oboje nie byli pewni jego tożsamości. Ze strony Unni zagrożenie przynajmniej na razie nie istniało dzięki temu, że znajdowała się w tej drugiej grupie. Ale Jordi? Ile właściwie domyślał się ten tajemniczy człowiek?

I jak długo Tabris będzie mógł przebywać z nimi, zanim uprzejmie i z troską nie zaczną się zastanawiać, czy nie powinien wracać do domu, do Santiago de Compostela?

Na razie nikt o tym nie wspominał, lecz jeśli się nie mylił, Juanę dręczył ten sam lęk. Kiedy zostanie wyłączona ze wspólnoty?

Od samego początku stawiał właśnie na nią. Zauważył, że jest słabą kobietą, pełną podziwu dla Jordiego. Tabris przeobraził się więc w mężczyznę podobnego do niego i rzeczywiście, uwiódł ją swoim wyglądem.

Tabris sądził, że Juana potrafi opowiedzieć mu o ich podróży, wyjaśnić, co jest jej celem, tym razem jednak postawił na niewłaściwego konia. Juana, jak się okazało, wiedziała niewiele więcej od niego, a w grupie była stosunkowo nowa.

Tabris posłał jej zamyślane spojrzenie i napotkał jej wzrok, a przecież takich sytuacji najbardziej starał się unikać, zwłaszcza stwierdziwszy, że Juana na nic mu się nie przyda. Nie zdoła wyciągnąć z niej żadnych informacji.

Odwróciła się jak zwykle z rumieńcem na policzkach. Dlaczego stale się czerwieniła?

Jakież to irytujące!

Mam bardzo piękne skrzydła, przemknęło mu przez głowę.

I co z tego? Jaki ma to związek ze sprawą?

Z wolna zbliżali się do celu.

Zachodnia grupa w Tineo miała jeszcze daleką drogę do przebycia, wschodniej natomiast, tej w Ramales de la Victoria, pozostał tylko niewielki kawałek.

Złe oczy jednak bacznie ich obserwowały, potrafiły śledzić tor ich wędrówki, przez cały czas zdawały sobie sprawę z ich położenia. I wszystkie czekały tylko na tę chwilę, gdy wreszcie dowiedzą się, dokąd oni zmierzają, nikt bowiem nie wiedział, gdzie leży upragniony cel.

Grupa na wschodzie zamierzała wyruszyć samochodem na wycieczkę z Ramales de la Victoria i cofnąć się niewielki kawałek do groty Pozalagua w Carranza.

Mimo że Claudia tak pospiesznie ich opuściła, stanowili dość liczną grupę. W jej skład wchodziło: Antonio, Unni, Silvia i José - Luis w taksówce oraz Morten, Sissi i Flavia w wynajętym samochodzie.

Nim jednak wyruszyli, Unni musiała co nieco wyjaśnić.

- Co się stało, Unni? - spytał Morten. - Dlaczego Claudia tak szybko uciekła, a ty wyglądałaś, jakbyś wystraszyła się czegoś do szaleństwa?

- Musisz nauczyć się odczytywać wyraz twarzy ludzi, mój przyjacielu. Nie byłam wcale wystraszona, tylko wstrząśnięta.

- To mniej więcej to samo - stwierdził Morten, niewrażliwy na tego rodzaju niuanse. - A więc co to było?

Przy samochodach wszyscy skupili się wokół Unni.

- Po pierwsze, magiczny gryf Asturii rozgrzał się tak, że zaczęłam bać się ciężkich oparzeń na mojej białej jak lilia piersi.

- Ach, tak, teraz to się nazywa „biała jak lilia”, a gdy o mnie chodziło, mowa była o trupiej bladości. Na czym polega różnica?

- Cicho, Mortenie, niech Unni w końcu opowie! - zganił go Antonio.

Unni odwróciła się do niego.

- Miałaś absolutną rację, Antonio, mówiąc, że ściągnęliście na siebie coś okropnego. To znów była ta kobieta o kocich oczach.

- Ta, która stale próbuje dopaść Sissi? - spytała Flavia.

- Właśnie tak.

- Skąd o tym wiesz? - spytała Sissi, wyraźnie czując się nieswojo.

- Gryf mi to powiedział, okulary przeciwsłoneczne i... coś straszego. Ja coś zobaczyłam. Tak jakby razem z tą porządną przewodniczką stała jakaś inna istota. Ta prawdziwa.

- Obok niej? - zdziwiła się Flavia.

- Nie, nie obok, w tym samym miejscu. Były jakby dwie osoby naraz, które zarazem tworzyły jedność. Ale nie wiem, co to za istota.

- Opisz ją - poprosił Antonio.

- To bardzo trudne, obraz był takie mglisty, taki niewyraźny. Widziałam jej ręce, wydały mi się zakończone długimi szponami i kocie oczy. Okulary przeciwsłoneczne nie zdołały ukryć tego intensywnego zielonego zła.

- Koty przecież nie są złe.

- I ja wcale tego nie powiedziałam. Ona natomiast była zła. I... nie wiem, czy teraz nie przesadzam, lecz było coś wokół niej. Po jej obu stronach. Zrozumcie, ten obraz był taki przezroczysty, taki słaby i mglisty, ale przyszły mi na myśl wielkie skrzydła.

- Może to anioł? - podsunął Morten.

- Spróbuj raczej zgadywać jeszcze raz.

- Duch?

Unni zwlekała z odpowiedzią.

- To chyba już bliżej, ale... - Zadrżała, jakby zdjęta nagłym chłodem. - Och, jedźmy stąd!

Wyruszyli więc w stronę grot. I Flavia jednak mimo wszystko pojechała razem z nimi. Po opowieści Unni bała się zostawać sama.

Kiedy dotarli do fantastycznej skały Ranero, w której kryła się grotta Pozalagua, i namierzyli jej wejście, otrzymali wiadomość o zakupach w Tineo. Unni przez dłuższą chwilę omawiała z Gudrun rozmaite sery, przede wszystkim ten najlepszy, porośnięty szarozieloną pleśnią, przypominający tak naprawdę ziemniaczane puree, pozostawione na kuchence przez co najmniej dwa tygodnie. „Dosłownie rozpada ci się w palcach i smakuje niebiańsko”, twierdziła Gudrun, a Unni tylko pomrukiwała z uniesieniem.

Gdy zakończyły wreszcie te słowne orgie smaków, Silvia podsunęła, żeby Unni zamówiła talerz serów na deser przy obiedzie, gdyż również Kantabria ma w tym względzie wiele ciekawego do zaproponowania. Pomysł Silvii padł na żyzny grunt.

Flavia zdecydowała się zostać w samochodzie. Uznała, że nie zrobi ani kroku dalej. Postanowiła oszczędzić ostatnią parę butów, oczywiście na obcasach, i stwierdziła, że grot,

których się naoglądała, wystarczy jej na kilka lat naprzód.

Nikt się nie upierał, by im towarzyszyła. Wiedzieli, że w ten sposób będzie im nawet łatwiej. W grupie znajdowały się teraz same sprawne osoby, gotowe znieść pewne niedogodności. José - Luis również postanowił się do nich przyłączyć, tej groty bowiem nigdy nie widział. Gdy pokonali pierwsze metry korytarzy, od widoku, jaki się przed nimi roztoczył, wprost dech zaparło im w piersiach.

- To największa grotka, jaką kiedykolwiek widziałam - powiedziała Sissi z takim zachwytem, że mogła wydać z siebie jedynie szept. - A widziałam ich już sporo.

- Rzeczywiście, niezwykła - przyznał Antonio. - Szkoda, że Vesla nie może tego zobaczyć, no i reszta z naszej grupy.

- Musimy znaleźć czas, żeby im to pokazać - stwierdziła Unni. - Nie pamiętam, co mówiłaś, Silvio, jak duża jest ta grotka?

- Ma sto dwadzieścia pięć metrów długości, siedemdziesiąt metrów szerokości i dwanaście wysokości.

W uniesieniu chodzili w koło, podziwiając rozmaite nacieki, stalaktyty i stalagmity, olbrzymie sople lodowe, zwieszające się ze sklepienia i wyprostowane kolumny. Często stykały się one ze sobą i wyglądem przypominały wtedy klepsydrę. Niewiarygodna była też różnorodność barw, którą podkreślały jeszcze lampy, niektóre świecące neutralnym światłem, inne z kolorowymi filtrami. Szczególnie imponująca była olbrzymia ściana, pokryta kamiennymi draperiami, przypominającymi pisaćzalki organów i zamrożone wodospady, a wszystko to w barwie szmaragdowej zieleni. Najbardziej niezwykle w tej sali były osobliwe nacieki przypominające kwiaty.

José - Luis i Sissi niemal bez przerwy robili zdjęcia, Antonio zaś chodził wkoło, gładząc ręką cudowne ściany. Piękno, na które patrzył, sprawiło, że w oczach kręciły mu się łzy.

José - Luis w końcu oderwał aparat od oczu.

- Macie jednak rację, w piętnastym wieku nikt nie wiedział o tej grocie.

- No tak, wtedy nikt nie miał materiałów wybuchowych, którymi utorowałby wejście - pokiwał głową Antonio. - To nie jest nasza grotka. Warto jednak było tu przyjechać i ją zobaczyć.

To przekonanie podzielali wszyscy. Wyszli w końcu na zewnątrz do Flavii, która na wszelki wypadek starannie zamknęła się w samochodzie.

Nie pojawiły się jednak żadne ciemne typy, mogli więc bezpiecznie wracać do Ramales de la Victoria.

Po drodze Unni siedziała w samochodzie zatopiona w myślach. Z głowy nie schodziły jej te przypominające szpony dłonie, które, jak jej się wydawało, dostrzegła u fantoma towarzyszącego Claudii.

Myślała też o pewnym spotkaniu w Santiago de Compostela przed kilkoma dniami. O uścisku dłoni.

Zadzwoiła do Jordiego i poprosiła o rozmowę z Miguelem.

Demon po raz pierwszy miał w ręku taki maleńki aparacik i chwilę trwało, zanim jego własny głos i głos Unni trafiły we właściwe miejsca.

- Miguelu, czy znasz osobę, która ma na imię Claudia?

- Claudia? - powtórzył zdumiony. Unni zrozumiała, że się zastanawia.

- Nie... nie pamiętam, żebym spotkał kogoś o tym imieniu.

- Osobę o zielonych kocich oczach.

Wtedy Miguel się roześmiał, lecz śmiech ten zabrzmiał dość nerwowo.

- No wiesz! Nie znam nikogo, kto by miał takie oczy. To brzmi zresztą bardzo interesująco, czy mogłabyś mi ją przedstawić? Nie, to zresztą niemądre, zapomnij o tym! A dlaczego pytasz?

Unni też się śmiała.

- Cóż, są między wami pewne podobieństwa. Tym razem cisza zapadła na dłużej i Unni już myślała, że połączenie zostało przerwane.

- Halo, Miguelu, jesteś tam?

- Tak. Jakie podobieństwa?

- Nie, nic takiego, tylko pewien drobny szczegół. Nie myśl o tym, to tylko przypadkowa zbieżność. Czy mogę teraz mówić z Jordim?

Spokojny głos ukochanego przywrócił Unni poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo potrzebowała. Powiedziała po norwesku:

- Jordi, musisz być ostrożny.

- Wiem o tym. Kocham cię, Unni.

Zakończyli rozmowę kilkoma czułymi słowami o rychłym spotkaniu.

- Ach, tak chciałbym cię objąć - powiedział Jordi. Tabris był wstrząśnięty i przerażony. Co właściwie wiedzą Jordi i Unni? Ile wiedzą o nim? I jak to możliwe, żeby za sobą tęsknili?

Co mają na myśli, mówiąc, że się kochają? Co to znaczy? Język norweski nie stanowił dla niego żadnej bariery, Tabris rozumiał bowiem wszystkie języki świata. Wszelkie jednak kwestie uczuć, jakie ujawniali ci ludzie, wprawiały go w niepewność. Nie potrafił zrozumieć,

o co im chodzi, nie miał nad tym kontroli. Było to niezwykle frustrujące i budziło w nim również gniew. A przecież nie wolno mu się złościć, nie mógł stosować wobec nich przemocy. Zyskał przewagę nad Zareną, dlatego teraz powinien dalej pozostawać przyjacielem grupy, tak aby towarzyszyć im aż do końca tej niezwyklej podróży.

Unni zamyślona wyłączyła telefon. Rozmowa z Miguelem przebiegła wprawdzie najzupełniej normalnie, lecz Unni nie była usatysfakcjonowana.

Tak bardzo chciała być teraz przy Jordim. Wtedy wszystko znów byłoby dobrze, opiekowałaby się nim i znalazła przy nim spokój.

Unni sięgnęła do małego gryfa. Jordi nie miał żadnej ochrony w postaci magicznego amuletu. Co zresztą reprezentował gryf Nawarry?

Zdrowie. Ależ to doskonale dla Jordiego, w określeniu „zdrowie” mogło wszak zawierać się tak wiele.

Uspokojona usiadła wygodniej, śledząc wzrokiem falujący lot pary sępów. Podchodziła już teraz do ich obecności z nieco mniejszym entuzjazmem.

Pozostawało im jeszcze zbadanie drugiej groty.

Silvia umiała działać naprawdę skutecznie. Już wcześniej zadzwoniła do agencji turystycznej i dowiedziała się, że groty Covalanas są zamknięte w związku z pracami remontowymi, wykonywanymi właśnie teraz, poza sezonem turystycznym.

Starła się pięknie poprosić, czy nie można zrobić dla nich wyjątku, lecz to okazało się niemożliwe. Istniało tam jednak coś... No, może nie muzeum, lecz coś w rodzaju dużego kiosku, w którym można kupić widokówki i pamiątki. Znajdowała się tam również nieduża wystawa kamieni, minerałów i innych rzeczy znalezionych w grotach. Ten budynek na ich życzenie dałoby się otworzyć.

Flavia spytała:

- Czy te groty są często odwiedzane przez turystów?

- O, tak - odparła Silvia.

To przesądziło sprawę. Wszyscy chcieli obejrzeć ów tak zwany „duży kiosk”. Po odwiedzinach licznych grup turystów same groty nie kryły już na pewno żadnej tajemnicy.

Flavia doszła do wniosku, że wizytę w kiosku nie będącym grołą jakoś wytrzyma. Poszła więc razem ze wszystkimi.

I właśnie ona znalazła to, czego szukali.

W kiosku było kilka pomieszczeń. W niewielkiej salce zgromadzono wszystkie mniej lub bardziej historyczne znaleziska. W czasie gdy pozostali podziwiali zbiór skał, kamieni i próbki geologiczne lub oglądali pamiątki i widokówki, Flavia wędrowała na własną rękę.

Nagle zawołała ich wszystkich do siebie.

Na jednej ze ścian wisiał w ramce za szkłem poszukiwany przez nich kawałek skóry. Pod nim znajdował się napis: „Znaleziono wsunięty między kamienie w północnej grocie w 1982. Prawdopodobnie liczy sobie pięćset, sześćset lat. Pochodzenie niejasne, tekst nic nie mówiący”.

- Dlaczego nie szukaliśmy od razu tutaj? - mruknął Morten.

- Bo wtedy nie zobaczylibyśmy tej przepięknej groty Pozalagua - odparła Unni. - Silvio, możesz być tak miła i spytać, czy ten kawałek skóry można kupić?

To jednak okazało się niemożliwe. W tej sali nic nie było przeznaczone na sprzedaż. Na szczęście pozwolono im fotografować.

Oczywiście zrobili mnóstwo zdjęć, ale przecież i tak już na własne oczy widzieli bezsensowne dla wszystkich innych ludzi słowa: „LA EXSTRACCION DE LA MADRE GRANDIOSA”.

- Wyciąg ze wspaniałej albo potężnej matki? Albo wydobyć? - próbowała tłumaczyć zdezorientowana Sissi.

- Nie - zaproponował Antonio, gdy podziękowawszy za możliwość obejrzenia kiosku, wyszli i stali przy samochodach. - „Extracción” może oznaczać również „ród”.

- „Ród wielkiej matki”? Czy mówimy tu o Dziewicy Maryi? - dziwił się Morten.

- Jej ród to chyba Anna i Joachim - powiedziała Unni.

- Albo król Dawid lub Izajasz - próbowała pomóc Flavia.

Unni coś przyszło do głowy.

- Ród? Czy nie może to oznaczać również „początek”?

- Owszem - odparł Antonio. - Co ci się tam tłucze po głowie, Unni? Podziel się tym z nami!

Morten chciał już powiedzieć coś głupiego na temat Unni, lecz zarówno Sissi, jak i

Antonio stanowczo go uciszeli.

Unni myślała głośno.

- Pochodzenie... Początek. Matka Wołga, wielka matka. Silvio, czy tu, w głębi Kantabrii, nie ma źródła żadnej rzeki? Bo tego przecież szukamy. Ci, którzy nieśli skarb, zawsze mieli jedno miejsce spotkania w środku kraju i jedno przy granicach.

- Zgadza się - przyznał Antonio. - Co na to powiesz, Silvio?

- Oczywiście, że tak! Jest źródło. Źródła Ebro leżą nie tak znów daleko stąd.

- Ebro? - rzekł z podziwem Morten. - To przecież? nie jest mały strumyk. To chyba największa rzeka Hiszpanii?

Nikt nie miał czasu mu odpowiedzieć. Ogarnięci zapałem, znaleźli mapę, rozłożyli ją na klapie silnika taksówki i pilnie się jej przyglądali.

- *Fuente del Ebro*, „źródło Ebro”, leży tu, przy Reinosa. Tutaj! - wskazała Silvia. - Samo miejsce nazywa się Fontibre, co również oznacza źródło.

- Oczywiście akurat na samym zgięciu mapy! - zrywała się Unni. - Dlaczego wszystkie nasze specjalne miejsca są zaznaczone właśnie tutaj?

Silvia uśmiechnęła się.

- Reinosa to spore miasto, z wieloma dobrymi hotelami. Dzieli nas od niego około dwustu kilometrów, jeśli będziecie jechać dużymi szosami, nie próbując skrótów małymi górskimi drogami. Wtedy naprawdę możecie znaleźć się na bezdrożach, łatwo zabłądzicie.

- Dwieście kilometrów... - zastanawiał się Antonio. - Zdążymy tam dojechać jeszcze dzisiaj, a jutro rano przyjrzymy się źródłom Ebro.

Silvia westchnęła przepaszająco.

- My, niestety, nie możemy jechać z wami dalej. Musimy wracać do Bilbao.

- Szkoda! - jęknęli wszyscy.

- Ale dlaczego? - dopytywała się Flavia, która zapewne nieco egoistycznie myślała o miejscach w samochodzie. Wszyscy mieliby zmieścić się w jednym? - Oczywiście zapłacimy wam za wszystko.

- Nie mógłbyś zrobić sobie wolnego, Jose - Luis? - namawiał Antonio. Wszyscy bowiem bardzo polubili swoich towarzyszy, którzy w dodatku posiadali tak dużą wiedzę o okolicy.

Bask przepaszająco wzruszył ramionami i rozłożył ręce w bardzo południowoeuropejskim geście.

- Jestem dostatecznie samodzielny, żeby móc zrobić sobie wolne, ale... zapowiadali lekkie opady śniegu w najwyższych odcinkach Gór Kantabryjskich, a moje opony nie są na to

przygotowane. Wasz samochód jest, jak widzę, wyposażony znacznie lepiej.

- Śnieg tutaj? Teraz? „W Hiszpanii? W październiku? - Morten mówił samymi znakami zapytania. - Czy nie można by tego jakoś uniknąć?

- Prawdę powiedziawszy, jest już listopad - przypomniała mu Silvia. - Teoretycznie nie powinno się to zdarzyć, lecz od czasu do czasu w północnej Hiszpanii natura pokazuje swoje humory, zwłaszcza w ostatnich latach klimat robi karkołomne skoki. Najwięcej niechcianego śniegu pojawia się w Pirenejach, oczywiście, lecz również w rejonie Picos de Europa.

Morten miał w zanadru jeszcze jedno pytanie:

- Picos de Europa?

- To najwyższa część Gór Kantabryjskich. Zbliżacie się właśnie do tych okolic, A inna sprawa to fakt, że - zaczął tłumaczyć się José - Luis - ani Silvia, ani ja nie spaliśmy od wczoraj w nocy.

- Ojej! - przejęła się Flavia.

- To nasza wina - powiedział prędko Antonio. - Powinniśmy byli o tym pomyśleć, zwłaszcza że przecież Unni i ja jedziemy na tym samym wózku.

- Zauważyłem już to, Unni - natychmiast powiedział Morten. - Przydałby ci się biustonosz na oczy. No, nareszcie sobie odbiłem za to pogardliwe nazwanie mojego ciała trupio bladym!

Flavia, odpowiedzialna za kasę całej grupy, zapłaciła za wykorzystanie taksówki, szczerze zaokrąglając należną kwotę. Narazili przecież Basków na przerażające przeżycia.

Wymienili swoje numery telefonów i wyrazili nadzieję, że na pewno się jeszcze spotkają, a potem grupa Antonia ruszyła na zachód. Nagle poczuli się bardzo samotni.

Do Reinosa dotarli przed wieczorem i Flavia z zadowoleniem patrzyła na hotel, który wcześniej zarezerwowała im Silvia.

Tak jak to było zaplanowane, Unni na deser po obiedzie zamówiła talerz serów. Dostała cały półmisek, który zajął pół stołu, z mnóstwem rozmaitych serów pięknie ułożonych w kształt gwiazdy.

- Musicie mi w tym pomóc - zaczęła radośnie. Nikt się przed tym nie wzbraniał.

- Ten kawałek granitu obrośnięty mchem musi być tym samym, który polecała Gudrun! - wykrzyknęła Unni. - Tak, kruszy się na kawałeczki, to na pewno ten! Ach, jest nieziemsko pyszny! Spróbuj tylko, Sissi. Spróbujcie wszyscy!

Naprawdę uhonorowali wszystkie kantabryjskie i asturyjskie sery, popijając je czerwonym winem, wybranym przez Flavię.

- Zauważyliście, że nasi prześladowcy od pewnego czasu trzymają się od nas z dala? - zauważył wyraźnie podniesiony na duchu Morten.

- Pewnie sfrustrowani zaszyli się gdzieś i teraz liżą rany - podsumowała Unni.

- Jesteśmy dla nich za twardzi! - Morten dumnie wypiął pierś. - Poddali się.

Było jednak inaczej.

Alonzo był dość zawstydzony poczynaniami swoich ludzi.

Manuelito, który miał śledzić grupę zachodnią, zgubił ją zupełnie. Pokręciwszy się po rozmaitych drogach, zrozumiał w końcu, że musieli zboczyć z głównej szosy na Taramundi.

Okazało się jednak, że tam nie ma czego szukać, gdyż wrogowie dawno już opuścili ten rejon. Manuelito jechał najpierw samochodem tak daleko, jak mógł, to znaczy przybył do Teixeis zamiast do Veigas. Ale w małej wiosce z wielką kuźnią i młynem wodnym nikt nie widział żadnych nieznajomych. O tej porze roku nikt obcy się tu nie pojawiał.

Wąskie dróżki prowadziły na pustkowie, Manuelito wyruszył więc jedną z nich, rzecz jasna, piechotą, i tam zablądził. Widział Veigas z bardzo daleka, rozbolały go już nogi i wściekał się na wszystko.

Gdy wreszcie wrócił do swego samochodu, zadzwonił do Alonza i z podkulonym ogonem powiadomił go, że zgubił grupę. Nakazano mu natychmiastowy powrót do stajni.

Nikt natomiast nie wiedział, gdzie przebywa Pepito, ponieważ jego komórka nie działała. Zapomniał o naładowaniu baterii, a ładowarki ze sobą nie zabrał, od niego więc nie dało się uzyskać żadnych wiadomości.

Emma nie posiadała się ze złości, a wszystkie nieprzyjemne słowa spadły na Alonza. Żeby uzyskać informacje, musiała teraz zwrócić się bezpośrednio do mnichów, a tego nie znosiła. Kenny, Tommy i Roger aż skulili się w sobie, gdy obsypała ich gradem gniewnych słów.

Emma zebrała nielicznych już katów inkwizycji w lesie nieopodal wielkiej drogi wzdłuż wybrzeża. Jej współtowarzysze - łajdacy czekali w samochodach.

Kaci wyglądali na bardziej przygnębionych niż zazwyczaj.

- Co, u diabła, zrobiły ze sobą te cnotliwe gadziny? - syknęła Emma. - Macie rozkaz powiadamiać nas, nie rozumiecie tego, wy zasuszone mumie!

Jeden z mnichów zacisnął usta w wąską kreskę. „Nie jesteśmy zadowoleni. Nie jesteśmy zadowoleni z rozwoju sytuacji”.

- Ja też, do cholery, nie jestem zadowolona! „Nigdy nie powinnaś była przyzywać tej złej kobiety”.

- Przecież to nie ja wezwałam demony z piekieł, tylko wy, tchórze!

„Nie mówimy teraz o demonach, tylko o tej, którą nazywają Unni. Teraz nie mamy dostępu do żadnej z tych dwóch grup, w każdej z nich znajduje się jakiś zły człowiek Bo ten

jej kompan Jordi jest dla nas równie nieprzyjemny”.

„Poza tym tam, w dole, wcale nie ma piekła - stwierdził inny. - Są Ciemności”.

- Dla mnie to różnica cienka jak włos. Ale powiedzcie mi przynajmniej, gdzie znajdują się te dwie grupy!

Mnisi wciąż byli urażeni. Przemawiający w ich imieniu oświadczył z lekkim triumfem:

„Daleko już zajechali. Wkrótce obie grupy się spotkają”.

- Dziękuję za dodające otuchy słowa - mruknęła Emma z miną kwaśną jak cytryna. - Spotkają się, tylko gdzie? Wyrzućcie to wreszcie z tych swoich zмумifikowanych, spróchniałych ust! Gdzie oni są?

„Kierują się ku wysokim góróm”.

- Ku czemu? Ku Góróm Kantabryjskim? A my jedziemy tutaj, wzdłuż wybrzeża? Dość już tego! Niedługo chyba was wywalę!

Emma wiedziała wprawdzie, że występuje z próżnymi groźbami, prędko więc zmieniła temat.

- Co właściwie robią te demony, które ściągnęliście? Czy ich obecność nie przyniesie wkrótce rezultatów?

„Natknęli się na problemy. Ci bezbożni są w posiadaniu magicznego gryfa Asturii, który ostrzega ich, gdy tylko demony pojawią się w pobliżu”.

„To wymaga uściślenia - powiedział inny. - To ten kobiecy demon, Zarena, ma problemy. Nie może się już dłużej zbliżyć do tej swojej pogańskiej grupy”.

- No, to odbierzcie im magicznego gryfa, nie pojmujecie, że to właśnie trzeba zrobić?

„Nie możemy. Nosi go ta wstrętna pogromczyni mnichów. Jej też obawia się Zarena, bo ta dziewczyna potrafi widzieć to, co ukryte”.

Unni, pomyślała Emma z wściekłością. Zawsze ta mała, głupia, brzydka Unni. Takie zero! A ciągle musi mi stawać na drodze. Teraz jednak koniec z tym! Trzeba ją unieszkodliwić. Na dobre.

- A ten męski demon? Co on robi?

Mnisi wyraźnie wahali się z odpowiedzią. Umykali wzrokiem.

„Ech... co robi ten męski... Nie mamy... eee... nad nim... odpowiedniej kontroli”.

- Jesteście naprawdę... - zaczęła Emma ogniście, ale w końcu się poddała. Czy naprawdę muszę się wszystkim zajmować osobiście? pomyślała. Trzeba odebrać Unni magicznego gryfa - zresztą sama miała na niego ochotę - a potem ją zabić. Czy doprawdy nikt nie ma w sobie dostatecznej energii? Może Alonzo?

Emma machnięciem ręki odprawiła mnichów. Jeśli chciała śledzić wrogów wśród gór, to musiała się spieszyć.

Thore Andersen siedział za kierownicą w drodze do Reinosa.

- Tylko spokojnie - mówił chudy, zajmujący miejsce obok niego. - Nie musimy się przy okazji zabić, przecież i tak dobrze wiemy, gdzie ich szukać. Nie wymkną się.

- Wiem o tym, ale zapowiadali śnieg. Nie bardzo mi się to podoba na tych drogach.

- Na razie nie ma żadnego niebezpieczeństwa - stwierdził chudy. - Reinosa leży zaledwie na wysokości ośmiuset czterdziestu metrów nad poziomem morza, trudniej będzie, jeśli wyprawią się dalej w stronę Alto Campo i Picos de Europa. Będziemy wtedy musieli zmienić opony w Reinosa, później już się nie da, bo w głębi masywu górskiego nie ma już żadnych miast. Ale pamiętaj, zachowuj dystans do zdobywcy. Doprawdy, źle się stało, że Antonio Vargas i ta Unni zauważyli nas po drodze do Balmaseda, straciliśmy przez to dużo czasu.

- Spokojnie, wkrótce znów ich dogonię!

- Ale tak jak się umawialiśmy, pozwolimy im wykonać całą brudną robotę. Niech odszukają dla nas tę ukrytą dolinę. A dalej... To my wiemy, co robić potem, oni nie mają o tym zielonego pojęcia.

- No nie, to prawda - zaśmiał się Thore Andersen. - Bo my naprawdę mamy w ręku prawdziwy atut - I tak było od samego początku. A Thore uzupełnił:

- Od dwudziestu pięciu lat.

W swojej jaskini wysoko na szczycie góry siedział skulony Wamba - Leon. Czekał. Wiedział, że w końcu coś zaczęło się dziać w związku z tym liczącym sobie kilkaset lat mitem o rycerzach i skarbie. Dla Wamby nie był to wcale mit.

Byli już w drodze, zbliżali się, ci, którzy mieli dla niego odnaleźć tę przeklętą wioskę. Wszystko to, co należało do niego. Na zawsze będzie już mógł zniszczyć Urracę i tych jej wyniosłych rycerzy.

To Wamba w nim myślał w ten sposób. Leon pragnął jedynie zdobyć skarb.

Z Leona zostało tak niewiele, że nie potrzebował już nawet jedzenia ani też nie musiał zaspokajać żadnych innych ziemskich potrzeb. Był teraz Wambą, ciałem i duszą. Żył w nim jedynie głód kosztowności tak charakterystyczny dla Leona, a przede wszystkim pragnienie zdobycia legendarnego podarku Nawarry dla królestwa, które nigdy nie powstało.

Zarena śledziła swoich ludzi ze znacznej odległości. Wszystkie jej próby, by zmienić grupę, natrafiły na kategoryczny sprzeciw Tabrisa. Wiedziała jednak przecież, że oba zespoły

wkrótce i tak się spotkają, a wtedy tak czy inaczej, bez względu na to, jakie kroki podejmie, natknie się na tę Unni.

Gdyby tylko mogła unieszkodliwić tę przeklętą kobietę o przenikliwym spojrzeniu! Gdyby mogła usunąć ten szatański amulet, który ostrzegał i chronił tę małą idiotkę! Ani ona jednak, ani też kaci nie mogli na to nic zaradzić. Mówili natomiast coś o kobiecie ludzkiego rodu, która być może umiałaby to zrobić.

Zarena postanowiła skontaktować się z tą Emmą.

Poza tym wściekała się na Tabrisa - to akurat nie było żadną nowością - a także na ich pana i władcę, który wysłał jej do towarzystwa demona wolnej woli. Jak można takiego demona zmusić do czegoś, czego sam nie chce?

Uparty kozioł!

Cała ta sytuacja budziła tylko jej gniew, straszliwy gniew! Zarena miała ochotę walić na oślep, przyjąc znów swą piękną demonią postać, tak by wszystkich móc powalić jednym uderzeniem długiego, zakończonego ostro ogona, poszarpać szponami i wbijać w nich ostre kły.

Ach, była taka piękna jako demon! Ludzkie przebranie to prawdziwa udreka.

Współcześni przyjaciele rycerzy mieli jeszcze jednego wroga, Tabrisa. Miguel, czyli jego ludzkie ja, stawał się coraz bardziej małowówny i zamknięty w sobie. Był razem ze swą grupą w Tineo, lecz trzymał się z tyłu. Gudrun zaczęła się o niego martwić. Wyraźnie było widać, że Miguela coś dręczy. Wesoły, otwarty i życzliwie nastawiony młody człowiek nagle kompletnie się odmienił. Gudrun zauważyła też, że Juana staje się coraz bardziej nieszczęśliwa. Jordi także przyglądał się Miguelowi ukradkiem, badawczo, ze zdziwieniem, w zamyśleniu.

Jak długo zresztą Miguel miał im towarzyszyć? Ktoś wreszcie powinien go spytać o jego zamiary. Nikt jednak nie potrafił się przemóc, by to zrobić.

Lecz gdy dotrą do Oviedo, muszą w końcu coś przedsięwziąć. Oviedo to ważny punkt i odpowiedni do podjęcia decyzji.

Gudrun trochę się odprężyła. Jak cudownie móc odłożyć na później nieprzyjemną chwilę!

Emma nie była zadowolona. Za wcześnie przegoniła mnichów.

- Czy te przeklęte strachy na wróble nie mogły powiedzieć tego wyraźnie? Góry Kantabryjskie ciągną się przecież jak zły rok! Nie mogli określić ich położenia z większą

precyzją?

Alonzo zauważył cierpko:

- Być może pomogłoby, gdybyś odnosiła się do nich, okazując więcej uprzejmości, i nie nazywała ich strachami na wróble, straszidłami i nie obrzucała jeszcze gorszymi wyzwiskami.

- Ha! Próbowалам, ale natychmiast robili się jeszcze bardziej wstrętnei, wyniosli jak sam diabeł. Wprost spływali fałszem. Zachowywali się, jakby zostali wywyższeni co najmniej na kardynałów, traktując mnie, jakbym była warta mniej niż brud za paznokciem. O, nie, trze - ba ich trzymać krótko, to prawdziwi psychopaci. Znów muszę ich wezwać.

Pięciu mnichów pojawiło się już wkrótce, tym razem w odpowiednio słodko - kwaśnym nastroju.

„Czego wasza miłość życzy sobie teraz?”

- Dowiedzieć się, w którym dokładnie miejscu znaj - dują się obie grupy, do jasnej...

- Opanuj się, Emmo! - mruknął Alonzo. - W taki sposób nic nie zyskamy. Musimy zatrzymać przy sobie tych przyjaciół, jacy nam jeszcze zostali.

- Przyjaciół? Masz na myśli tych tam? Tych, którzy próbują wsunąć mi kościste palce pod spódnicę, gdy tylko nadarzy im się taka sposobność?

- Pewnie trzepiesz ich wtedy po łapach.

- Aż kości brzęczą. No i co, trupy? Co macie do powiedzenia?

Jeden z mnichów, wykręcając omawiane palce, pochlebco przekrzywił głowę.

„Jedna grupa, ta, w której jest ta straszna pogromczyni mnichów, zapuściła się już zbyt daleko w góry na wschodzie. Druga, z tym jej równie strasznym kochankiem, z którym cudzołożyła, nie mając na to błogosławieństwa Kościoła, dopóki nie rozdzieliliśmy ich i nie zniszczyliśmy tego ich obrzydliwego związku, dzięki czemu niebo spogląda na nas jeszcze przychylniej niż kiedyś...”

- To przecież nie wy ich rozdzieliliście, bo strach was obleciał. Do rzeczy!

„Eee... ta druga grupa, na zachodzie, również jest w górach. Ale wkrótce muszą zjechać do Oviedo”.

- Do Oviedo? Ależ to się świetnie składa, przecież my właśnie w tym kierunku zmierzamy, prawda, Alonzo?

- Owszem, zgadza się, możemy tam być już za kilka godzin!

Emma znów zwróciła się do katów, teraz nastawiona już nieco łagodniej.

- Nieźle, chłopcy. Informujcie nas na bieżąco o tym, gdzie oni się znajdują i kiedy zjawią się w Oviedo. Jak tylko się ruszą, chcemy wiedzieć o wszystkim. I znajdźcie

odpowiednie miejsce, w którym będziemy mogli ich zaatakować. Ach, nie, do diabła, przestańcie mnie obmacywać! Doprawdy, niewiele wam trzeba do zachęty!

Emma i jej dwór ruszyli dalej wzdłuż wybrzeża na zachód, w stronę Oviedo, by tam odciąć drogę grupie Jordiego. Spotkanie to miało mieć katastrofalne następstwa dla jednego z jej dworzan.

Jordi, Pedro, Gudrun, Juana i Miguel nie tracili czasu w Tineo.

Poszukiwanie mniej lub bardziej zamkniętych kopalni byłoby strasznym marnotrawieniem czasu. Zamiast tego więc uchwycili się słów „EL PROPIETARIO DE LAS MINAS”. Człowiek ten musiał przecież gdzieś mieszkać, a oni postanowili odnaleźć miejsce, w którym mógł leżeć jego dom. Ich zdaniem bliżej wyjaśnienia dotrzeć już nie mogli.

Mieli silne przekonanie, że człowiek ten był sprzymierzeńcem rycerzy, a tym samym wszystkich, którzy zajmowali się gromadzeniem skarbu. A jego dom zapewne służył jako miejsce zebrań i kryjówka, tam więc chyba pozostawiono właśnie kolejny w tym długim rebusie kawałek skóry z informacjami. Lecz czy dom, który stał w XV wieku, jeszcze się zachował?

Raczej nie.

Ale w biurze turystycznym wiedziano lepiej. Poinformowano ich, że w Tineo jest wiele wspaniałych budynków, na przykład kościół z XIV wieku, Palacio de los Garcia z XV wieku, Palacio de Meras z roku 1525...

Juana spytała o dom, którego poszukiwali. Dom właściciela kopalni.

Miła pani w agencji turystycznej zastanawiała się przez chwilę, sprawdzała w jakichś księgach, a w końcu się rozjaśniła.

- Koniec piętnastego wieku? Musi chodzić o rezydencję rodziny Morales. To oni od pokoleń byli właścicielami kopalni. Lecz dom oczywiście przebudowywano i rozbudowywano, miał też innych właścicieli. Został przecież przejęty przez Koronę i kościół.

- Sądzi pani, że możliwe jest odwiedzenie ludzi, którzy tam teraz mieszkają?

- Tak, nie powinno być z tym żadnego problemu. Dom ma wartość historyczną i jest tam teraz muzeum, od dawna już nikt w nim nie mieszka.

Popatrzyli na siebie i twarze rozjaśniły się w uśmiechach.

Kustoszu muzeum był pomocny i bystry. Wyjaśnił, w której sali znaleźć można najstarsze przedmioty, i zaraz ich tam zaprowadził. Być może najchętniej przyjrzeliby się im sami, lecz człowiek ten był sympatyczny i najwyraźniej wiele wiedział. Nie protestowali więc przeciwko jego obecności.

Bardzo zainteresowały ich eksponowane tam narzędzia górnicze, które świadczyły o pomysłowości ludzi, żyjących w czasach, kiedy nie było do pomocy skomplikowanych

środków technicznych. Obejrzeni więc imponujący dział narzędzi i rozmaite przedmioty prywatne, należące niegdyś do tej rodziny, a także sporo innych rzeczy, których przeznaczenia nie potrafili się za bardzo domyślić.

Niewiele czasu upłynęło, jak Pedro zatrzymał się przed niedużą szafką, ustawioną na półce. Szafka była drewniana, a z przodu wyrzeźbiono na niej różę.

- Czy wolno ją otworzyć? - spytał Pedro.

- Momencik, sam to zrobię, obawiam się jednak, że jest pusta.

O tym sami chcieli się przekonać.

I rzeczywiście była pusta, lecz oni tak łatwo nie ustępowali.

Pedro wyjaśnił kustoszowi, najwyraźniej nie zamierzającemu opuścić ich nawet na moment, że poszukują kawałeczka skóry, którego oczywiście nie zabiorą z muzeum, lecz chętnie by go sfotografowali, jeśli to tylko możliwe. Przypuszczają zaś, że ów kawałek skóry może się znajdować tam, gdzie róża.

Gudrun dodała:

- Najbardziej prawdopodobne jest oczywiście to, że ów kawałek skóry, który kiedyś leżał tu, w tej szafce, został z niej usunięty. Być może już dawno temu. Przypuszczamy jednak, że był znacznie lepiej ukryty, nie leżał na wierzchu. Dlatego chętnie poszukalibyśmy skrytek w tej szafce.

Kustosz zainteresował się ich słowami - przedstawili się jako historycy - i postawił szafkę na stole, by wszyscy mieli do niej lepszy dostęp.

Z wzmówionym sobie znawstwem obracali szafeczkę¹ na wszystkie strony, dotykali jej i naciskali.

Miguela ogarnął niezwykły zapach, a także taka irytacja wywołana głupotą ludzi, że całkiem się zapomniał.

- Wiem, gdzie to jest - oświadczył krótko. Zaskoczeni zrobili mu miejsce, a on położył szafkę usunął z niej jedną nóżkę w kształcie kuli, na której opierała się szafka, wcisnął palec do powstałego w ten sposób otworu i ze środka długiego klocka, tworzącego kąt szafki, wyciągnął podłużny pojemnik. Pozostali również już próbowali zmierzyć się z nóżkami, lecz Miguel natychmiast odnalazł mechanizm, dzięki któremu dawało się obluzować akurat tę właściwą. Jordi ukradkiem przyglądał mu się badawczo, reszta grupy jednak była zbyt przejęta znaleziskiem, by mieć czas na cokolwiek innego.

Z wysiłkiem udało im się wyciągnąć kawałek skóry z wąskiego pojemniczka. W jaki sposób kiedyś tam go wcisnięto, pozostawało zagadką, której żadne z nich nawet nie próbowało rozwiązywać.

Kustosz przyglądał się im ze zdziwieniem.

- A cóż to za historyczne wydarzenie jest związane z tym przedmiotem?

- Pewien bunt w latach osiemdziesiątych piętnastego wieku - odparł Jordi szczerze. -
Staramy się podążać za pewnym śladem.

Ani słowa o skarbie. On ich nic nie obchodził ani też nie był sprawą kustosza. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Kustosz szukał w pamięci, lecz historia rycerzy najwyraźniej nie dotarła do miasteczka, pomimo iż właśnie ta miejscowość miała w niej tak istotne znaczenie.

Rozwinęli skórzaną wskazówkę. Widniały na niej zaledwie trzy słowa, które kiedyś już widzieli: „PANES ERMIDA POTES”.

- Dziękujemy - powiedział Jordi szybko do kustosza. - To nam wystarczy. Ten kawałek skóry nie jest nam już więcej potrzebny.

Opuścili Tineo, żeby skierować się na wschód.

W samochodzie niewiele rozmawiali, nie chcieli bowiem zanadto wtajemniczać we wszystko Miguela. Jego niezwykły manewr z szafką wszystkim zamącił w głowach i zaczęli podejrzewać, że młody człowiek może pracować dla którejś z prześladowających ich grup.

Wszyscy jednak zatonęli w myślach. PANES ERMIDA POTES.

To była mieszanka tekstu znalezionej na mnisim habicie Jorgego, „PUEBLO YERMO PANES DESFILADERO POTES CUEVAS CUEVAS”, czyli „Wioska pustkowie chleby przełącz naczynia groty groty”, oraz przesłania, towarzyszącego gryfowi Nawarry, które Thore Andersen & Co. błędnie przetłumaczyli jako „małe pustkowie”, *Yermita* lub coś podobnego.

Tutaj słowo *desfiladero* zastąpiono słowem *ermida*, co również nic im nie mówiło. Czy mogło chodzić o *ertnita*, kapliczkę dla pielgrzymujących?

Czuli się kompletnie zdezorientowani. Chętnie omówiliby ten problem wspólnie, lecz nie mogli.

Juana myślała o czymś zupełnie innym. Zmagiała się ze swoimi problemami. Wciśnięta w swój kącik w samochodzie modliła się w duchu:

„Wielki obrońco, San Isidoro, ty, który jesteś moim świętym, błagam cię, spraw, aby Miguel zwrócił na mnie uwagę”.

A potem zaczęła się modlić do świętego, opiekującego się jego miastem rodzinnym, do świętego Jakuba.

„Santiago, nie proszę o jego miłość, bo jestem tylko jedną z tysiąca zwykłych dziewcząt. Błagam cię, byś dopilnował, aby dobrze mu się wiodło, aby nic złego go nie

spotkało, bo kocham go tak bardzo”.

Dobrze, że nie mogła w tej chwili zobaczyć Tabrisa. Siedział spokojnie w drugim samochodzie jako Miguel, a Jordi, zajmujący miejsce tuż obok niego, niczego nie wyczuwał. Lecz demon Tabris zareagował bardzo gwałtownie. Jego zielona twarz się ściągnęła, górna warga podwinęła się, gdy wyczuł błaganie Juany.

Ta kobieta musi umrzeć, pomyślał.

Dotarli w końcu do Oyiedo i nadszedł czas na nocleg. Ach, nie, nie zniosę całej nocy w niepewności, nie wiedząc, jaka będzie ich decyzja w mojej sprawie, myślała Juana z lekką desperacją. Należałoby zapewne cieszyć się, dopóki nic nie mówią, ale to naprawdę duchowa tortura.

Pomogła im znaleźć dobry hotel, a potem powinna chyba powiedzieć: „Ja przecież mogę nocować w domu”, lecz nie miała śmiałości przypominać im o takim rozwiązaniu. Mogło się skończyć tym, czego najbardziej się obawiała, a mianowicie definitywnym pożegnaniem. Ponieważ w hotelu była dostateczna liczba wolnych pokoi, kwestię, czy ma zamówić dla siebie nocleg, czy też nie, pozostawiła na razie otwartą.

Przy obiedzie jednak Miguel otrzymał cios w samo serce. Jordi oświadczył:

- Miguelu, nie możemy zatrzymywać cię dłużej. Służyłeś nam wielką pomocą i byłeś miłym towarzyszem podróży, lecz stale oddalasz się od miejsca zamieszkania, a stąd masz dobre połączenie do Santiago de Compostela. Widzisz, jutro znów musimy wyruszyć w góry i wtedy trudniej będzie ci wrócić do domu.

Juana przestała jeść, przestała nawet oddychać. Boże, właśnie takiej sytuacji się bałam! Co mam teraz zrobić? Zostać razem z nim, czy też wyruszyć z nimi dalej, jeśli mi na to pozwolą? Pewnie następne słowa Jordiego będą pożegnaniem ze mną. No a jeśli zostanę tutaj? Wtedy zapewne Miguel podziękuję za wspólnie spędzony czas i wróci do domu, a ja stracę wszystko. Upiór samotności zacznie się do mnie szczyrzyć jeszcze paskudniej niż do tej pory.

Miguel siedział nieruchomo jak posąg. Twarz miał kompletnie pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Pozostali również znieruchomieli. Gudrun niebezpiecznie błyszcząły oczy.

W końcu Miguel skinął głową.

- Oczywiście, wyjadę już jutro rano, czy tak będzie dobrze?

Pedro nie krył wzruszenia.

- Chyba nie sądzisz, że puścimy cię już dziś wieczorem? Bardzo sobie ceniliśmy twoje towarzystwo. Ale rzeczywiście jest tak, jak mówi Jordi, nie możemy dłużej zajmować ci

czasu, a dalsza wyprawa może być niebezpieczna, zwłaszcza dla osoby stojącej z boku.

Wtedy Miguel powoli odwrócił się do Juany. Nic nie powiedział, lecz wszyscy wiedzieli, o czym myśli. Zamiast niego znów przemówił Jordi:

- Juana mieszka tu, w Oviedo. Przyjęliśmy za pewnik, że tu zostaniesz, Juano, chociaż z wielką chęcią zabralibyśmy was oboje dalej. Wiecie o tym dobrze.

To dlaczego nie pozwalacie nam zostać? pomyślała Juana, lecz nie była w stanie tego powiedzieć.

- Czy mogę dzisiaj przenocować w hotelu? - spytała pokornie. - Do domu mam dość daleko.

- Oczywiście, że możesz - odpowiedział życzliwie Jordi. - Będziemy się tylko z tego cieszyć.

Juana więcej się nie odezwała. Siedziała z kulą w gardle, nie będąc w stanie przełknąć ani kawałeczka pysznego jedzenia.

Kiedy obiad, który ciągnął się w napiętej atmosferze, dobiegł wreszcie końca, Miguel wstał.

- Pójdę się przejść.

- Ach, tak - powiedział Pedro.

Gdy Miguel ich opuścił, Pedro podjął:

- Może i my powinniśmy iść na spacer? Nie pokazałabyś nam trochę swojego Oviedo, Juano?

- Z przyjemnością - odparła.

Wieczór był piękny, lecz ich ogarnął smutek. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Czuli, że wyrządzili Miguelowi i Juanie krzywdę, lecz z drugiej strony nie mogli przecież wciągać niewinnych ludzi w swoje własne kłopoty. Nikt przecież nawet się nie łudził, że wszystkie niebezpieczeństwa już minęły i nic im nie zagraża.

Bardzo chcieli porozmawiać o tych trzech słowach odkrytych ostatnio na kawałku skóry, musieli jednak czekać, aż Miguel i Juana opuszczą ich już na dobre.

Był to ten sam wieczór, kiedy grupa przebywająca na wschodzie urządziła prawdziwą orgię wśród serów, które Unni zamówiła na deser w Reinoso. Wieczór, który dla Jordiego i jego przyjaciół miał się zakończyć w sposób iście wstrząsający.

Jordi, gdy tylko znalazł minutę na osobności, natychmiast zatelefonował do Unni. Mówił przytłumionym głosem na wszelki wypadek, żeby nikt go nie usłyszał.

- Musimy być ostrożni, Unni. Bardzo ostrożni. Te istoty są dwie. Na każdą grupę

przypada jedna.

- Miguel? - spytała Unni równie cicho.

- Tak. I ta kobieta, która pojawia się w najrozmaitszych przebraniach. Raz kiedyś była nawet mężczyzną.

- Ale czym oni są?

- Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że jedno jest niebezpieczniejsze od drugiego.

- I w grupie Antonia jest to gorsze?

- Na to wygląda. Ale nie znam Miguela dostatecznie dobrze, może się okazać groźniejszy, niż się wydaje. Unni, nie podoba mi się, że jesteś tak daleko. Bądź ostrożna!

- Będę miała oczy otwarte. Ty też czuwaj!

- Ależ oczywiście. Niedługo się zobaczymy.

Mam taką nadzieję, pomyślał, cicho wyłączając telefon. Ale ona ma przynajmniej magicznego gryfa. Całe szczęście!

Miguel wezwał Zarenę. Jak zwykle spotkali się daleko od najbliższych zabudowań, tak aby mogli być sobą, potężnymi demonami.

- Czego chcesz tym razem? - spytała Zarena, wbijając w niego jadowicie zielone oczy.

- Jestem skończony jako Miguel. Jutro rano opuszczam grupę.

W kącikach ust Zareny pojawił się paskudny uśmiezek.

- Ty też zostałeś odkryty?

Tabris miał swoje podejrzenia, że tak właśnie wygląda sytuacja, lecz odparł pewnym głosem:

- Ależ skąd! Chcą, żebym się od nich odłączył dla mego własnego dobra, niech będą przeklęci! Teraz już żadne z nas nie może ich śledzić.

- Przecież możesz po prostu zmienić tożsamość.

- Nie życzą już sobie towarzystwa żadnych postronnych osób. Znajdują się zbyt blisko celu.

Zarena przekrzywiła głowę tak, że oba jej rogi wskazywały na prawo.

- Cóż, wobec tego przyszła pora, abym ja ich przejęła.

- Nie możesz.

- Nie mogę? W przeciwieństwie do ciebie utrzymuję kontakt z naszymi nędznymi zleceniodawcami.

- Z katami inkwizycji?

- Sięgam jeszcze dalej. Mam kontakt z tą Emmą, która tyle sobie na swój temat wyobraża, i z jej zaślinionymi kompanami. Oczywiście nie jest to kontakt bezpośredni, ale potrafię nimi manipulować. Poprzez mnichów naprowadzam ich tak, by mogli odnaleźć naszych wrogów. Banda Emmy jest już w drodze do Oviedo. Chcą wziąć zakładnika, tak więc te nędzne robaki będą zmuszone ujawnić, czym się zajmują.

- Przecież próbowaliśmy tego już wcześniej.

- Dobrze o tym wiem - syknęła Zarena. - Czy mogłam coś poradzić na to, że zakładniczka miała przy sobie gryfa Asturii, który pozwolił im uciec? Ale tym razem się nie wywiną. Kompani Emmy są pozbawieni jakichkolwiek skrupułów, no i posiadają broń. Żadne tam stare zardzewiałe miecze, lecz broń o wiele bardziej skuteczną. Noże i... no wiesz, bum!

Tabris popatrzył na nią roztargniony, a w końcu powiedział:

- Doskonale.

Ale minę miał przy tym obojętną.

Oczywiście, że Juana chciała pokazać im Oviedo! Popatrzyli trochę na nocne życie w centrum, ale potem zabrała ich w swoje ulubione miejsce, bezludne, nad rzeką.

Serce bolało ją od smutku. Miguel gdzieś zniknął. Być może nigdy więcej już go nie zobaczy, jeżeli rano się miną.

Księżyc wciąż jeszcze był prawie całkiem w pełni. Krwawoczerwony wznosił się nad horyzontem, budząc podziw w tych, którzy go oglądali.

- „Krew na księżycu” - zacytowała Gudrun.

- Ha, raczej dymy wypuszczane przez fabryki Oviedo - zauważył trzeźwo Pedro. - I dlatego księżyc nad horyzontem wydaje się taki duży.

Juana rozejrzała się dokoła. Miała wrażenie, że nie poznaje tego miejsca. Czy ta nieduża skała pod lasem zawsze była taka wysoka? I tak ostro zakończona? Nieprawdopodobnie wysoka...

Musiałoby tak być. Być może wcześniej po prostu nie zwróciła na nią uwagi. Tak czy owak, to dziwne.

Stali teraz, patrząc na rzekę, która płynęła w dole bystrym nurtem i znikła w lesie. Tańczące fale połyskiwały leciutko w świetle zmierzchu.

- Świetnie rozumiem, że lubisz to miejsce, Juano - uśmiechnął się Jordi. - Ono przydaje spokoju rozdartej duszy.

Z tym ostatnim wyrażeniem Juana absolutnie się zgadzała. Jej nieszczęśliwa dusza rzeczywiście była rozdarta na strzępy.

Pokazywała rozmaite miejsca, będące teraz jedynie konturami na tle wieczornego nieba. I opowiadała trochę o okolicach Oviedo w miarę, jak o nie pytali. Atmosfera była ciepła, lecz przesycona smutkiem.

- No cóż, pójdziemy chyba dalej - stwierdziła Gudrun. Ruszyła przed nimi w stronę lasu. Podążyli za nią, kompletnie nieprzygotowani na to, co się stało.

Nagle na wąskiej leśnej ścieżce pojawiło się czterech mężczyzn. Mówili po norwesku, lecz wśród nich pojawił się także jeden hiszpański głos. Wszyscy jednak krzykali to samo:

- Bierzcie ją!

Gudrun nie miała najmniejszych szans. Jeden z Norwegów pochwycił ją od tyłu, gdy próbowała zawrócić, i przytrzymał mocno, przykładając jej do gardła potworny, szeroki nóż ostry jak brzytwa.

Jordi i Pedro oczywiście skoczyli jej na ratunek, zahamowali jednak gwałtownie,

kiedy człowiek ten zawołał:

- Nie zbliżajcie się, mówię poważnie!
- A my będziemy strzelać - uzupełnił któryś z jego towarzyszy.

Rozpoznali głos i wulgarny ton Kenny'ego. To on właśnie trzymał Gudrun, wyraźnie gotowy na wszystko.

W imieniu napastników przemawiał jednak Tommy:

- Puścimy ją, jeśli zgodzicie się spełnić nasze żądania.
- To znaczy? - spytał Pedro z udawanym spokojem.
- Oddacie nam wszystkie papiery dotyczące skarbu i dowody na jego istnienie. Sami

odnajdziemy do niego drogę, co wam najwidoczniej jakoś się nie udaje.

- Ależ my nic nie mamy przy sobie - wtrącił się Jordi. - Jak więc możemy...

Więcej nic powiedzieć nie zdążył. Światło dzienne już zniknęło, a wśród drzew panowała jeszcze głębsza ciemność, lecz nagle zaczęło dziać się coś, od czego wszyscy zdrętwieli.

Wszystko potoczyło się niewiarygodnie szybko, stało się w jednej chwili. Kenny nie zdążył zareagować, gdy jakaś siła wytrąciła mu z ręki nóż, który z brzękiem upadł na kamienie na otwartej przestrzeni przed przyjaciółmi Gudrun. Sam Kenny został ciśnięty o ziemię jak rękawiczka. Jednocześnie Roger uniósł pistolet, mierząc w Gudrun, która chwiejnie ruszyła do przodu, tak nagle oswobodzona. Strzał jednak padł w powietrze, gdyż Roger został zaatakowany od tyłu. Usłyszeli jeszcze potworny chrzęst i złoczyńca z Norwegii został wrzucony do rzeki. Ostry prąd natychmiast porwał ciało.

Na ułamek sekundy zapanowała absolutna cisza.

A potem znów zaczęły się dziać różne rzeczy.

Tommy i Manuelito pognali do lasu, jakby śmierć deptała im po piętach. Kenny podniósł się, pojękując, i na niepewnych nogach powłókł się za nimi. Pedro porwał Gudrun w objęcia.

Przed nimi stanął Miguel.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie chciałem nikogo zabić.

Boże dopomóż, pomyślał Jordi.

Ruszyli z powrotem do samochodów, wciąż głęboko wstrząśnięci. Podziękowania Gudrun dla Miguela były dość dwuznaczne. Pozostali również słabo wymruczeli „dziękuję”. Pedro obiecał, że później zajmie się powiadomieniem policji o śmierci Rogera.

- Nie przejmuj się tym - powiedział Jordi głosem całkowicie pozbawionym życia. - Chyba że powstaną problemy w związku z jego tożsamością.

- Mmm - odparł Pedro.

Juana odwróciła się, gdy odchodzili stamtąd. Jej ulubione miejsce przestało już nim być. Przyglądała mu się z żalem i bólem.

Ostro zakończona skała nie była już ani ostra, ani wysoka. Wyglądała dokładnie tak, jak Juana zachowała ją w pamięci.

Opuścili Reinosą bardzo wcześnie, żeby mieć dość czasu dla siebie przy „Fuente del Ebro”.

O jasnym poranku stanęli wysoko przy Fontibre Antonio, Unni, Monen, Sissi i Flavia. Spoglądali w dół na niewielkie przypominające sadzawkę jezioro, otoczone zboczami z wysokimi cienkimi drzewami liściastymi, topolami porośniętymi brunatno - zielonym mchem, jak zwykle się dzieje, gdy drzewa rosną wśród wilgoci.

Sissi patrzyła w mętną zieloną wodę.

- Źródła Ebro - powiedziała nieswoim głosem. - To wprost niewiarygodne, że stąd tak spokojnie wypływa potężna rzeka.

- To prawda - przyznał Antonio. - Ma się wrażenie, że to święte miejsce natury.

- Latem musi tu być pięknie - stwierdziła Unni. - Teraz jest jesień i muszę przyznać, że jest strasznie zimno.

- To prawda, bardzo zimno - zadrżała Flavia. Niebo tego dnia było jednolicie szare, jak gdyby skrywało w chmurach śnieg. Byli zupełnie sami przy tym naturalnym basenie, ale też i sezon turystyczny dawno się już skończył.

Morten wodził spojrzeniem po miękkich, porośniętych trawą brzegach, na których przygotowano wygodne ścieżki dla odwiedzających.

- Gdzie powinniśmy szukać? - spytał.

Podnieśli wzrok. Nieco dalej dostrzec można było kilka domów, one jednak wyglądały na stanowczo zbyt nowe. Drzewa również nie mogły być dostatecznie stare, by ktoś pięćset lat temu wykorzystał któreś z nich jako umówione oznakowanie kryjówki.

A kamienie w miejscu, gdzie tryska źródło?

Stanowczo zbyt świeże. One również zostały starannie ułożone już w nowszych czasach.

Stali zupełnie bezradni. Nie wiedzieli, gdzie powinni zacząć szukać. Nie było tu jakby żadnego początku.

Wysoko na zboczu pojawili się rycerze na koniach.

„Dobrnęli teraz do naprawdę trudnego punktu - stwierdził don Sebastian. - Ten kawałek skóry już nie istnieje”.

„Nigdy nie przypuszczaliśmy, że dotrą aż tutaj - przypomniał don Galindo. - Zdołali pokonać tak wiele pułapek, odeprzeć tyle ataków przeciwników. Tragiczne byłoby, gdyby

musieli teraz się poddać”.

„Co więc robimy?” - spytał don Ramiro.

„My nie możemy nic zrobić - odparł przygnębiony don Federico. - Ale nie możemy też patrzeć, jak szukają czegoś, co przestało istnieć”.

„A Urraca?” - spytał don Galindo.

Don Federico wahał się przez chwilę. Potem uśmiechnął się kącikiem ust, nie odrywając wzroku od piątki stojącej nad brzegiem wody.

„Wydaje mi się, że ona nabrała pewnej słabości do Antonia, tam wśród norweskich gór. Ośmielimy się więc zakłócić jej spokój”.

„Urraca nie zaznaje spokoju - wtrącił don Sebastian. - Jej tragedia jest taka jak nasza, być może trochę łagodniejsza. Wydaje mi się, że chętnie pomoże/ młodemu”.

„Tak być musi” - powiedział don Galindo. Zawrócili konie i odjechali.

Morten z braku innych pomysłów podszedł aż do samego źródła. Pozostali z pewnym wahaniem ruszyli za nim.

Gdzie szukać? Wszystko tu takie nowe i porządne. Nie ma żadnych śladów z przeszłości, z wyjątkiem samej rzeki Ebro, odwiecznej.

Nagle Antonio, który wstał z kucek, znieruchomiał.

- Spójrzcie tam - szepnął.

- Gdzie? - dopytywali się Morten i Sissi jedno przez drugie.

Unni jednak już zobaczyła.

- Urraca! - powiedziała cicho z wielką czcią.

- Ja nic nie widzę - stwierdziła Flavia.

Również ani Sissi, ani Morten nie zobaczyli czarownicy, lecz Antonio i Unni byli jej starymi znajomymi.

Stała na szczycie stromego zbocza, wyprostowana i dumna na tle nieba. Czarnowłosa, ubrana w czerń, na szyi i rękach nosiła magiczne znaki ze złota.

Antonio ujął dłoń Unni.

- Chodź! Ona chce z nami mówić. Wy tu zaczekajcie!

Pomógł Unni pokonać najbardziej strome fragmenty zbocza. Taka wspinaczka nie jest chyba najlepsza dla przyszłej matki, pomyślała Unni. Ale co tam, jest przecież wytrenowana. Trzeba być w dobrej formie, gdy się chce wybawić rycerzy od wiecznej tułaczki.

- Urraca tutaj? - mruknął Antonio. - Zdaje mi się, że wydarzy się coś niezwykłego.

Kiedy wspięli się już na szczyt i dotarli prawie do samej czarownicy, zatrzymali się. Unni skłoniła się prawie do samej ziemi, Antonio też mocno zgiął się w pół.

Urraca nie była zbyt młoda, jej fizyczny wiek zatrzymał się w trudnym do określenia momencie, odznaczała się jednak niebywałą urodą. Długie, kruczoczarne włosy pokrywał cieniutki czarny welon ozdobiony maleńkimi złotymi gwiazdkami. Jeden z licznych wisiorów, które nosiła na szyi i przy pasku ze złota, przedstawiał uciekającą srokę. Wśród pozostałych był leżący półksiężyc, pentagram i gryf, znacznie większy od tych, które mieli oni.

Stali teraz dość blisko niej. Czarne oczy wiedźmy wpatrywały się w Unni, jak gdyby usiłowały zajrzeć wprost w jej duszę.

Mam nadzieję, że u mnie w środku jest wszystko porządnie poukładane, pomyślała Unni.

W głowie jej się zakręciło od przenikliwego wzroku czarownicy.

Potem na szczęście oczy Urraki skierowały się na Antonia i Unni mogła odetchnąć.

- Gdzie macie trzeciego? - spytała Urraca dziwnym, głuchym głosem. - Gdzie twój brat, a twój przyszły mąż?

Antonio wyjaśnił, jak się sprawy mają. Urraca pokiwała głową, a potem powiedziała:

- Tego, czego szukacie, nie ma tutaj.

- Szukamy w niewłaściwym miejscu?

- Nie, dobrze trafiliście, lecz ten kawałek skóry dawno już został zbezczeszczonej przez niemądrych ludzi, aż w końcu przestał istnieć.

- Takiej sytuacji obawialiśmy się wielokrotnie - westchnął Antonio.

- Szczęście wam sprzyjało. Mądrze też działaliście, dlatego właśnie się tu zjawiłam, aby łańcuch nie został przerwany.

- Co zrobisz, piękna Urraco?

Na twarzy czarownicy błysnął na moment ironiczny uśmiezek, zaraz jednak spoważniała.

- Mogę wam jedynie udzielić rady. Działać musicie sami.

Jej spojrzenie znów padło na Unni, a dziewczynę ogarnęły nieprzyjemne przecucia.

- Musicie cofnąć się w łańcuchu aż do poprzedniego kawałka skóry. Za jego pomocą dowiecie się, co zostało wyryte na tym, który zaginął.

- Tego poprzedniego kawałka nie mamy - odparł Antonio z żalem. - Stanowi własność muzeum w Ramales de la Victoria i nie pozwolono go nam stamtąd zabrać, nie dało się go również kupić, choć proponowaliśmy naprawdę duże pieniądze. Napisane na nim było „Początek wielkiej matki”, dlatego przybyliśmy tutaj.

Urraca zastanawiała się przez moment.

- A wcześniejszy kawałek skóry, macie go?

- Ten z sępem, który zawiódł nas do Ramales? Tak, mamy.

- Doskonale. Ogromną zaletą byłaby obecność tutaj waszego przyjaciela i brata, on bowiem posiada większą moc niż ty, przystojny młody człowieku. Rozumiem jednak, że to niemożliwe.

Komplementy sypią się jak grad, pomyślała Unni. „Towarzystwo wzajemnej adoracji”?

Zaraz jednak dostała zimny prysznic, którego właściwie się spodziewała, nie był więc aż tak strasznie nieprzyjemny.

- Młoda dziewczyno - powiedziała Urraca. Powiedz mi jakiś komplement! Błagała w duchu Unni. Nie? No cóż!

- Młoda dziewczyno, wiesz, co masz robić!

Tak, niestety. Znów ten kawałek skóry! Ale nie zrobię tego byle gdzie, pomyślała Unni.

- Znam miejsce, w którym nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Nie czytaj w moich myślach, bo robię się od tego nerwowa!

Unni czuła, że jest tak spięta, iż cała drży. Usiłowała się rozluźnić, lecz jak mogło jej się to udać, gdy stała przed czarownicą wysokiego rodu, wywodzącą się z dawno minionych czasów? Przed duchem, który poza statusem upiora, jaki mieli również rycerze, posiadał również nieznanne magiczne moce?

A na dodatek jeszcze wiedziała, że musi przejść przez ów zaiste nieznośny proces, w którym za pomocą kawałka skóry będzie mogła zajrzeć w to, co wydarzyło się w ciągu owych brzemiennej w skutki lat, poprzedzających śmierć rycerzy. Nie chciała już więcej oglądać okrucieństwa i bólu. Życie we współczesności i tak było dostatecznie trudne.

Antonio zawołał do Mortena, by przyniósł tamten kawałek skóry i apteczkę, a potem nakazał całej trójce, Mortenowi, Sissi i Flavii, powrót do samochodu lub do kawiarni przy drodze. Przyjęli tę propozycję z radością, ale nie przestawali się dziwić.

- My niedługo przyjdziemy - dodał im otuchy Antonio, lecz wcale nie był pewien, czy rzeczywiście nastąpi to tak szybko.

Czy Unni miała śledzić podróż niosących skarb aż od położonych daleko w Baskonii ruin twierdzy przez Ramales de la Victoria do tego miejsca? W dodatku podróż piechotą? To przecież mogło potrwać całą wieczność!

A najpierw trzeba ją przecież uspić, podać jej tabletki nasenne i czekać, aż zadziałają.

Usypianiem Unni zajęła się jednak Urraca.

Powiodła ich do pustej szopy, która okazała się znacznie czystsza w środku niż na zewnątrz i była najwyraźniej jedynym budynkiem, jaki pozostał jeszcze po starej zagrodzie. Musiano jej używać do warzenia piwa czy wina lub do sporządzania soków i konfitur, wewnątrz bowiem unosił się przyjemny zapach, choć wszędzie pełno było plam z rodzaju tych, które nigdy nie schodzą, plam od owoców.

Unni ułożyła się na wyszorowanej ławie, wzięła w ręce zniszczony kawałek skóry, zamknęła oczy i poddała się lękowi przed tym, co zobaczy.

Jordi, bądź teraz przy mnie, powtarzała w myślach. Dlaczego nie możemy być razem? Tak bardzo za tobą tęsknię!

Tym razem przez cały czas była przytomna. Urraca przesunęła tylko trzykrotnie ręką nad jej twarzą i Unni poczuła, że zapada się w inny świat.

Mogła rozmawiać z obojgiem przez cały czas. To oczywiście obecność Urraki dała jej tę siłę i zdolność jasnowidzenia.

Mocno ścisnęła w rękach kawałek skóry z gryfem. Bała się, nie było przy niej Jordiego.

- Antonio - powiedziała niewyraźnie, znajdowała się bowiem w stadium pomiędzy transem a jawą. Jakiś wariat zajmującą się zjawiskami nadprzyrodzonymi nazwał to, zdaje się, stadium alfa. Unni było wszystko jedno. - Antonio, trzymaj mnie za nadgarstek, żebym wiedziała, że tu jesteś. I przekaz ode mnie pozdrowienia Jordiemu, powiedz mu, że go kocham... jeśli nie wrócę.

- Oczywiście, że wrócisz - uspokajał ją.

- Dona Urraca, bądź przy mnie! To się już zaczyna. Boję się.

- Wszystko będzie dobrze, współczesna czarownico. Jesteśmy przy tobie, będziemy wzmacniać twoje wizje, tak jak robiłby to twój przyjaciel Jordi.

To będzie jeszcze silniejsze przeżycie, pomyślała Unni.

Urraca potwierdziła to, lecz obiecała, że będzie porządkować wizje, by wybijały się te najważniejsze.

W końcu naprawdę się zaczęło.

W pograżonej w półmroku szopie - warzelni światło dzienne jeszcze bardziej przybladło.

- Robi się ciemniej - powiedziała Unni, nawet na chwilę nie otwierając oczu. - Mrok rozświetlają płonące pochodnie. Jakieś ciasne, nieduże pomieszczenie, zimne kamienne ściany. Byliśmy tam. Jordi też był, raz wcześniej. To właśnie tam pierwszy raz spotkał rycerzy. Widzę wielką tarczę herbową na ścianie. Tę z podwójnym gryfem, sroką, różą i wszystkimi słowami. AMOR ILIMITADO SOLAMENTE. Dwóch mężczyzn majstruje przy mechanizmie róży, trzeci trzyma pochodnię. Dwaj pozostali siedzą przed jednym katafalkiem.

- Czy jest pusty? - spytał Antonio cicho, żeby nie przerywać jej transu.

- Tak, oba są puste. Nie ma w nich żadnych trumien.

- To musiało być bardzo dawno temu. Mów dalej!

- Robią coś przy kawałku skóry. Ach, nie, mają aż trzy kawałki!

- Trzy?

- Tak. Wiecie, mamy chyba więcej szczęścia niż rozumu. Nie muszę wcale

towarzyszyć im aż do Ramales de la Victoria, a stamtąd tu, żeby zobaczyć ten kawałek skóry, którego nie mogliśmy znaleźć u źródeł Ebro. Wydaje mi się, że oni skończą przygotowywać je już tutaj. Sunę bliżej.

- Suniesz?

- To taki uczucie. Nie jestem razem z nimi, mogę ich jedynie obserwować.

- Rozumiem. Widzisz te kawałki skór?

- Tak - powiedziała Unni, ożywiona na tyle, na ile mogła być, znajdując się na poły w transie. - Biorą teraz ten z gryfem, żeby schować go z tyłu za różą. Wstają i podchodzą do tarczy herbowej, dwa pozostałe kawałki leżą, muszę się pospieszyć, bo przychodzi po nie jakiś człowiek. „LA EXTRACCIÓN DE LA MADRE GRANDIOSA”. To ten, który znaleźliśmy w Ramales i który doprowadził nas do źródeł rzeki. I... słuchaj teraz uważnie i postaraj się zapamiętać, bo ja mogę zapomnieć. Napis jest czarny i bardzo wyraźny. Przesuń się, człowieku, albo przynajmniej zdejmij głowę! Dobrze, teraz już widzę: „LINARES LA ERMIDA EL MAS BAJO DE LOS BAJOS PANES”. Zabrał oba kawałki, mężczyźni patrzą na siebie, rozmawiają. Mam z nimi wyjść?

- Nie, teraz jesteś już tak zmęczona, że pot aż ci błyszczy na czole i twarz masz białą. Tyle chyba wystarczy, prawda, doña Urraca?

Czarownica zgadzała się z Antoniem. Kawałek skóry został wyjęty z rąk Unni i dziewczyna mogła otworzyć oczy.

- Uf! - odetchnęła. - Ależ to było przeżycie!

- Opisz tych mężczyzn - poprosił Antonio - póki jeszcze ich pamiętasz.

- Nosili proste ubrania w ciemnych kolorach. Materiał przypominający samodział. Wszyscy mieli brody, nawet ci zupełnie młodzi. Sprawiali wrażenie życzliwych, ale byli bardzo przejęci.

- A skarb?

Unni zmarszczyła czoło.

- Skarb? Nie wiem. Ale wydaje mi się, że... że widziałam, wiecie, tam była taka zewnętrzna komora, zanim się weszło do komory grobowej. Nie mogłabym przysiąc, lecz domyślałam się jakby obecności wielkich skrzyń. Nie trumien, a raczej kufrów podróżnych. Ale mogę to sobie jedynie wmawiać.

- Tekst - powiedział Antonio, patrząc na słowa pospiesznie zanotowane w kieszonkowym kalendarzyku. Wyszli już na szary dzień. - Tekst jest częściowo taki sam jak na ostatniej informacji znalezionej przez, naszą drugą grupę. Jesteśmy coraz bliżej, Unni. Porozmawiamy o tym ze wszystkimi w kawiarni. Dona Urraca... Serdeczne dzięki!

Czarownica uśmiechnęła się smutno i surowo zarazem.

- To ja powinnam wam dziękować, jesteście naprawdę wyjątkowi. Jeśli wam się powiedzie, ja również zyskam spokój. Lecz pamiętajcie o słowach rycerzy: „Widzicie to, czego nie ma, lecz nie widzicie tego, co jest”.

Potem uniosła rękę na pożegnanie i zniknęła. Unni miała nadzieję, że jej okrzyk: „Dziękujemy za pomoc”, dogonił Urracę w świecie duchów.

„Udało się” - uśmiechnął się don Galindo bardzo zadowolony. Wszyscy rycerze obserwowali pożegnanie na szczycie wzgórza.

„Znaleźli to! - wykrzyknął don Ramiro. - Znaleźli ten brakujący kawałek skóry!”

„Urraca miała wielką ochotę pomóc - uśmiechnął się don Sebastian. - Bardzo nas to cieszy”.

Ale trzeba przyznać, że dopisuje im wprost bajkowe szczęście - stwierdził don Garcia - skoro udało im się odnaleźć naraz trzy ostatnie kawałki”.

„Ta młoda jest bardzo bystra - przyznał don Federico. - Powtórzyła tekst na głos, tak żeby Antonio mógł go zapisać. Przyjaciele! Doprawdy, patrzę teraz na wszystko o wiele jaśniej”.

„Tak - odparł don Galindo z większą powagą. - Chociaż oni jeszcze nie dotarli do celu, a czyha na nich wielu wrogów”.

„Ten przeklęty skarb! - syknął don Sebastian przez zęby. - Gdyby nie on, nasi przyjaciele mogliby podróżować, nie zwracając na siebie uwagi, i o wiele łatwiej dotarliby na miejsce”.

„To prawda, my potrzebowaliśmy skarbu, by zapewnić samodzielność północnym krainom, ale ludzie są chciwi bogactw i złota. Zresztą na naszych przyjaciół czyha więcej niebezpieczeństw niż tylko chciwość” - powiedział don Ramiro.

„Więcej niebezpieczeństw i na dodatek znacznie poważniejszych, anizeli się domyślają - skinął głową don Garcia. - Jak zdołamy ich ostrzec, nie naruszając przy tym naszej własnej gry?”

„Nie możemy nic zrobić, jedynie modlić się i mieć nadzieję” - zakończył don Federico.

Grupa Jordiego wyruszyła z Oviedo wcześniej rano.

Nie obyło się bez dramatyzmu.

W milczeniu zjedli szybkie śniadanie razem z Juana i Miguelem. Juana tego dnia miała bardzo czerwone oczy, Miguel zaś zamknął się w sobie jak ostryga.

Później Jordi wziął go na bok i oznajmił mu ostro:

- Nie wiem, kim jesteś, ani czym. Nie wiem, czy chcesz naszej krzywdy czy naszego dobra, czy też pragniesz jedynie zdobyć skarb. Ale Juana bardzo cię polubiła, wstawia się za

tobą i ufa ci. W dodatku bardzo chciałbym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej i... mówiąc wprost, mieć cię na oku, bo dzięki temu będę się czuł bezpieczniej. Dlatego prosimy, żebyś towarzyszył nam jeszcze kawałek w drodze, jeśli nie jest to oczywiście dla ciebie niewygodne.

Miguel popatrzył mu prosto w oczy, a Jordiego ogarnęło dziwne uczucie nierzeczywistości, jak gdyby ujrzał coś, czego nie daje się objąć rozumem.

- Z tą dziewczyną, Juana, nie mam nic wspólnego - powiedział Miguel sztywno. - Ale poza tym przystaję na twoją propozycję. Mam swoje powody, by wam towarzyszyć, i z tego, co wiem, na razie nie wyrządziłem wam żadnej krzywdy?

- Nie, na razie nie. A tych swoich powodów nie możesz podać?

- Nie.

- Twoje imię?

Miguel milczał. Schylił głowę i wyraźnie się zastanawiał, a w końcu oświadczył:

- Tabris.

Jordi pokiwał głową.

- A więc ustalone.

Juana obserwowała ich z lękiem. Dotarło do niej jedno i drugie słowo, więc zrozumiała, czego dotyczy ta rozmowa. Gdy Jordi zobaczył jej olbrzymie błagające, pełne nadziei i żalu, zrozpaczone oczy, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Ciebie to również dotyczy, Juano. Wyprawa może być bardzo niebezpieczna. Chcesz mimo wszystko jechać?

Na twarzy dziewczyny ukazał się uśmiech, rozjaśniając jej twarz jak słońce. Rzuciła się Jordiemu na szyję, śmiejąc się i płacząc na zmianę, lecz gdy odwróciła się do Miguela, żeby i jego objąć, spostrzegła, jak instynktownie cofnął się przed nią. Opamiętała się wtedy i pobięła do pozostałych..

- Doskonale! - powiedziała Gudrun z uśmiechem. - Serdecznie zapraszamy na dalszy etap podróży!

Zgromadzili się przy samochodach.

- Co teraz zrobimy? - spytał Pedro. - Mamy słowa klucze „CHLEBY ERMIDA NACZYNIA”. Co nam to mówi?

- W każdym razie musimy podążać dalej na wschód - stwierdziła Gudrun i rozłożyła swoją standardową mapę. Mapa Unni była spakowana. - Powiedzmy do Cangas de Onis, ta miejscowość to nasza stara znajoma. Zobaczymy, może wpadniemy na jakiś pomysł, albo natrą - firmy na jakiś ślad.

- No tak, mamy tam Covadonga, dobrze znam ta miejsce po przygodach moich i Unni.

- Prędzej czy później spotkamy się z drugą grupą - powiedziała Gudrun.

- O, do tego jeszcze daleko - stwierdził Jordi z tęsknotą w głosie.

Gdy razem z Miguelem wsiadali do małego samochodu, spytał obojętnie:

- Współpracujesz z jakąś kobietą?

A Miguel jeszcze raz długo milczał, nim w końcu odpowiedział:

- Ja? Ja jestem bardzo samotny.

Jordi zrozumiał, że Miguel w taki czy inny dziwny sposób mówi prawdę.

Tabris był zły. Gdy się czegoś nie rozumie, można reagować gniewem.

Dlaczego ci ludzie muszą się dotykać, myślał ze złością. Dlaczego patrzą sobie w oczy, uśmiechają się i wyglądają na szczęśliwych? Przecież nikogo nie zabili, nie zrobili nikomu nic złego.

Dlaczego za sobą tęsknią?

Jordi tak często rozmawia z niemądrą Unni przez ten dziwaczny aparacik, który nazywają komórką, a jego głos robi się wtedy taki ciepły, mówi całe mnóstwo miłych słów. My w królestwie Ciemności owszem, znamy słowo „miłość”, ale to uczucie, którego doznają wyłącznie ludzie. My nie jesteśmy w stanie pojąć, co ono oznacza ani z czym się łączy.

No i mają też dzieci. Jordi mówił, że Unni spodziewa się jego dziecka.

Oczywiście, mieszkańcy Ciemności również kopulowali ze sobą. Demon męski mógł brać kobiecego od tyłu albo kobiecy usiąść na męskim, który leżał i odpoczywał, lecz odbywało się to tylko w ramach świadczenia sobie wzajemnych przysług, gdy kogoś ogarnęło zbyt duże napięcie. Dzieci płodzono na rozkaz Mistrza, na ogół po wojnach międzyplemiennych, które miały miejsce dość często, i zbyt wiele demonów uległo unicestwieniu. Ale demony z rodu Nuctemeron nigdy się nie rozmnażały. Mistrz nie chciał, żeby było ich więcej, a najchętniej w ogóle by się ich pozbył.

Dlatego Tabris znał jedynie agresję, zło i egoizm. Każdy myślał jedynie o własnym dobru i było to dość proste.

Nie pojmował sentymentalizmu ludzi. Oni się przejmowali sobą nawzajem!

Tabris odetchnął głęboko. Powinien okazać większą twardość, popełnił już co najmniej jeden duży błąd. Nie zgodził się na zmianę grupy.

Nie mógł jednak dopuścić do tego, żeby Zarena zobaczyła Juanę. Zarena być może zabiłaby tę kobietę ludzkiego rodu natychmiast, a nie takie było życzenie mistrza. Najpierw trzeba osiągnąć cel, a dopiero potem zabijać. Zarena pod tym względem wykazywała

nieostrożność i bezmyślność.

Ale nad tym, dlaczego uważa, że Zarena uśmierciłaby akurat tę nic nie znaczącą dziewczynę, Tabris nie zastanawiał się nawet przez chwilę.

Grupa u źródeł Ebro zebrała się w kawiarni, usiłując przetrwać wrażenia, jakie wywołało pojawienie się Urraki i wszystko, co się z nim łączyło.

Morten był nieco urażony, chętnie bowiem również wzięłby udział w spotkaniu z czarownicą, Antonio jednak wyjaśnił, że Urraca to niezwykle wrażliwa istota i mogłaby się wycofać, gdyby przyszło więcej osób niż te, które już znała. Rzecz nie w tym, że miała coś przeciwko Mortenowi, wykazywała bowiem słabość do młodych przystojnych mężczyzn - w tym momencie Morten wyprostował się i zaczerwienił - lecz bali się podejmowania jakiegokolwiek ryzyka.

Morten, ugłaskany, stwierdził, że świetnie to rozumie.

Kawa dawno już została wypita, lecz oni dalej siedzieli, ogarnięci jakby niebiańskim przejrzystym spokojem. Radowało ich wzajemne towarzystwo i świadomość, że są uprzywilejowani, mogąc cieszyć się przyjaźnią słynnej czarownicy.

- Wydaje mi się, że ona była królową - powiedziała Unni - Pewnie masz rację - przyznał Antonio. - W odległej przeszłości Hiszpanii wiele było królowych o tym imieniu. Zresztą Urraca wcale nie musi pochodzić z piętnastego wieku. Sprawia wrażenie wprost niewiarygodnie beczasowej.

- Może powinniśmy przyjrzeć się bliżej zdobytym materiałom? - zaproponowała Flavia.

Wszyscy przepisali sobie słowa, które Unni zobaczyła na ostatnim skrawku. Morten studiował tekst.

- „LINARES LA ERMIDA EL MAS BAJO DE LOS BAJOS PANES”. Znów to samo: „EL MAS BAJO DE LOS BAJOS”. „Najmniej znaczący ze wszystkich nieznaczących” albo „najniższy z niskich”. I kogoś takiego mamy prosić o radę.

- No, tak - powiedział Antonio. - I jest tu także „ermida”. Tym razem jest przed nią „la”. Najpierw było „yermida”, potem „ermida”, a na koniec „la ermida”.

- Wszystko razem nie ma sensu - podsumowała Unni. - Ale „PANES”, chleby, znów się pojawiają. Jakoś to się ze sobą wiąże, mam nadzieję, że zbliżamy się do punktu spotkania z naszą drugą grupą.

Flavia podniosła głowę.

- No tak, i chyba pora już, żebym się z wami rozstała - oświadczyła nieoczekiwanie. - Wróć do Reinosa i stamtąd jeszcze przez jakiś czas będę obserwowała rozwój wypadków.

Żadne protesty na nic się nie zdały. Zresztą rozumieli ją. Dla wszystkich jasne było, że Flavia bardzo przeżywa zerwanie z Pedrem, którego powodem stała się Gudrun.

- Mogę dla was pracować poza grupą - obiecała teraz. - Bo bardzo chciałabym zobaczyć, jak wam pójdzie. A gdybyście naprawdę znaleźli się w potrzebie, to nie wahajcie się przed wezwaniem mnie!

Mogli jej jedynie dziękować.

Flavia zamówiła taksówkę i w czasie gdy na nią czekali, znów zaczęli wpatrywać się w tekst.

Ich własny: „LINARES LA ERMIDA EL MAS B JO DE LOS BAJOS PANES”.

I drugiej grupy: „PANES ERMIDA POTES”.

- *Linares* oznacza „pola lnu” - wyjaśnił Antonio. - Ale to chyba nie zaprowadzi nas dalej. „Pola lnu la ermida najniższy z niskich chleby”. Kto się na tym wyrozumie? I to drugie: „Chleby ermida naczynia”.

- Pożycz mi na chwilę swoją mapę, Flavio! - poprosiła Sissi. - Zobaczymy, jak daleko zajechaliśmy.

Dostała dużą, bardzo szczegółową mapę.

- Dlaczego wszystko musi być takie trudne? - skarżył się Morten, oparłszy głowę na dłoni. - Za każdym razem, gdy rozwiążemy jakąś zagadkę, pojawiają się nowe problemy.

- Moim zdaniem Unni naprawdę się popisała, zdobywając tekst z tego kawałka skóry, który przepadł - stwierdziła Flavia.

- Ale też i mieliśmy dobrą pomoc - roześmiał się Antonio.

- No tak, temu się nie da zaprzeczyć. Nagle Sissi jęknęła na wdechu.

- Co się stało? - zainteresowali się natychmiast.

- Jacyż my jesteśmy głupi! - jęczała dziewczyna. - Ach, Boże, jacy głupi!

Trzęsącymi się palcami już wystukiwała numer na klawiaturze komórki.

- Jordi? Spójrz na mapę! Nie, nie na ten zwykły szkolny atlas, tylko na szczegółową mapę, tę Unni! Zobacz, dokąd my jedziemy!

Wyłączyła telefon, nim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, i znów schyliła się nad mapą Flavii. Przyjaciele zaglądali jej przez ramię.

- Spójrzcie tu! - wskazała Sissi. - Jesteśmy tutaj. Fontibres w pobliżu Reinoso. Antonio, czy mnich Jorge nie miał na swoim habicie słowa *desfiladero*?

- *Desfiladero*, czyli wąwóz, owszem. *Pueblo yermo panes desfiladero potes cuevas cuevas*. „Wioska pustkowiem chleby wąwóz naczynia groty groty”.

Sissi niecierpliwie spytała:

- Uporaliśmy się już z wioską, pustkowiec i grotami, grotami każdy po swojej stronie. Jesteśmy teraz pośrodku. Przy chlebach wąwozie garnkach Jorgego. *Panes desfiladero potes*. Ale zobaczcie tylko, dokąd my się kierujemy? Najpierw na północny zachód, a potem prosto na zachód. Tamci natomiast wprost na wschód, w naszą stronę.

Śledzili bacznie jej paznokcie palca wskazującego poruszający się po mapie Flavii, od Fontibre, czyli od źródeł Ebro, poprzez coś, co nosiło nazwę Carmona i...

- *Linares!* - wykrzyknął Antonio. - I... i... Boże, rzeczywiście, prawdziwi z nas durnie!

- To wygląda na krętą jak serpentyna drogę w górę albo w dół od Linqres. Do... do La Hermida!

- Litera H na początku słowa po hiszpańsku się nie wymawia. - Nawet Flavii zaparło dech w piersiach. - Ludziom w dawnych czasach niełatwo było wiedzieć, czy pisze się „Hermida” czy też „Ermida”.

- Albo „Yermida” - wtrącił Morten.

- I spójrzcie tutaj! - powiedziała Sissi. Odczytali.

- „Desfiladero de La Hermida”. Wąwóz Hermida, który na północy zamyka wioska o nazwie Panes.

- A po drugiej stronie wąwozu, od południa, za La Hermida, droga kończy się na Potes - jęknęła Unni.

- A więc to nie miało żadnego związku z chlebami ani garnkami - stwierdziła Flavia osłabłym głosem. - To jedynie nazwy miejscowości. Naprawdę wykazaliśmy się głupotą!

- Te nazwy są zaznaczone tylko na specjalnej mapie - próbował pocieszać przyjaciół i samego siebie Antonio.

Unni nagle przygasła.

- No tak, ale wszystkie leżą na granicy pomiędzy Kantabrią i Asturią. Do jakiego stopnia można być bezmyślnym i nieuważnym?

- Pamiętaj, że nie byłaś w tym osamotniona - pocieszała ją Flavia.

Zadzwoił telefon, głos Jordiego aż ochrypnął z podniecenia.

- Widzieliśmy już! Tyle zmarnowanego czasu!

- No cóż, potrzebowaliśmy sporej części wszystkich informacji, jakie zebraliśmy po drodze - odparł Antonio. - Ale to naprawdę wspaniale, ogromnie jesteśmy ci wdzięczni, Sissi. Dobrze, że mamy ze sobą geniusza. Jak daleko dotarliście?

- Już niedługo znajdziemy się w okolicach Cangas de Onis, ale oczywiście teraz nie będziemy się tam zatrzymywać, przyjeżdżamy tak prędko, jak tylko się da.

Antonio mierzył odległości na mapie.

- Obie grupy mają do przebycia mniej więcej taką samą drogę. Spotkamy się jeszcze przed wieczorem.

Ożywieni wyszli z kawiarni, postanawiając poczekać na taksówkę na dworze. Przyjechała zaledwie parę minut później.

Nastąpiło nieco smutne pożegnanie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz dłużej uczestniczyć w naszej wyprawie? - spytał Antonio.

- Nie mam siły - odparła Flavia zmęczonym głosem. - Po prostu nie mam siły.

Antonio objął ją.

- Będziemy w kontakcie - zapewnił wzruszony. Następny w kolejce był Morten.

- A więc żegnaj, moja dobra macocho! Jeszcze się zobaczymy.

- O tak, doprawdy, mam na to nadzieję - roześmiała się Flavia, lecz za tymi słowami kryła się powaga. Nie wiadomo przecież, kto z nich wróci z wyprawy, której celem było rozwiązanie zagadki rycerzy.

Pożegnała się z Unni i poprosiła Sissi, by opiekowała się Mortenem.

- Z gruntu to dobry chłopak - stwierdziła - chociaż czasami świetnie mu się udaje to ukrywać.

Na te słowa wszyscy się roześmiali.

Flavia wsiadła do taksówki i odjechała.

Ich krąg zmniejszył się o jedną osobę.

Czy odpadnie z niego ktoś jeszcze?

Mieli gorącą nadzieję, że tak się nie stanie. Lecz straszna przepowiednia o dwóch braciach, z których jeden miał gdzieś tu pozostać, wciąż nie dawała im spokoju.

Wjechali już na wyżynę. Minęli Alto Campo z jego wyciągami narciarskimi i szarymi szczytami z wapieni. Potem znów znaleźli się w bardziej płaskiej okolicy, wciąż jednak bardzo wysoko.

Szczyty i rozciągające się przed nimi płaskowyzę pokrywała cienka bielusiańka warstewka śniegu.

Morten nie krył wściekłości.

- Nie po to wyjechałem na południe, żeby oglądać śnieg!

- Rzeczywiście, nie po to - przyznał cierpko Antonio. - Ale możesz być spokojny, to przemijające. O tej porze roku śnieg się nie utrzyma. Prognozy pogody obiecywały, że będzie cieplej.

- I tak jest już dostatecznie zimno.

- Skoro udało nam się przebyć Alto Campo, to damy radę i dalej. Widzisz, na drodze nie ma śniegu. Wszystko będzie dobrze.

Morten, trzęsąc się z zimna, skulił się w swoim kącie.

- Mogłabyś przynajmniej zamknąć okno, Unni Nie musisz jeszcze pogarszać sytuacji. Twardość trzeba okazywać z umiarem!

Unni natychmiast usłuchała.

- Ach, przepraszam, przepraszam, nie możemy przecież narażać naszego bohatera na przeciąg. Tak się postępuje jedynie ze starymi złośliwymi teściowymi, których człowiek chce się pozbyć. Ależ co ja wygaduję? Wcale nie uważam, że wszystkie teściowe należy wywiesić za okno, mogą się wśród nich znaleźć naprawdę wspaniałe kobiety.

- Moją teściową możesz z powodzeniem posadzić w przeciągu - mruknął Antonio.

- Nie pojmuję, jak Vesla, osoba o tak gorącym sercu, może mieć taką matkę. A tak w ogóle to jak Vesla się czuje?

- Bardzo dobrze. Jest wprawdzie pod stałą kontrolą lekarską, ale wszystko jest w normie. Tak bardzo bym chciał być teraz przy niej!

- To oczywiście - powiedziała cicho Unni.

- Jak tu spokojnie w górach! - odezwała się Sissi. - Właściwie mamy spokój już od dłuższego czasu.

- Rzeczywiście, to aż dziwne - przyznał Antonio. Czym prędzej skontaktował się z grupą Jordiego, lecz i u nich nic się nie działo.

- Cisza przed burzą - skonstatowała Unni.

- Och, zamknij się! - westchnął Morten. - Nie wyzywaj losu!

- Nie pojmuję, co się wczoraj wydarzyło tam, na skraju lasu - Tommy skarżył się w samochodzie Alonzowi.

- Przestań marudzić na ten temat! - ryknęła Emma. - Straciliśmy Rogera i już to jest okropne, ale dobrze wiecie, że to nie był facet godny zaufania. Podkradał nam pieniądze na narkotyki i przechwalał się na lewo i prawo, co robimy. Właściwie to był dla nas wręcz niebezpieczny. Poza tym w samochodzie mamy teraz więcej miejsca.

- Zgoda, zgoda, masz rację we wszystkim, ale mnie chodzi o sposób, w jaki ten tajemniczy typ się z nim załatwił - powiedział Kenny. - Bo widzisz, przyłożyłem nóż do gardła tej baby i miałem wszystko pod kontrolą, a Roger trzymał tamtych dwoje w szachu pistoletem. Tommy i Manuelito też tam byli. Jak, u diabła, facet mógł pojawić się ot, tak z powietrza, wykręcić mi rękę i wytrącić nóż, a jednocześnie strzał Rogera posłać w niebo, a jemu zgruchotać kark? Co wy na to?

- Facet znał pewnie karate - podsunął Alonzo.

- To było coś więcej niż karate - mruknął Kenny. - On to robił jak prawdziwy demon.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - zaprotestowała Emma. - Dosyć gadania o demonach. Mamy dwa po naszej stronie, tak twierdzą mnisi, to nie mógł być żaden demon. Miał może żarzące się oczy? I cuchnął siarką? To był zwykły facet, prawda?

- Na takiego przynajmniej wyglądał. W jego wyglądzie nie było nic nadzwyczajnego, jedynie w metodzie działania.

- Nauczę się karate - powiedział Tommy rozmarzonym tonem.

Deptali po piętach samochodowi Jordiego, to znaczy pięty te musiały być długie, bo przecież przeciwnicy nie mogli zobaczyć ich samochodu. Od czasu do czasu jednak ścigana zwierzyna migła im przed oczami. To na razie wystarczało. Nie zamierzali próbować wziąć więcej zakładników, żeby wycisnąć informacje od wroga.

Elegancki samochód chudego mężczyzny wypadł z drogi w okolicy Alto Campo. Thore Andersen usiłował wyprowadzić go z powrotem na jezdnię i cały aż się przy tym spocił pomimo chłodu dającego się wyczuć w powietrzu.

- Mówiłem przecież, że powinniśmy byli załatwić w Reinosa lepsze opony - mówił chudy, który stał na skraju drogi i marzył, ale nie tracił nic ze swego stylu.

- Przecież to były tylko krótkie opady - odparł Thore Andersen ze złością. Śnieg niedługo znów stopnieje.

- Nie mamy czasu na to czekać.

- Przecież nic złego się nie dzieje - łagodził asystent z wnętrza samochodu. - Są niedaleko przed nami.

Zarena nie umiała znaleźć sobie miejsca. Nie mogła nic zrobić, dopóki siedzieli w tych głupich samochodach. Niewidzialna latała między nimi tam i z powrotem. Grupa, w którą włączył się ten szczęściarz Tabris, kierowała się prędko na wschód, druga była wysoko w górach, lecz opuściła już pokryte śniegiem okolice i znajdowała się bliżej wybrzeża.

Zarena, rozczarowana, z miną kwaśną jak ocet krążyła nad górami w połowie drogi pomiędzy obydwoma grupami. Najwyraźniej oba zespoły kierują się w jej stronę. Tabris złożył jej krótki raport, ale podczas tego pospiesznego spotkania oboje zionęli do siebie nienawiścią większą niż kiedykolwiek.

Ten idiota Tabris! Czyż nie mogła dostać na współtowarzysza któregoś wspaniałego z samej elity demonów? Była spragniona działania i zaspokojenia. A Tabrisa nie chciała, to by było poniżej jej godności.

Może dlatego, iż wiedziała, że on ją odrzuci?

Unosiła się ponad niezwykłymi formacjami skalnymi. Nie wiedziała, że są to Picos de Europa, zresztą, wcale jej to nie interesowało.

Mimo wszystko jeden ze szczytów przyciągnął do siebie jej uwagę.

Leżał w ukrytej dolinie, samotny szczyt otaczał las. Tam na górze była grotta. Przed nią zaś siedział jakiś dziwaczny stwór.

Zarena pozęglowała bliżej.

Ten stwór wyglądał wspaniale, godny demona. Miał wielką, porośniętą szczeciną głowę, w której pełzały robaki i owady. Mocne owłosione ciało i twarz, która zakonnice wystraszyłaby na śmierć. I cuchnął!

W Zarenie przebudziły się żądze. Wylądowała na szczycie skały i przybrała postać demona. Zapragnęła stać się najbardziej pociągająca jak tylko potrafiła. Nie chciała wyglądać miękko jak człowiek.

Istota coś mrucała, nie zwracając uwagi na Zarenę.

- Skarb. Mój skarb. Czekam na niego od setek lat. Jest mój. Gdy go dostanę, będę mógł na zawsze zniszczyć Urracę.

Zarena przysunęła się jeszcze bliżej. Teraz z owej cudownej postaci wydobywał się inny głos, jakby słabszy, lecz podniecająco chropawy.

- Skarb. Muszę go mieć. Muszę go posiadać. Muszę mieć władzę. Wtedy Emma będzie moja. Będę kupował domy, zamki, samochody, łodzie i niewolników. Zdobędę

władzę, mnóstwo, mnóstwo władzy. Wszystko będzie moje. Niech znajdą to przekłete miejsce, a ja im wszystko odbiorę.

Zarena stanęła przed nim w swojej najbardziej zapraszającej, wyzywającej pozie. Wamba - Leon podniósł na nią nieprzytomne oczy.

- Uf, cholera! - powiedział Leon.

Wamba śledził ją wzrokiem, gdy podchodziła bliżej, patrzył w kocie oczy i usiłował sobie przypomnieć, jaką istotą jest kobieta.

Zarena starała się wyglądać jak najatrakcyjniej. Rozpostarła skrzydła, wprowadziła nie tak piękne jak Tabrisa. Pokazała wszystkie swoje kły, wabiąco machnęła ogonem, a potem siadła mu na kolanach. Długo już przebywała z dala od innych godnych jej demonów i w środku cała aż płonęła.

Wamba - Leon siedział nieruchomo. Czego, u diabła, chce to babsko? Zapomniał już, do czego takich się używa.

Zarena zaczęła szukać pod jego włochatymi skórąmi. To, co znalazła, jednak nie nadawało się do niczego.

- Do kroćset! - syknęła, wstając. To była obraza. Rozgniewana, wzbiła się w powietrze.

- Skarb. Czekam na skarb - wybełkotał Wamba - Leon, natychmiast zapominając o całej wizycie.

Pięciu katów inkwizycji obserwowało całe zajście z najbliższej wapiennej skały.

„Żadnego pożytku - mruknął któryś z nich kwaśno. - Na cóż nam te durne demony? Przecież one do niczego nam się nie przydają!”

„O, na pewno w odpowiedniej chwili uderzą - odparł inny. - Ale strasznie długo zwlekają. Gdybyż nadeszły dni naszej świetności, dopiero by zobaczyli! Bo pamiętacie chyba, jak szybko i skutecznie zadziałaliśmy w Santiago de Compostela?”

„Byliśmy niepokonani”.

„O tak - dołączyli inni. - Jesteśmy niepokonani, gdy chodzi o krzywdę i śmierć”.

Unieśli się całą gromadą i odfrunęli.

Ze wzgórza niewidzialna Zarena przyglądała się ziemi. Zobaczyła, że wschodnia grupa się zatrzymała. Stali wysoko w punkcie widokowym i spoglądali w dół.

Jednej osoby wśród nich chętnie by się pozbyła i ku niej skierowała całą swoją nienawiść. Ku tej, która niemal ją odkryła. Ku Unni.

Poza nią kobięcy demon nie interesował się innymi kobietami. Uważał, że wcale się

nie liczą. Ta jednak była niebezpieczna. Chętnie zepchnęłyby ją teraz w przepaść, ale do tego Zarena musiałaby się zmaterializować, w takiej czy innej formie, demona czy człowieka. A na dole było zbyt wiele osób, które by ją zobaczyły. Niektórzy wybiegli z jakiegoś wielkiego paskudnego powozu. To rzeczywiście zbyt duży kłopot.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że miała na to ochotę. Zapewne jeszcze później trafi się okazja.

Zarena całkiem niedawno kontaktowała się z Mistrzem, lecz jedynie przez otwartą przepaść, prowadzącą aż na sam dół, w Ciemność. Zejść jej nie pozwolono.

Usłyszała naganę. Wciąż jeszcze się nie dowiedziała, czym zajmują się ci ludzie. Mistrz wiedział, że Urraca znowu krąży, a właśnie ją pragnął dopaść. Chciał się na niej zemścić. Jeśli cała ta sprawa dotyczy zagadki rycerzy, a tego Zarena jeszcze nie wiedziała, zawsze bowiem udawało jej się być w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, więc jeżeli tak naprawdę było, to należało nie dopuścić do rozwiązania tej zagadki. Gdyby bowiem tak się stało, Urraca uszłaby wolno już na dobre. A jeśli ludziom się nie powiedzie, to Urraca dalej pozostanie nie mogącym zaznać spoczynku duchem, bez ochrony zaś wybranych Mistrz będzie mógł ją dopaść.

Wybranych? dopytywała się Zarena. Ale Mistrz uciął kontakt. Albo zasnął. Czort jeden wie, co zrobił.

Morten obejmował Sissi ramieniem, patrząc z góry na przepiękne miasteczka, Carmona i San Pedro, położone w dolinie. Za czerwonymi dachami z dachówki droga wiała się wśród jesiennie złocistych spłachetków pól i teras ku widniejącym w oddali górcom. Szczyty wciąż pokrywała cienka warstwa śniegu. Widok był nieprawdopodobnie piękny, istny krajobraz z marzeń.

- Chciałbym tu mieszkać - oświadczył Morten.

- On chce mieszkać wszędzie - przypomniał Antonio z cierpkim uśmiechem. - Podobnie jak Unni. Gdy tylko ujrzą jakieś ładniejsze miejsce, od razu postanawiają je zbecześcić swoją obecnością. Ale sam muszę przyznać, że rzadko widuje się coś równie pięknego jak ten widok.

Unni jednak nie kryła niepokoju.

- Coś mi się tutaj nie podoba - stwierdziła. - Coś tu jest, czego być nie powinno. Jakiś zapach w powietrzu... Nie podoba mi się to. I wcale nie mam na myśli tego autobusu z turystami, Mortenie.

- Ja nic nie czuję - odparł. Unni zadarła głowę.

- Mam wrażenie, jakbym słyszała... trzepot jakichś wielkich skrzydeł?

- Może to helikopter - podsunął Morten.

- Jeśli tak, to bardzo dziwnie leci. Nie, to jest coś strasznego i cuchnie naprawdę obrzydliwie.

Urażona Zarena odleciała w bok, oczyszczając tym samym powietrze wokół Unni. Dziewczyna znów mogła się napawać wspaniałym widokiem.

- I jak. Jedziemy dalej? - spytał Antonio.

- Tak, tak - odparła Unni. - Nie możemy się spóźnić na miejsce spotkania.

- A jakież to miejsce spotkania? - zdziwił się Morten. - Przecież wcale się nie umawialiśmy.

- Nie, bo to zbędne. Prędzej czy później i tak ich spotkamy, a wtedy trzeba będzie tylko zdecydować, która grupa stawiała się na miejscu jako pierwsza.

Około trzeciej po południu dotarli do Linares, niewielkiej górskiej wioski, pełnej ślicznych domków i zadbanych ogródków. Ci, którzy zastanawiali się, czy kręta droga na mapie prowadzi w górę czy w dół, prędko mieli okazję się o tym przekonać. Krajobraz przed nimi nagle stromo opadał w oszałamiającą głębię, wiódł w dolinę, którą należałoby nazwać raczej rozpadliną niż doliną.

- Ratunku! Jak my zjedziemy! - jęknęła Sissi.

- Za pomocą paralołni - podsunął Morten.

Istniała jednak droga. Widzieli, jak wije się niezliczonymi ostrymi zakrętami, na samym dole zaś widać było trzy czy cztery czerwone dachy.

- La Hermida - powiedział Antonio. - Tajemnicze słowo. A oto jego rozwiązanie.

Wolno zaczęli spuszczać się w dół. W tej chwili najważniejsze były dobre hamulce.

- Jak to dłużej potrwa, zapadnę na chorobę morską - zagroziła Unni.

- Musisz nad tym zapanować - powiedział spokojnie Antonio.

- No dobrze, ale jedź trochę prościej! Serpentina ciągnęła się przez sześć kilometrów.

Nie tylko Unni próbowała mocno uchwycić się czegoś w samochodzie.

W końcu znaleźli się na wąskim dnie doliny. Zatrzymali się na skraju drogi. Sama wioska La Hermida położona była jeszcze nieco poniżej.

- No dobrze, i co robimy teraz? - spytał Antonio, po czym odpowiedział sam sobie: - Nie możemy przecież wejść do któregoś z domów ot, tak, skoro nie wiemy, o co mamy pytać. No i musimy stwierdzić, czy należy podążać na północ, czy na południe.

- Najpierw mamy spotkać naszych przyjaciół - przypomniała Sissi. - A oni przyjadą z północy, od strony wybrzeża. W dodatku, jak patrzę na mapę, to wydaje mi się, że najważniejsza część wąwozu „Desfiladero de La Hermida” prowadzi tędy.

- Rzeczywiście, zgadza się.

- Co właściwie znaczy „Hermida”? - spytała Unni.

- Nic, to tylko nazwa.

- Powinno się zakazać używania niezrozumiałych słów - mruknęła Unni. Zaraz jednak się rozjaśniła. - Ruszajmy, na północ! Ku naszym przyjaciołom i Jordiemu!

- Czy on nie jest twoim przyjacielem? - drażnił się z nią Morten. - Powiedziałaś: „Ku naszym przyjaciołom i Jordiemu”.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli - powiedziała Unni rozpromieniona na samą

myśl o Jordim.

Już w następnej chwili zaniemówili. Prawie.

- Ojej! - westchnęła Unni. - Ojej!

- Dech zapiera - szepnęła Sissi.

Jasnoszare ściany z wapienia wznosiły się po obu stronach wąskiego wąwozu, w którym miejsca starczało jedynie na rzekę i drogę. Skalne ściany mogły mieć kilkaset metrów wysokości, tworzyły je niezwykle formacje, widać też było inne szczeliny, które ginęły gdzieś w absolutnej pustce.

- Zatrzymajcie się! Muszę to sfotografować - oświadczyła Sissi.

Wysiedli.

- Mamy tu pewną wskazówkę - powiedziała Unni z uniesieniem. - Pamiętajcie, jak brzmiało przesłanie Kantabrii, to, które towarzyszyło gryfowi?

Antonio przez chwilę szukał w pamięci.

- *Moja. jest kraina, szara i pionowa, gdzie zbierają się orły. Z południa na zachód, z północy na prawo.*

- Fantastyczne - powiedział Morten. - Tylko gdzie są orły?

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziała Sissi, rozkładając mapę. - Czy jesteśmy jeszcze w Kantabrii, czy też znaleźliśmy się już w Asturii? Wąwóz Hermida biegnie dokładnie wzdłuż granicy. Tak, jesteśmy jeszcze w Kantabrii.

Gdy tak stali przytłoczeni niezwyklej wspaniałością, która ich otaczała, czując, jak maleńcy są w rzeczywistości ludzie, usłyszeli, że przez szum rzeki przebija się warkot samochodu. Nadjeżdżał z północy, a oni niepokoili się bardzo prawdopodobieństwem spotkania na tej wąziutkiej drodze...

Zaraz potem ze wszystkich gardeł wydobył się okrzyk radości.

To nadjeżdżali ich przyjaciele.

Unni nareszcie poczuła objęcia ramion Jordiego.

- Jordi, Jordi, nigdy więcej tak nie zrobimy! Tęsknota całkiem mnie rozszarpała!

- Mnie również. Próbowaliśmy dzwonić już od jakiegoś czasu, ale nie jest to chyba miejsce najlepsze na świecie do połączeń komórkowych. Czyż nie wspaniały jest ten widok?

Miguel wysiadł z samochodu i stanął na drodze, przyglądając się Jordiemu i Unni ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Zupełnie tego nie rozumiem, myślał. Cóż takiego niezwyklego jest w powtórnym spotkaniu? Przecież to chyba dobrze nie musieć się widzieć przez jakiś czas.

Wszyscy pozostali też ściskali się po kolei, Miguel stanął nieco z boku, żeby

przypadkiem nie zaatakowali i jego.

Morten paplał bez przerwy, jak karabin maszynowy wyrzucał z siebie zdania o tym, do czego doszli: że znaleźli się we właściwym miejscu i że z wąwozu muszą ruszyć na zachód, tak bowiem zostało powiedziane w przesłaniu z Kantabrii.

Popatrzyli na strome skalne ściany, zadając sobie pytanie, czy będą musieli się po nich wspinać.

- Z całą pewnością nie - stwierdził Jordi. - Jechaliśmy przez przełęcz bardzo długo i tutaj jest najtrudniejsza do przebycia część. Nieco dalej na północ odchodzą inne mniejsze rozpadliny, a nawet wąskie dróżki, ale jak już mówiłem, próbowaliśmy się z wami skontaktować, bo i my mamy wam coś do przekazania.

Pojechali według jego wskazówek jeszcze kawałek na północ. Tam znaleźli miejsce, gdzie mogli wprowadzić samochody, sami zaś usiąść na trawie i porozmawiać. I zjeść coś, grupa Jordiego zakupiła bowiem prowiant w Panes. Poinformowano ich tam, że zapuszczają się właśnie na pustkowia, gdzie jadalnie dzielą od siebie długie odcinki. Prawda okazała się jeszcze brutalniej sza: żadnej jadalni nie było w ogóle.

Kiedy Jordi, Gudrun, Pedro, Juana i Miguel dowiedzieli się o Desfiladero de La Hermida, jak szaleni wyjechali z Cangas de Onis na wschód. W rekordowym czasie - całe szczęście, nie napotykając po drodze policji drogowej - dotarli do Panes, gdzie zatrzymali się, żeby zjeść lunch. Panes nie było wprawdzie wielkim miastem, lecz bardzo ważnym. Nie zauważyli go na mapie, ponieważ nazwę zakrywały rozmaite linie i znaki. Zjedli lunch w bardzo dobrej restauracji i tam Pedro nagle ujrzał starego przyjaciela, który kiedyś pracował w Madrycie, w dyplomacji, lecz ostatnio wycofał się z uwagi na wiek. Było to serdeczne powitanie. Przyjaciel zachodził w głowę, co też Pedro może robić tu, w tych położonych na takim odludziu okolicach, a wysokiego rodu don Pedro de Verin itd. zdecydował się mówić wprost. Nie miał nic do stracenia, a wiele mógł zyskać. Wiedział też, że jego stary znajomy jest człowiekiem honoru.

- My, moi przyjaciele i ja, jesteśmy tu po to, by badać dawne podania i legendy. Słyszeliśmy, że w tych okolicach istnieje pewien stary mit dotyczący paru niezrozumiałych słów.

- Mów, o co ci chodzi. Sporo wiem o historii Panes.

- Dobrze - powiedział Pedro z namysłem. - Chodzi tu o coś takiego jak „EL MAS BAJOS DE LOS BAJOS”, „najniższy z niższych” czy też może „najmniej znaczący z nieznaczących”, czy też jak wolisz, „najmniejszy z małych”. Nie wiem tak naprawdę, jak

rozumieć te słowa.

Przyjaciel długo się w niego wpatrywał.

- *El mas bajo...* Kiedy i gdzie natknąłeś się na tę historię?

Pedro próbował odpowiedzieć wymijająco.

- Cóż, to było stosunkowo niedawno, po drodze tutaj. Wiesz coś na ten temat?

- Niewiele. Ta baśń to prawdziwa zagadka. Ale wiem, gdzie to jest przechowywane, to znaczy mam na myśli jedynie kilka słów naskrobanych na kawałku jakiegoś bardzo starego papieru. Trzy, może cztery linijki, nie więcej.

Pedro starał się ukryć swój zachwyty.

- Gdzie to jest?

- W pewnym opactwie, w klasztorze.

- Bardzo chcielibyśmy dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej.

- Doskonale, jedźmy więc tam. Weź ze sobą swoich przyjaciół, tylko pamiętaj, nikt nie zna początków tej historii.

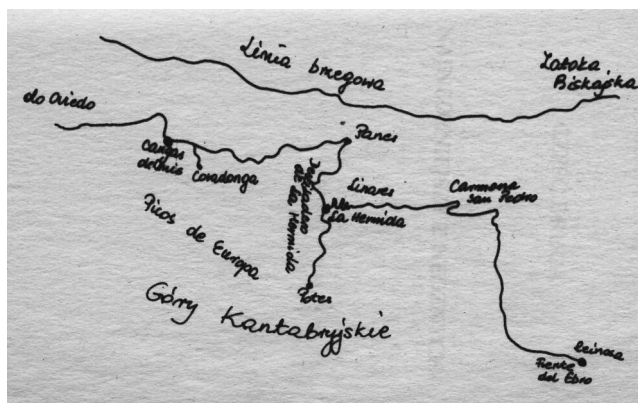
- Nic nie szkodzi.

- Nie wydaje mi się, żebyście zrobili się o wiele mądrzejsi, widząc to, co tam zostało napisane.

- W dalszym ciągu nic nie szkodzi. Jesteśmy otwarci na wszystko. Interesuje nas każdy najmniejszy nawet okrucz z tą historią.

Pojechali więc do klasztoru. Przyjaciel Pedra miał całkowitą rację, te kilka słów, które zostały tam zapisane, pozostawały niezrozumiałe dla większości ludzi.

Lecz u sprzymierzeńców rycerzy wywołały szok.



CZEŚĆ DRUGA
NAJNĘDZNIEJSZY Z NĘDZNYCH

POCZĄTEK HISTORII

Picos de Europa, Anno Domini 1481

Daleko wśród głębokich dolin w paśmie Picos de Europa stał samotny szałas.

Człowieka, który tam mieszkał, uważano za najędzniejszego z nędznych.

Był kiedyś hyclem, prostym pomocnikiem kata, który zajmował się najmniej szanowanymi powinnościami katowskiego zawodu. Odzierał konie ze skóry, palił samobójców... Robił wszystko to, czym sam mistrz nie chciał się zająć.

Straciwszy część władzy w nogach za sprawą prześladujących go młodych chłopców z wioski, wycofał się na odludzie i tam zbudował swój prosty szałas. Jako pomocnika wziął sobie dziesięcioletniego chłopca, również wyklętego ze społeczności, sierotę z jedną nogą krótszą, niezbyt przy tym mądrego. Nikt w wiosce nie chciał go karmić.

Nikt z wyjątkiem hycła, którego wszędzie traktowano z pogardą. Obaj więc zajmowali podobną pozycję.

Pewnego dnia jednak zjawił się rycerz i poprosił hycła o wskazanie mu drogi do ukrytej, zapomnianej wioski. Chłopiec tak się wystraszył tą wizytą, że uciekł i skrył się w górskiej rozpadlinie, służącej mu dotychczas za miejsce zabaw. Widział, jak piękny rycerz zsiada z czarnego rumaka i rozmawia z jego przybranym ojcem, lecz nic nie słyszał. Hycel pokazywał coś i tłumaczył, a rycerz pojechał w końcu dalej.

Gdy chłopiec wrócił do szałasów, spytał, czego szukał tutaj ten szlachcic, lecz przybrany ojciec milczał i nie chciał niczego wyjaśnić.

- Niczego nie widziałeś, rozumiesz? Wielu ludzi zacznie tędy przejeżdżać, a twoim zadaniem będzie stanie na straży i zawiadomienie mnie, gdy tylko kogoś dojrzysz w dolinie. Sam się schowasz, nikt nie może cię zobaczyć. To dla twojego dobra.

Stało się tak, jak zapowiedział hycel. Nastąpił długi czas, gdy przejeżdżali tędy konni, niektórzy wieźli narzędzia, inni jakieś wielkie toboły na końskich grzbietach. Chłopiec pilnował, ale za każdym razem uciekał i ukrywał się.

Pewnego razu jednak zdarzyło się, że jacyś ludzie nadjechali nocą i chłopiec nie zdążył się schować. Leżał cicho jak mysz i słyszał głos przybranego ojca:

- Teraz jest łatwiej, kiedy wycięli orły w górach. Podążajcie za trzema orłami, a dotrzecie na miejsce!

Potem hycel, zrozumiał, że chłopiec jest w pobliżu, wyprowadził nocnych gości na dwór.

Oczywiście wielu jeźdźców również wracało przez dolinę, chłopiec więc zawsze miał dość zajęcia ze staniem na straży.

A potem... nastąpiła katastrofa.

Przybyli nocą. Pędząc jak burza przez dolinę, pojawiło się pięciu rycerzy i, jedna kobieta. Kilka dni później wrócili i teraz towarzyszyło im wielu ludzi. Trzech z nich przyszło do szałasów i chłopiec, który się schował, ku swemu przerażeniu zobaczył, jak jego przybrany ojciec ginie od miecza. Mężczyźni zaciągnęli hycła do szałasów, przeszukali domostwo, a potem je podpalili.

Chłopiec, zyskawszy pewność, że wszyscy opuścili już dolinę, wyszedł ze swej kryjówki, cały czarny od dymu pożaru. Twarz pokrytą miał sadzą wymieszaną ze łzami.

Nic mu nie zostało. Nie pozostał mu już nikt na całym świecie i nie miał dokąd pójść.

Nagle za jego plecami pojawiła się kobieta na koniu. Chłopiec nie zauważył jej nadejścia, poznał jednak jej długie czarne włosy. Była to ta sama kobieta, która wcześniej towarzyszyła rycerzom.

Była niesamowicie piękna, lecz chłopiec trochę się bał jej oczu?

- Wszystko skończyło się źle - oświadczyła ciemnym, melodyjnym głosem. - Wszystko legło w gruzach. Pochowaliśmy naszych najdroższych, naszą przyszłość, a rycerzy wszędzie ścigać będą teraz ci, którzy zasiadają na tronie.

Chłopiec nic z tego nie rozumiał. Kobieta wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź ze mną, tu zostać nie możesz. Zabiorę cię do opactwa w Panes. Tam znajdziesz spokój i pożywienie, bo tu chyba nie bardzo masz co jeść - dodała z uśmiechem.

Musiał przyznać jej rację, lecz zawstydzony dodał, że ostatnimi czasy wiodło im się nie najgorzej. Przejeżdżający tędy często zostawiali im chleb, kawałek sera albo dzban wina.

Kobieta posadziła go za sobą na koniu i opuścili góry. Po drodze powiedziała jeszcze kilka słów:

- Zapomniana wioska jest teraz ukryta. Nikt o niej nie wie, a tobie nie wolno o niej mówić. Kiedyś jednak znów przyjdzie ktoś taki jak ty i twój przybrany ojciec. Najbardziej z nędznych. I osoba ta zdoła być może uwolnić nas od przekleństwa, jakie rzucił na nas i naszych najdroższych zły czarownik. Rozdzielił ich w śmierci.

Chłopiec przypomniał sobie wtedy okropny koszmar, który nawiedził go pewnego wieczoru, gdy nie wiedział jeszcze, czy to sen czy jawa.

Wydawało mu się, że widzi obrzydliwego potwora, olbrzymiego nieczłowieka,

kręcącego się, jakby był pijany, gdzieś wysoko na szczycie i wołającego: „Gdzie oni są? Gdzie są? Ja ich znajdę!”

Chłopiec skulił się wtedy i dobrze się ukrył.

W klasztorze było mu dobrze, nauczył się nieźle czytać i pisać, zanotował więc niektóre ze słów tamtej pięknej kobiety. Przysiągł jej jednak, że nigdy nie zdradzi nikomu tajemnicy ukrytej doliny, której zresztą sam nigdy na oczy nie widział.

Nie było mu jednak dane długie życie. Zabrała go choroba, zanim jeszcze zdążył dorosnąć.

O tym wszystkim grupa oczywiście nie wiedziała.

Znali jedynie kilka szczegółów, które zawierały baśnie: „W zaklętej dolinie rósł las pełen niezwykłych drzew. Dolinę otaczały góry, a w jej środku również znajdowała się wysoka góra, mająca kształt skulonego zwierzęcia. Na górze siedział zły stwór. Pilnował skarbu. Nie prowadziła tam już żadna droga, lecz pewnego dnia mieli się tu zjawić dwaj bracia. Tylko jeden z braci miał wrócić do domu. AMOR ILIMITADO SOLAMENTE. Trzy orły wskazują drogę. Trzej potomkowie mogą pomóc. Rycerze przybyli z miasta Leon, lecz nie ich śladem należy podążać. Trzeba iść śladem innych. Pytajcie najniższego z niskich!”

Teraz jeszcze mogli do tego dołączyć znaki na pergaminie, znalezione w pewnym opactwie. Pedro otrzymał pozwolenie skopiowania kruchego arkusza.

Siedzieli na kocu rozłożonym na trawie, rozmyślając nad znaczeniem tych słów, zastanawiając się i w zamyśleniu przeżuując zabrany prowiant. Wokół nich wznosiły się dzikie, budzące prawdziwą grozę ściany gór. Od czasu do czasu nadlatywał sęp i przyglądał im się, jak gdyby chciał się przekonać, czy stanowią odpowiednią zdobycz.

Ale oni przecież byli jak najbardziej żywi.

Doliną pod nimi z warkotem przejechał jakiś duży samochód, oni jednak siedzieli na tyle wysoko, skryci za występem skalnym, że zaledwie przez krótki moment dostrzegli jego dach. Ich własne samochody stały na niewielkiej dróżce pomiędzy skałami i z drogi nie było ich widać.

Ów krótki przebłysk jednak wystarczył, by zrozumieli, co się dzieje.

- To był Thore Andersen ze swoją kompanią - oświadczyła z mocą Unni. - Poznaję ten snobistyczny wóz.

- Zawsze wpadają na nasz ślad - utyskiwał Morten.

- Zawsze, naprawdę zawsze. Jak im się to udaje?

- To niepojęte - przyznał Pedro.

- No dobrze, a co powiemy o tym zapisku? Przyjrzeni mu się jeszcze raz.

Przybrany ojciec był najmarniejszym z marnych. Królowa jednak powiedziała, że przyjdzie też nowy i z pomocą najdroższych odnajdzie tajemnicę. Najnędzniejszy z nędznych zrodził się wśród odpadków.

- Królowa - zamyślił się Jordi. - Chyba nie może chodzić o nikogo innego jak o Urracę?

- Jeśli ktokolwiek tu przypomina królową, to właśnie ona - pokiwała głową Unni. - Ale kto to napisał?

- Nikt tego nie wie - odparł Pedro. Unni podjęła:

- Ale tu nie może chodzić o nas. Przecież nikt z nas nie jest aż tak nędzny?

- Był, nie jest - rzekł Antonio z powagą. - Wydaje mi się, że wiem, o kim mowa.

Czekali, lecz nie doczekali się żadnego wyjaśnienia.

- Natomiast ten fragment: „z pomocą najdroższych”

- zauważyła Gudrun. - Ten przynajmniej rozumiemy. Wiemy, kim są najdrożsi.

- Chodzi o królewskie dzieci - kiwnął głową. Juana była równie milcząca jak Miguel. Siedzieli daleko od siebie, jak gdyby chcieli za wszelką cenę zaznaczyć dzielący ich dystans. To znaczy Juana siadła jako pierwsza, on zaś znalazł dla siebie miejsce po drugiej stronie tej licznej grupy. Trudno powiedzieć, by ucieszyło to Juana.

Jeszcze jedna osoba dziwnie ucichła. A była nią Unni. W końcu zwróciła się do Antonia:

- To mnie miałeś na myśli, prawda?

Wszyscy pozostali natychmiast z zainteresowaniem nastawili uszu.

- A czy to nie jest możliwe, Unni?

- Urodzona na wysypisku śmieci? - powiedziała żalonym głosem. - Nędznego rodu? Moja matka była kompletnym zerem, zabłąkanym w szerokim świecie, ojciec Indianinem czy też raczej Metyseem, który od niej uciekł. Sądziłam jednak, że to Rio jest tym olbrzymim wysypiskiem odpadków, na którym zmuszeni są żyć ubodzy imigranci.

- Do Santiago de Chile również napływają każdego roku całe gromady z wiosek. I miasto ma swoje dzielnice slumsów, możesz mi wierzyć!

- Ależ to się nie zgadza! - wykrzyknęła Sissi. - Unni przecież nie jest nędznego rodu, jest potomkinią don Sebastiana de Vasconia!

Pedro podrapał się w kark.

- Od tamtych czasów minęło już wiele czasu. Szlachectwo musiało dość znacznie się rozmyć, skoro twoja matka znalazła się wśród śmieci po drugiej stronie globu.

- „Najnędzniejsza z nędznych” - szlochała Unni. - A więc to chodziło o mnie!

Jordi otoczył ją ramieniem i mocno przyciągnął do siebie.

- Ale nie dla mnie, dobrze o tym wiesz.

- Dla nas również nie - zapewnił Pedro. A wszyscy pozostali starali się przekonać ją o jej prawdziwej wartości.

Unni popłakiwała, ocierając nos i śmiejąc się smutno.

- Przez cały czas nosiliśmy drwa do lasu. Trochę głupio, gdy się o tym pomyśli.

Morten powiedział z uroczystą miną:

- Po prostu nikomu nigdy nie wpadłoby do głowy, żeby nazwać cię najmniej znaczącą ze wszystkich mało znaczących!

Unni rozpromieniła się.

- Dziękuję ci, Mortenie. Wydaje mi się, że to chyba najmilsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałeś.

Wtedy uśmiechnęli się i inni.

Jednocześnie

Pięciu rycerzy z żalem przyglądało się grupie wysoko na zboczu.

„A więc i ta sprawa została wreszcie wyjaśniona - powiedział don Federico. - To oczywiście Urraca miała wizję, gdy rozmawiała z małym pomocnikiem hycła. Potrafiła zajrzeć aż do teraźniejszości”.

„To prawda - przyznał don Galindo. - Szkoda jednak, że tej miłej młodej dziewczynie przypadło takie określenie. Nie zasłużyła na nie. Co powiesz na to, don Sebastianie?”

Don Sebastian podniósł głowę.

„O, nie, zaiste, nie zasłużyła. Chętnie bym ją pocieszył, okazując jej swój szacunek, nie wiem tylko, w jaki sposób. Nie jestem w stanie do niej dotrzeć, jak wszyscy dobrze wiecie”.

Zamyślili się. Wreszcie don Ramiro podniósł głowę i rzekł z uśmiechem:

„Mam pewien pomysł”.

Siedzieli na swoich kocach zamyśleni.

- Wszystko bardzo pięknie - powiedział Morten. - Tylko jak my się posuniemy dalej? Dokąd pójdziemy?

Jego pytanie na razie pozostało bez odpowiedzi, gdyż Juana i Sissi dostrzegły akurat wielkiego ptaka, krążącego nad ich głowami.

- O, nie, nie próbuj! - zawołała Sissi w górę. - Wszyscy jesteśmy ogromnie chudzi i zasuszeni!

- Głuptasie - powiedział Morten - Przecież to nie jest sęp. Widzisz chyba, że to orzeł!

- Przepraszam - powiedziała dziewczyna, lecz ton jej głosu wcale nie świadczył o tym, że bardzo się wstydzi.

Wszyscy śledzili orła wzrokiem, a wielki ptak krążył coraz bliżej.

- Nie straszcie go - poprosiła Gudrun. - Zobaczymy, jak blisko podfrunie.

- On coś trzyma w szponach - stwierdził Miguel. Odezwał się po raz pierwszy od dawna, ale słyhać było, że jest dumny ze swego odkrycia.

- Wydaje mi się, że zaczyna się robić zbyt poufały - Morten skulił się trochę. - Żeby tylko na nas nie narobił!

- To orzeł gadożer - stwierdził Pedro ze znawstwem. - Można to poznać po wielkiej głowie i szerokich zaokrąglonych skrzydłach. Ojej, pikuje w dół!

Ptak znalazł się teraz na tyle blisko, że mogli zajrzeć w jego czarne błyszczące oczy. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, upuścił to, co trzymał w szponach, i wzbił się z powrotem w górę. Wkrótce potem skrył się za skałami. Na kolanach Unni leżał piękny jesienny kwiat.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

- To było pozdrowienie - stwierdził Jordi w końcu. - Tylko od kogo?

- To najbardziej znany kwiat Baskonii - wyjaśniła Juana. - Tu rośnie również, lecz nie w takich ilościach jak w Kraju Basków.

- Od don Sebastiana - szepnęła Unni w uniesieniu. Potem podniosła głos. - Dziękuję, szlachetni rycerze! - zawołała tak głośno, że jej wołanie echem odbiło się od skał. - Dziękuję, mój szlachetny przodku!

- To bardzo piękny gest - stwierdziła Gudrun ze łzami w oczach. - Wydaje mi się, że chciał pokazać, iż uznaje twoje szlacheckie pochodzenie.

- Dla człowieka takiego jak on szlachectwo wiele znaczy - pokiwał głową Pedro.

- Tak, tak - wtrącił się Morten. - Wszystko to na pewno bardzo pięknie, ale powtórzę swoje pytanie: Co teraz zrobimy?

Tego nikt nie wiedział.

- Zastanawiałam się nad pewnym wyrażeniem - powiedziała Unni. - Chodzi mi o ten tekst z opactwa. „Mój przybrany ojciec był najmarniejszym z marnych”, czy jak to tam zostało powiedziane. Można coś wymyślić na temat tych właśnie słów: przybrany ojciec?

- O co ci chodzi? Gdybyśmy wiedzieli o nim coś więcej, to...

- Kto stał na samym dole społeczeństwa? - spytał Jordi.

- O, takich ludzi mogło być wielu - odpowiedział mu Pedro. - Ludzie w tamtych czasach byli naprawdę okrutni. Najniżej znajdowali się żebracy, bezdomni, czarownice, znachorki, niedorozwinięci, kalecy...

- Hycel - powiedział Miguel, który nagle zrobił się rozmowny. - Hycel stał najniżej.

Pedro na dłuższą chwilę zatrzymał na nim wzrok.

- Pewnie masz co do tego rację, ale czy taka wiadomość pomoże nam posunąć się dalej?

- Właściwie nie.

Antonio powiedział ze zniecierpliwieniem:

- Nie wierzę, żeby człowiek, który to napisał, pochodził z wioski Panes. Musiał mieszkać gdzieś tutaj.

- Tak, wszystkie zagadkowe informacje na to wskazują.

- Bądźcie cicho! - zawołała nagle Unni. - Słyszeliście?

- Nie - odparł Morten.

Nasłuchiwali. Dookoła panowała cisza. Gdzieś z daleka, z dołu, dochodził przyciszony szum rzeki.

A potem...

Rozległ się cienki ptasi głos. Prosty gwizd na jednej nucie.

- Gil? - zdziwiła się Sissi, która sporo wiedziała o ma - łych ptaszkach.

- Gile tutaj? - prychnął Morten. - Przecież one żyją w Skandynawii przez cały rok!

- To nie jest wcale takie pewne. Gile potrafią także daleko wędrować. Poza tym istnieje pewien środkowoeuropejski gatunek zamieszkujący te okolice.

- Nie czepiajcie się bagatelek - zdenerwowała się Gudrun. - Pamiętajcie, że tutaj nie obowiązują żadne reguły. Unni, to ty teraz dowodzisz! Odszukaj tego ptaszka!

Wysłuchali się znów. Teraz śpiew gila dochodził znad rzeki Devy.

- Ruszamy - oświadczył Jordi. - Pakujemy się i wsiadajmy do samochodów!

Zaczęło im się spieszyć. Morten burczał coś, że przecież w samochodzie nie usłyszą ptasich treli, ale został przegłosowany.

- Wy macie teraz tylko jeden samochód? - spytał Antonio.

- Tak, mały samochodzik Juany został w Panes. Nie nadaje się na długie, uciążliwe wyprawy. Zabierzemy go później.

Później? Czy będzie jeszcze jakieś później? Wkraczali teraz w końcową fazę długotrwałych poszukiwań, mieli już tego świadomość. Jordi w zamyśleniu przyglądał się całej gromadce. Czy wszyscy dadzą sobie radę? Flavia już zrezygnowała i tak chyba było dla niej najlepiej. Ale co z pozostałymi? Czy starczy im sił i odwagi? Czy nie ciągnie na zatracenie zbyt wielu osób?

Gdy Antonio i Jordi wycofywali samochody, reszta grupy czekała przy drodze, a tymczasem z północy nadjechały dwa auta. Zahamowały gwałtownie, ze środka wyskoczyła Emma i cała jej podejrzana banda. Śledzili przecież samochody Pedra i Juany od Oviedo, ale w Panes stracili trop. Emma znów musiała skontaktować się ze wstrętnymi mnichami, by dowiedzieć się, gdzie podziąła się jej zdobycz. Miała coraz mniejszą ochotę na te spotkania.

Teraz jednak nie było to już dłużej konieczne. Teraz dopadła swoją zwierzynę.

Wszyscy się zatrzymali. Samochody, które właśnie przyjechały, zatarasowały drogę.

- Ach, tak, a więc tu jesteście! - powiedziała Emma głosem słodkim jak cukier, wśród którego mógł trafić się niejeden odłamek szkła. - Myśleliście, że uda wam się wywinąć? Mogę wam jedynie powiedzieć, że mam potężnych sprzymierzeńców. Potężniejszych niż wam się wydaje. Ale teraz najwyższa pora, żebyśmy się zjednoczyli, a przynajmniej parę osób od was. Możecie jechać z nami.

- Doprawdy? - powiedział Antonio lakonicznie. - A dokąd to mielibyśmy wyruszyć?

- Tą samą drogą co wy, oczywiście.

- No to jedźcie pierwsi!

- O, nie, nie uda wam się nas oszukać. Pierwsi pojedziecie wy!

Sytuacja stała się patowa. Wszyscy ludzie Emmy stali szeregiem przed swymi samochodami, ustawionymi tuż przy zjeździe na wąską drogę, a właściwie raczej ścieżkę. Był tam Alonzo i dwaj Hiszpanie, Manuelito i Pepito, który ze swej misji szpiegowskiej wrócił z podkulonym ogonem, a także Tommy i Kenny. I trzech z nich byli uzbrojeni. Emma jasno i wyraźnie uprzedziła ich, jaki los ma spotkać tych z przeciwników, których nie chciała zabierać ze sobą. Wybrała już Antonia i Mortena na swych towarzyszy i przewodników, Jordiego się bała, reszta zaś się nie liczyła.

Tommy wyglądał, jakby miał wielką ochotę postrzelać.

- Pozwólcie, że ja się nimi zajmę - odezwał się nagle cicho Miguel.

Jordi zerknął na niego z ukosa.

- Wydaje mi się, że nie powinienes.

- Nie zabiję ich, nie trzeba.

- No dobrze.

Jordi ustąpił miejsca Miguelowi, który dotychczas trzymał się z tyłu.

Na jego widok Kenny i Manuelito aż się cofnęli.

- O, nie, tylko nie on! Do samochodu, prędko!

- Nie bądźcie głupcami! - krzyknęła Emma. - To przecież jest najzwyczajniejszy facet!

- Ale to on...

Kenny więcej nie zdążył powiedzieć. Miguel uniósł rękę i Kenny'ego ogarnęło oszałamiające zmęczenie. Ponieważ Tommy trzymał w gotowości swój pistolet, Miguel czym prędzej skierował uwagę właśnie na niego. Lekko na w pół uniósł rękę i przesuwając ją, kierując kolejno od jednego do drugiego, po wszystkich członkach bandy Emmy. Chociaż stał spory kawałek od nich, skutek okazał się zdumiewający. Alonzo uderzył wprawdzie głową o karoserię samochodu, lecz z tym wyjątkiem wszyscy po prostu osunęli się spokojnie na ziemię i pod względem świadomości przestali istnieć, jak gdyby zaaplikowano im narkozę.

- Zabierzcie ich stąd! - powiedział spokojnie Miguel. Upłynęło kilka sekund, nim jego współtowarzysze podróży zareagowali. Najbardziej przerażona ze wszystkich była chyba Juana. W końcu to Jordi zaczął odciągać uspionych złoczyńców w krzaki rosnące przy ścieżce. Sissi i Morten przestawili auta, tak by ich własne mogły wyjechać, a potem ukryli samochody łotrów w tym samym miejscu, gdzie stały wcześniej ich pojazdy. Operację należało przeprowadzić szybko, bo przecież ktoś mógł się pojawić.

Gdy wszystko było już gotowe, w milczeniu zebrali się na drodze. Jordi w napięciu zadał pytanie:

- Jak długo...?

- O tym ja decyduję - odparł Miguel spokojnie.

Bez słowa wsiedli do samochodów. Unni jako ostatnia. Wcześniej jeszcze przez chwilę stała nasłuchując, a potem wskazała drogę. Na północ.

Gdy przejechali kilkaset metrów, ukazały im się dwa gile. Unosiły się w powietrzu przed pierwszym samochodem, w którym siedzieli Jordi, Unni, Antonio, Juana i Miguel. Drugi samochód prowadził Pedro i wioził Gudrun, Mortena i Sissi.

Zwolnili w obawie, że ptaszki się zmęczą. Niepotrzebnie jednak się martwili. Ptaki będące jedynie substytutami dusz zmarłych nie podlegają żadnym ograniczeniom prędkości.

Po obu stronach drogi dalej ciągnął się masyw górski, lecz nie było tu już tak wielkich stromizn. Pionowe skały ustąpiły miejsca zielonym wzgórzom, łąkom, wodospadom, mostom, a tu i ówdzie zobaczyć można było domki z kamienia z dachami z czerwonej dachówki. Wzdłuż drogi i rzeki biegnących równolegle do siebie prowadził również przewód elektryczny. Później pojawiły się kolejne straszliwe stromizny, jakby ściskające dolinę.

Nagle ptaszki zboczyły z drogi i wleciały w głęboką rozpadlinę w górze.

- Tutaj? - zdumiała się Unni. - W dodatku po drugiej stronie rzeki?

Zatrzymali samochody i wysiedli.

Ptaszki przysiadły na gałęzi w głębi rozpadliny, jakby na nich czekając.

Lecz gdzie mieli odstawić samochody? I w jaki sposób przedostaną się przez rzekę?

- Od pewnego czasu nie mijaliśmy już żadnego mostu - powiedział Morten.

- Jordi - poprosił Antonio. - Pojedź kawałek dalej i sprawdź.

Jordi wkrótce wrócił.

- Jest most, niedaleko stąd, za zakrętem, ale czy zdoła unieść samochody? W to wątpię.

- Wobec tego pójdziemy pieszo. A czy było jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy zostawić samochody?

- Tak, chyba tak, przynajmniej spróbujemy.

Unni odwróciła się do ptaszków i zawołała przez rzekę:

- Zaczekajcie, zaraz przyjdziemy!

Na wszelki wypadek posłużyła się hiszpańskim. Wprawdzie z błędami gramatycznymi, lecz nikt nie miał serca jej poprawiać. Mieli nadzieję, że ptaki również okażą wyrozumiałość.

Gdy już ukryli samochody w gęstych krzakach i przeszli po wąskim drewnianym mostku, Unni, Jordi i Miguel oddzieleni od grupy, ten ostatni nagle powiedział:

- Unni, czy nie mogłabyś spróbować utrzymać tę Juanę z dala ode mnie? Nie możesz

jej wytłumaczyć, że ona mi dokucza?

Unni się zatrzymała. Jordi także. Wszyscy troje szli jako ostatni.

- Jak ja mogę jej to powiedzieć? - poskarżyła się Unni. - Rozumiem, że nie jesteś nią zainteresowany, ale wydaje mi się, że jeszcze gorzej będzie, jeśli w to wszystko wmiesza się ktoś trzeci.

- Ale ona mi rozrywa duszę.

- Twoja dusza jest martwa, Miguelu - stwierdził z wielką powagą Jordi. - A teraz chętnie byśmy się dowiedzieli, kim jesteś.

- Czym jesteś - poprawiła go Unni.

Miguel wahał się, aż w końcu powiedział:

- Nie mogę wam tego zdradzić. Otrzymałem jedynie rozkaz doprowadzenia was do celu.

- Czyj rozkaz? - ostro spytał Jordi.

- Tego nie musicie wiedzieć. Proszę was jedynie o zachowanie ostrożności. Również jeśli chodzi o mnie.

- Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie? - spytała Unni. Miguel skrzywił się z rezygnacją.

- Oczywiście, że jesteście w niebezpieczeństwie. Zagraża wam z różnych stron. I przecież wiecie o tym doskonale.

- I ty również stanowisz część tego zagrożenia?

- Jeśli zostanę do tego zmuszony, to tak. Nikt nie może ograniczyć mojej wolnej woli.

Unni i Jordi długo mu się przypatrywali. Nie pojmowali, kim jest, lecz nie mieli śmiałości z nim zadzierać.

- W porządku - powiedział Jordi i ruszył naprzód. Unni i Miguel poszli za nim.

- Kiedy masz zamiar zmiłować się nad tymi nędznikami, których zostawiliśmy z tyłu?

- Puszczę ich, gdy tylko znikniemy im z oczu. Za kilka minut.

- To dobrze, tu nas nigdy nie odnajdą.

- Tak nie mów, ta kobieta miała rację. Oni mają potężnych sprzymierzeńców.

- My być może również - dał do zrozumienia Jordi, lecz Miguel nic na to nie powiedział.

Małe ptaszki poprowadziły ich wąwozem, który biegł coraz wyżej i z czasem się wypłaszczył. Momentami mieli wrażenie, że dostrzegają ślady starej bitej i drogi, lecz raczej się tego jedynie domyślali. W wąwozie nie było drogi ani ścieżki, wyglądało na to, że współcześni raczej się tu nie zapuszczają.

Przez cały czas nad ich głowami unosiły się sępy, orły i inne drapieżne ptaki. Unni była tym naprawdę zafascynowana, aż do chwili, kiedy poczuła, że mało już brakuje, a kark jej się złamie. A kiedy paskudnie potknęła się o jakąś gałąź, zrezygnowała z obserwacji ptaków.

- Będziemy musieli wysoko się wspinać - stwierdził Morten. - Zaczekajmy na Gudrun i Pedra. Oni chyba mają problemy z podejściem.

Morten sam miał z tym problemy i raczej dlatego poprosił o przerwę.

Zatrzymali się, ale nie popełnili błędu, jaki często przydarza się wędrowcom. Nie ruszyli natychmiast, gdy tylko spóźnialscy do nich dołączyli. W takich sytuacjach ci pierwsi zdążą już odpocząć i nie myślą o tym, że tym z końca również należy się chwila wytchnienia.

Nie, wszyscy dziewięcioro stanęli pod osłoną ostatnich niskich skał wąwozu i odbyli poważną rozmowę. Jak zorganizują nocleg? I co z prowiantem?

Prowiant, jak się okazało, nie stanowił problemu. Jordi jeszcze w Panes zaopatrzył się w cały plecak jedzenia. Gorzej było ze snaniem. Zrozumieli, że chyba zbyt prędko zeszli z drogi, ogarnięci zapalem i rysującą się przed nimi możliwością odnalezienia ukrytej doliny.

Dopiero teraz zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że poszukiwania mogły jeszcze przez jakiś czas potrwać.

- Wejdziemy na szczyt i zobaczymy, co jest dalej - oświadczył Morten, wykazując tak charakterystyczną dla Norwegów potrzebę przekonania się, co jest za następną górą.

Pozostali uznali to jednak za niezły pomysł, słońce bowiem wciąż stało stosunkowo wysoko, a w każdym razie został mu jeszcze kawałek do horyzontu i w tym czasie mogli zajść daleko.

Dalej jednak nie zdążyli pomyśleć, Jordi bowiem zawołał:

- Cicho! Znieruchomieli.

Sępy to bardzo ciche ptaki, orły i inne drapieżniki nie hałasują niepotrzebnie, tymczasem usłyszeli ostry ptasi krzyk, dobywający się jednocześnie z kilku gardeł. Nietrudno było go rozpoznać.

Małe gile natomiast pisnęły rozpaczliwie w wielkim zdenerwowaniu, kręcąc się w koło.

- Mnisi! - zawołał Pedro. - Co robimy? Gile szukały schronienia u Antonia, który już kilka - krotnie ocalił je w dalekiej Norwegii.

Teraz także ukrył jednego ptaszka w dłoniach. Czuł jego drżący oddech i uderzające mocno małe serduszko. Zawołał do Sissi, żeby zrobiła to samo z drugim gilem, a potem oboje pobiegli pod skalną ścianę i wcisnęli się w nią najbardziej jak mogli. Nie było bowiem

żadnych wątpliwości, że kaci ścigają właśnie małe gile.

Jordi zawołał:

- Unni, wyjmij swój znak! Oni już tu są! Gdzie go masz?

- Na samym dnie plecaka. Jordi nie powiedział na głos tego, co pomyślał, wykrzywił się tylko z rozpaczliwą miną.

- A wy, reszta, gdzie macie znaki? Dajcie je prędko! Wszystkie znaki leżały bezpiecznie schowane pod całym prowiantem.

- Mój również - powiedział Jordi, kajając się. - Naprawdę mi przykro, popełniliśmy olbrzymie głupstwo. ;

Unni i Juana już opróżniali plecaki. Puszki, torby i butelki latały w powietrzu, aż Pedro, który chciał przyjść z pomocą, musiał się kryć.

I wtedy kaci zaatakowali.

Jordi oczywiście ich widział, a Urraca obdarzyła zdolnością widzenia również Unni i Antonia. Morten natomiast tak bardzo już zbliżył się do swych dwudziestych piątych urodzin, że ku swemu przerażeniu także zobaczył ohydne potwory, żeglujące ku nim przez powietrze jak niesamowite czarne cienie.

- Pospiesz się, Unni! - zawołał wystraszony do szaleństwa. - Juano, znajdź znak, prędko!

W następnej chwili został zaatakowany przez coś obrzydliwie miękkiego o kościstym wnętrzu. Patrzył we wstrętą twarz, a potem zamknął oczy i zaniósł się histerycznym krzykiem. Widziałem ich, jestem skazany na śmierć, nie można mnie już uratować... Potem przestał już myśleć o czymkolwiek Jordi odciągnął od niego mnicha i sam został napadnięty, jednocześnie zaś widział, że i Pedro zмага się z napastnikiem.

Ale Jordi ubezpieczał Antonia i Sissi, którzy dali schronienie ptaszkom, i nie mógł ich opuścić na dłużej niż na sekundę, jaką zabrało oswobodzenie Mortena. Walczył zaciekle z bestiami, które napadły i jego, usłyszał przenikliwy krzyk Gudrun...

Nareszcie dobiegł go głos Unni.

- AMOR ILIMITADO SOLAMENTE!

Jeden znak został wyjęty z bagażu, Unni wyciągała go teraz w stronę tego mnicha, który rzucił się na Jordiego. Napastnik z przeraźliwym krzykiem upadł na ziemię i leżał targany śmiertelnymi drgawkami, dopóki nie zniknął.

Juana wyciągnęła już kolejne znaki, lecz teraz było już za późno. Czterej pozostali kaci opuścili ich w największym pośpiechu.

- No, przynajmniej o jednego mniej! - powiedziała Unni z zadowoleniem.

Wszyscy, rzecz jasna, ogromnie żalowali, że zapomnieli o znakach.

- A gdzie Miguel? - spytała nagle Juana. Miguel wyszedł zza skały, Jordi patrzył na niego zdziwiony, z wyrzutem.

Ale Miguel tylko kręcił głową.

- Ja nie byłem w stanie nic zrobić. Oni nie mogą mnie zobaczyć. Ale pomóżcie teraz ofiarom, prędko!

Zorientowali się, że najgorzej przedstawia się sytuacja Pedra. Nie odniósł wprawdzie żadnych ran, lecz doznał poważnego szoku. Antonio robił, co w jego mocy, by go z niego wydobyć, lecz hiszpański szlachcic drżał na całym ciele i nie był w stanie nad tym zapanować, chociaż naprawdę się starał.

Gudrun również przeżyła szok, z nią jednak sprawa nie przedstawiała się tak groźnie. Przestraszył ją atak na nią samą, lecz bardziej obawiała się o Pedra. Mor - ten siedział skulony, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Nagle zorientowali się, że ich gromadka się powiększyła. Ptaszki zniknęły, za to na porośniętym trawą zboczku stało teraz dwoje pięknych dzieci, każde po jednej stronie grupy.

- Dziękujemy wam - powiedział młody książę głosem, który brzmiał jak szept w sitowiu.

- Pokładamy w was nadzieję - rzekła dziewczynka, ubrana jak księżniczka, którą kiedyś wszak była.

Antonio, ich szczególny przyjaciel, skłonił się głęboko.

- Zrobimy, co w naszej mocy, albo nawet jeszcze więcej, lecz dla waszego własnego dobra powinniście nas teraz opuścić. Te podłe gady mogą wywęszyć że jesteście z nami. Pomogliście nam wybrać drogę na trudnych rozstajach, dalej postaramy się już dotrzeć sami.

Nie możemy ryzykować, że was stracimy. Zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy już tak blisko. Chłopiec kiwnął głową.

- Ujrzycie równinę. Odszukajcie domostwo hycła! Stamtąd zobaczycie wejście do pierwszego wąwozu, lecz stąpajcie ostrożnie, mnisi inkwizycji nie są jedynymi, którzy pragną przerwać waszą wędrówkę.

- Wiemy o tym - odparł Antonio. - Będziemy uważać. Młodzi pożegnali się z nimi dostojnie i zniknęli w swoim własnym wymiarze. Na moment zapanowała cisza.

- Pedro - odezwał się w końcu Antonio ściszym głosem. - Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak zawrócisz.

Hiszpan pokiwał głową.

- A ty, Gudrun? - pytał Antonio.

- Wracam razem z Pedrem, to jasne. Czy możemy pożyczyć jedno auto? Postaramy się wynająć samochód w Panes i ten wam potem odstawimy.

- Oczywiście. Mortenie, ty również pójdziesz z nimi. Chłopak poderwał się.

- Ja? Nigdy w życiu! Wiem, że jestem jeszcze roztrzęsiony, i przyznaję to, ale wiem też, że to minie. To na pewno minie.

- A kto z nas nie jest roztrzęsiony? - poparł go Jordi. - Co ty powiesz, Sissi, chcesz iść dalej, czy...

Sissi przełknęła ślinę.

- Sporo już wytrzymał. Jeśli Morten zostaje, to ja również.

- Juana?

Dziewczyna była biała na twarzy.

- Ja... bardzo chętnie... zostanę.

Widać było wyraźnie, że ostatnie słowo wymówiła z trudem.

Pozostałych nie pytał. Obecność Unni i Antonia była oczywista. Miguel chadzał własnymi ścieżkami. Czuli, że najlepiej będzie się w jego sprawy nie mieszać.

- Jednej rzeczy musicie być świadomi - przestrzegł Jordi. - Jeśli mnisi wiedzą, gdzie jesteśmy, wie to również Emma.

- Z Emmą chyba łatwiej sobie poradzić - mruknął Morten, który kiedyś był w niej boleśnie zakochany, Pedro zdjął z szyi swego gryfa i podał go Juanie, bo Morten przecież nie chciał żadnego amuletu.

- To gryf Galicji, symbolizujący dobrobyt. Strzeż go i pilnie!

Juana ogromnie się wzruszyła.

- Będę go pilnować, dopóki znów się nie spotkamy. Dziękuję za zaufanie!

- Zostało was tylko czterech! - wybuchnęła Emma. - Jak, u diabła, sobie z tym radzicie?

„To nieszczęśliwy wypadek, szlachetna księżniczko - przypochlebiał się jeden z mnichów głosem gładkim jak oliwa. - Wiedzieliśmy, że te potworne znaki są dla nich niedostępne”.

- Ale Czy za każdym razem musicie się tak okropnie drzeć? Nie potraficie się do nich podkraść po cichu?

„Ten krzyk to nasze zawołanie wojenne, wasza łaskawość. Przenika nas wtedy taki rozkoszny dreszcz”.

- Stare świnię - mruknęła Emma.

Ona i jej ziemscy kawalerowie podążali za grupą w niezbyt dużym oddaleniu. Gdy tylko ich tajemniczy paraliż minął, Emma wezwała mnichów i dowiedziała się, w którym miejscu grupa zboczyła z drogi. Emma podążała teraz wąwozem. Część jej gwardii przybocznej uważała jednak, że cała ta wyprawa zaczyna się robić zbyt męcząca i nudna.

- Ta przekłeta Unni! - syczała Emma dalej. - Powiedzcie tej niezdarnej demonicy, którą sprowadziliście, że ma się wreszcie do czegoś przydać! Niech się pozbędzie tej suki! Niech walnie Unni tak, żeby przeniosła się prosto w wieczność. Mam jej już serdecznie dosyć. Powiedzcie jej, że Unni jest młoda, ma ciemne, dosyć krótkie włosy, i jest niewysoka, kwadratowa i brzydka. Zrozumiano?

„O, tak, najpiękniejsza wśród kobiet!”

- Niech wam nic nie przychodzi do głowy. Sami nie zdołamy ich dzisiaj dogonić i nie możemy dopuścić, żeby zanadto wysforowali się naprzód. To musi stać się już teraz!

Wściekły głos Emmy usłyszeli Pedro i Gudrun, schodzący w dół. Czym prędzej się schowali i mogli obserwować grupę kryminalistów rozmaitego gatunku pnących się pod górę. Groźba wobec Unni do nich nie dotarła. Słyszeli przede wszystkim miotane w złości przekleństwa.

Wspinaczka pod górę tego, co zaczęło się jako wąwóz, a potem zmieniło w płaskowyż, okazała się naprawdę ciężka. Płaskowyż kończył się krawędzią skalną i tam właśnie chcieli dojść, zobaczyć, co się za nim kryje.

Zostało ich już siedmioro. Stracili dwoje ze swych najlepszych przyjaciół, całe

szczęście, że nie definitywnie. Od jakiegoś czasu jednak większość z nich zaczynała się domyślać, że wyprawa może okazać się zbyt, męcząca zarówno dla Pedra, jak i dla Gudrun. Oboje i tak wiele znieśli, lecz wstrząsający atak katów inkwizycji zmógł wreszcie w nich wolę Walki Jordi niepokoił się również o Mortena. Zastanawiał się, jak długo chłopak wytrzyma. A Juana?

Miguel chciał się jej pozbyć. Prosił, żeby kazali jej trzymać się od niego z daleka. No tak, ale to przecież wcale niepotrzebne. Juana, i tak przygnębiona i zasmucona jego chłodem, właściwie przez cały czas milczała. Jordiemu żal było dziewczyny, lecz takie uczucia jak: jej muszą się po prostu wypalić.

- Cholera, jak ja już za nimi tęsknię! - wypalił nagi Morten.

- Nie ty jeden - przyznał Antonio z żalem. - Ma wrażenie, jakbym przeszedł amputację. Tyle czasu spędziliśmy razem... A teraz ich nie ma.

Na górskim płaskowyżu wiał zimny jesienny wiatr. Unni zawiązała na głowie jasnoniebieską chustkę, Sissi szła, zatykając rękami uszy.

Z zatroskaniem obserwowali słońce. Ponieważ znajdowali się już tak wysoko, stało ono jeszcze na niebie, lecz cienie stale się wydłużały.

Nic ich już nie bawiło, odkąd Pedro i Gudrun ich opuścili. Pożegnanie się przeciągnęło, nastąpiło wiele mocnych długich uścisków, kilka łez, padło też wiele słów mówiących o ostrożności, szczęściu, ponownym spotkaniu i utrzymywaniu kontaktu. Juana także została uściskana, lecz Miguelowi starsza para podała tylko dłoń na pożegnanie. Był i pozostał zagadką, niemożliwą do odgadnięcia.

Najwyraźniej też nie dało się go pozbyć.

Idąc na szczyt, Jordi usiłował zgłębić tajemnicę Miguela. Wyglądało na to, że źle się on czuje w ich towarzystwie, zwłaszcza przy Juanie, lecz mimo wszystko ich nie opuszczał. Zamierzał doprowadzić ich do celu. Na czyj rozkaz? Żadną miarą nie wyglądał na poszukiwacza skarbu, bo odnosiło się wrażenie, że tego rodzaju ludzkie słabostki są mu najzupełniej obce.

Jordi przez chwilę dumiał nad określeniem „ludzkie”.

No a co będzie później? Gdy zadanie zostanie już wykonane?

Jordi zadrzał. Nie chciał się dłużej nad tym zastanawiać.

Nareszcie dotarli do najwyższego punktu.

I tu się zatrzymali. Bo nagle ziemia uciekła im spod stóp, pod nimi rozciągała się przepaść. Zbocze góry schodziło kilkaset metrów pionowo w dół.

Gdy doszli już do siebie i otrząsnęli się z przerażenia, odetchnęli głęboko. Udało im

się bowiem oderwać w końcu wzrok od przepaści.

- Ojej! - westchnęli niemal jednym głosem.

- Picos de Europa - powiedział Jordi z uniesieniem. - Najwyższy i najdramatyczniejszy masyw Gór Kantabryjskich. Ta nazwa nie ma żadnego związku z naszą Europą, lecz z mitologiczną księżniczką, w której za - kochał się Zeus. Przeobraził się w białego byka i uprowadził ją. Podobno jeden ze szczytów ma wyobrażać właśnie tego byka.

Przed nimi rozpościerały się przedziwne formacje górskiego świata. Niektóre szczyty niby proste ostre kliny wyglądały tak, jakby ziemia wystrzeliła je ze swego wnętrza niczym rakiety, inne zaś, łagodnie zaokrąglone, sprawiały wrażenie, jakby toczyły się miękko i zatrzymały się akurat w tym miejscu jak gdyby przez przypadek Pionowe ściany wyrastały z niczego, pozornie zapomniawszy zabrać swej drugiej połowy z wnętrza ziemi. Zawieszono nisko słońce barwiło białe wapienne ściany złościście, gdzie indziej skały miały ponurą sino - szarą barwę. Tu i ówdzie pokrywały je płaty śniegu...

A wśród nich doliny, skryte teraz w cieniu. Głębokie rozpadliny, otwarte hale.

I nigdzie żadnego śladu człowieka.

- Wydaje mi się, że gdzieś tu powinno być kilka wiosek - powiedziała Juana niepewnie. - Ale nie w tym miejscu.

- No i są chyba ośrodki sportów zimowych? - spytał Antonio. - Hotele i tym podobne?

- O tak, oczywiście. Na przykład Fuente De. Ono leży gdzieś mniej więcej w tym kierunku - pokazała.

Bez względu na to gdzie mogło leżeć, i tak dzieliły ich od niego góry. Całościowe wrażenie przywodziło na myśl wyłącznie przytłaczającą pustkę i oczywiście niezwykłą wspaniałość. Te wrażenia bardzo często są ze sobą związane.

- Wydaje mi się, że tam widzę naszą równinę - powiedział Jordi, pokazując ukosem w dół. - Ale jak my tam zejdziemy?

Sissi próbowała coś obliczać.

- Powinno się udać, gdybyśmy zeszli kawałek w prawo. Tam stromizna trochę się obniża.

- Zdołamy zejść na dół, zanim zrobi się ciemno? - spytał Morten.

Popatrzyli na słońce.

- Tak, mamy jeszcze czas - stwierdził Antonio. Unni nagle zeszywniała, nasłuchując czegoś. Jordi patrzył na nią z niepokojem, Miguel także. Wszyscy troje w jednej chwili zrobili się czujni, postawieni w stan gotowości.

Zarena była we wspaniałej formie. Nareszcie otrzymała zadanie w pełni jej godne. Ach, móc rozprawić się z tą nieznośną Unni, umiejącą wyczuć jej obecność! Zniszczyć ją raz na zawsze!

Wspaniale!

To był rozkaz, a tego rodzaju rozkazy Zarena akceptowała z wielką przyjemnością.

Tym razem nie zamierzała występować w ludzkim przebraniu, to do niczego nieprzydatne. Nie mogła też pokazać się w całej swej demoniej okazałości, mogła natomiast być niewidzialna. Uderzyć lekko jak nic, a potem zaraz znów zniknąć. Wiedziała, że jest do tego zdolna.

Nikt niczego nie pojmie.

Aż zachichotała pod nosem.

Dowiedziała się, gdzie ich szukać. Obie grupy już si spotkały i wyruszyły w drogę przez góry.

Doskonale! Tym łatwiej ich znajdzie. Nie będzie musiała szukać wśród tłumów, zaglądać do domów, a najgorsze ze wszystkiego są przecież samochody.

Jej zleceniodawcy, mnisi, którzy z kolei otrzymywali rozkazy od tej jasnowłosej kobiety Emmy i jej bandy, przekazali Zarenie dokładne informacje. Miała nie interesować się grupą, która rozbiła obóz wysoko w wąwozie, gdyż to właśnie jest sama Emma ze swoim dworem. Trzeba szukać wyżej! Tamci są na samej górze, te nędzne gady, którym wydawało się, że mogą zniszczyć dzieło Wamby i mnichów w świętej dolinie, przekleństwo Wamby, które rzucił na to miejsce, na rycerzy, Urracę, na parę młodych ludzi i na wszystkich ich przeklętych potomków.

Urraca nie tylko pobłogosławiła dolinę i rzuciła na nią czar, lecz również ją przeklęła. Przeklęła Wambę tak, by nigdy nie mógł odnaleźć tej doliny. By na zawsze zapomnianą, gdzie leży.

Ogromnie to skomplikowane, ale o to niech już się tamci martwią.

Zadaniem Zareny było jedynie dokonanie morderstwa. Ta myśl bardzo ją ożywiła.

Uradowana wzbija się w powietrze i wykonała kilka eleganckich pętli.

Widok stąd miała wspaniały.

A oto droga prowadząca przez bardzo wąski wąwóz. Dwoje ludzi przy jakichś samochodach.

Nie ma się czym przejmować. Zabawnie byłoby trzasnąć ich ogonem, tak żeby się wywrócili, lecz Mistrz nie wyraził takich pragnień.

To musi być właściwy wąwóz.

Zarenie się nie spieszyło. Pełną piersią napawała się radością oczekiwania.

Aha, siedzą i leżą jacyś nędzni ludzie. Skuleni, widać nie jest im bardzo przyjemnie. Świetnie! To ta maruda, wiecznie niezadowolona Emma. Mnisi ją ubóstwiają. Zdaniem Zareny natomiast Emma miała zbyt wielkie i zbyt nudne wymagania, a poza tym była okropnie brzydka. Wszystkie kobiety są brzydkie. Wszystkie inne żeńskie demony również. Nikt nie mógł równać się z Zareną.

Znajdowała się teraz na płaskowyżu.

Tam! Tam są ci idioci, stoją na samej krawędzi przepaści. Jak można być aż tak głupim, przecież jedno jedyne uderzenie jej ogona wystarczyłoby, by wszystkich zmieść na dół.

Ale wtedy Mistrz mógłby się rozgniewać.

Zaraz, zaraz... Czarne włosy, niewysoka, kwadratowa. No, to mamy ją! To ta, co stoi najdalej od lewej. Wyśmienicie! Aż taka kwadratowa wcale nie jest, ale to pewnie ten jadowity język Emmy.

Miguel, gdzie on może być? Od tyłu są do siebie tacy podobni, on i ten przerażający Jordi. Tak, jest Miguel, najbardziej w prawo. Jeszcze lepiej, nawet nie zauważy, co robię.

Zarena zbliżyła się do grupy, wycelowała i zaatakowała tę przekłętą Unni, stojącą najdalej z lewej strony, aż biedaczka wyleciała w powietrze i zaczęła spadać w otchłań.

Pozbyła się teraz tej najbardziej niebezpiecznej!

Zatoczywszy triumfalny krąg w powietrzu, niewidzialna Zarena opuściła górski płaskowyż, a później całe Picos de Europa.

W uszach ludzi pozostał jedynie jej śmiech.

CZEŚĆ TRZECIA
TABRIS

Z krawędzi płaskowyzu poniósł się jednogłośny krzyk - Juana! Nie!

Dziewczęta zaczęły płakać, mężczyźni stali bezradni.

- Jak to się mogło stać? - zaczął Jordi nieszczęśliwy i sam sobie przerwał, wołając: - Miguelu, oszalałeś?

I znów wszyscy zaczęli krzyczeć, bo jeszcze jedno ciało pozęgłowało ku otchłani.

Jordi już zaczął wypatrywać możliwości jakiegoś zejścia w dół, lecz przecież tak czy owak w każdych okolicznościach na ratunek byłoby za późno.

- Spójrzcie! - krzyknęła nagle Sissi. - Co to się dzieje? Ach, Boże!

Patrzyli, nic nie rozumiejąc. Miguel gdzieś zniknął, a w dole na jego miejsce rozpostarła się nagle para olbrzymich skrzydeł i wielka, połyskująca zielono postać sfrunęła w dół, zanurkowała jak strzała tuż pod spadającą Juanę i pochwyciła ją w ramiona zaledwie na sekundę przed zetknięciem się z ziemią.

- Dobry Boże - szepnął Antonio.

- Spójrzcie na te skrzydła! - mruknął Morten, całkowicie wytracony z równowagi.

Stwór w dole, zataczając powolne kręgi, zaczął wznosić się w górę. Jego skrzydła rzeczywiście były niezwykle piękne. Olbrzymie, niebieskozielone, mieniące się jak macica perłowa różnymi odcieniami, wszystkimi kolorami tęczy. W miarę jak wznosił się coraz wyżej, zbliżał się do słonecznego światła, a gdy na skrzydła padły promienie słońca, rozświetliły się one bogactwem złocistości, od której dech zaparło im w piersiach.

- Czy on jest aniołem? - spytał Morten.

- Nie - odparł Jordi. - Niestety, nie. Ale...? Lśniaca postać była już blisko. Widzieli jej ciało i twarz.

- Oooch! - jęknął Morten. - Boże, dopomóż nam!

- Przecież on mimo wszystko ocalił Juanę - wtrąciła Unni. - Osobę, której nie znosi!

- Na pewno? - spytał Jordi tak cicho, że tylko Unni go usłyszała.

- Juana jest nieprzytomna - oznajmiła Sissi. - Pewnie zemdląca ze strachu.

- To nie jest wcale pewne - stwierdził Antonio. - Podczas upadku z tak wysoka zmiana ciśnienia powietrza może być na tyle duża, że człowiek traci przytomność przed zetknięciem z ziemią.

- Mam nadzieję, że właśnie tak było - westchnęła Unni. Straszliwa postać wylądowała w pewnym oddaleniu od nich i zaraz znów zmieniła się w Miguela. Jordi i Antonio,

nabrawszy głęboko powietrza w płuca, ruszyli mu na spotkanie. Pozostali poszli za nimi.

Jordi wziął na ręce Juane, która powoli zaczynała dochodzić do siebie.

- Dziękuję - powiedział Jordi krótko Miguelowi. - Rozumiemy, że to, co zrobiłeś, sporo cię kosztowało. Nie mamy teraz czasu na żadne tłumaczenia, bo trzeba teraz szukać jakiegoś schronienia przed wiatrem, zanim zrobi się całkiem ciemno. Ale myślę, że musimy sobie to i owo wyjaśnić.

Miguel nawet się nie skrzywił. Dziewczęta zajęły się Juana, która nic z tego nie mogła zrozumieć. Powiedziały jej tylko, że Miguel ją ocali i że teraz trzeba jak najprędzej wyruszyć w dalszą drogę. Podziękować mu mogła później.

Jeśli starczy jej odwagi, dodała w myślach Unni. Nie, wiadomo, czy tak będzie, gdy pozna prawdę. Przez głowę przeleciała jej diabelska myśl: Skoro Miguel złapał już Juane na dole, to mógł ją tam po prostu zostawić, ominęłoby ją wtedy całe długie i uciążliwe schodzenie w dół.

Oni jednak nie tam zmierzali, chcieli zejść bardziej na prawo, gdzie widać było równinę, o którą im chodzi. Tu, w dole, ciągnął się tylko kamienisty jar.

Jeszcze jedna dziwaczna myśl: Czy Miguel nie mógłby ich zanieść tam, na tę odległą równinę?

Ale nie, aż tak daleko Unni nie chciała się posuwać. To już zbyt niesamowite.

Lecz czy mogło być coś bardziej niesamowitego od tego, co przeżywali teraz?

W milczeniu, z trudem spuszczała się w dół w coraz szybciej zapadającej ciemności. Gdzieś tędy musiał prowadzić dawny trakt, lecz nie byli w stanie go odszukać. Dlatego musieli pokonać tak niewygodną drogę, kamienne bloki, zarośla, gwałtowne uskoki... Wszyscy jak tylko potrafili pomagali sobie nawzajem.

Poganiała ich ambicja, chociaż nikt nie wyraził tego na głos, wszyscy pragnęli jeszcze dziś dotrzeć do równiny, może nawet odnaleźć domostwo hycła.

I przez cały czas w ich myślach aż szumiało od tysiąca pytań i całych oceanów lęku.

Najspokojniejszy ze wszystkich był z pewnością Jordi. Od dawna już miał swoje podejrzenia wobec Miguela.

Śmiertelnie zmęczeni dotarli wprawdzie nie do samej równiny, lecz przynajmniej do bezwietrznej dolinki, w której znajdował się niewielki spłachetek poro¹ śnięty trawą. Brakowało im już sił, żeby przejść przez następne wzgórze, poza tym zrobiło się zbyt ciemno na dalszą wędrówkę.

W górach jesienią panował chłód. Rozglądali się w koło bezradni.

- Przydałaby nam się teraz Vesla ze swoimi papierosami - stwierdziła Unni,

szczękając zębami. - Moglibyśmy rozpałcić ognisko jej zapalniczką.

Miguel posłał spojrzenie Juanie, a potem odpowiedział Unni:

- Ognisko może dałoby się rozpałcić, jeśli zaakceptujecie, że ja...?

Nie dokończył zdania.

- Zamierzasz się przeobrazić? - spytała Unni bez ogródek.

- To nie jest potrzebne.

- A więc dobrze. Juano, musisz zaakceptować, że Miguel ma sporo dość niezwykłych talentów.

- Przecież doskonale wiem, że tak jest - odparła dziewczyna miękko.

- Wobec tego spróbujemy teraz nanosić drewna i przyszykujemy jedzenie.

Wkrótce ognisko już płonęło. Nikt nie zdążył zauważyć, w jaki sposób Miguel tego dokonał, nikt też go o nic nie pytał.

Zasiedli potem wokół ogniska, syci, z zarumienionymi twarzami, tylko w plecy było im chłodno.

- No cóż - stwierdził Jordi, obecnie najstarszy w grupie po odjeździe Pedra i Gudrun, nie licząc oczywiście Miguela, lecz jego nikt nie śmiał pytać o wiek. - Najwyższy chyba czas, żebyś nam coś wytłumaczył, Miguelu.

Ten westchnął ciężko.

- A co chcecie wiedzieć? Nie na wszystko mogę odpowiedzieć.

- Mam jedno pytanie - powiedziała Unni. - W dodatku do Juany. Jak to się stało, że spadłaś w przepaść? Przecież chyba nie skoczyłaś? Nie, nie, wcale tak nie pomyślałam. Ktoś cię popchnął?

- Tak, ale przecież nikogo tam nie było. - Owszem, był ktoś. I ja, i Jordi, i Miguel, wszyscy słyszeliśmy tuż przedtem trzepot skrzydeł. I poczułam ten charakterystyczny zapach, który ma ta tajemnicza kobieta. Ta, która przybierała imię Miranda, Claudia i nie wiem jeszcze jakie. Morten zaczerwienił się.

- Słyszeliśmy też złośliwy śmiech - wtrącił Jordi. Unni mówiła dalej:

- Miguelu, powiedziałeś kiedyś, że jesteś sam, ale skłamałeś, prawda?

- O czym wy mówicie? - zdenerwowała się Juana. Unni podniosła rękę, żeby ją uciszyć, lecz przez cały czas wyczekująco spoglądała na Miguela.

- Nie, nie kłamałem - odparł. - Jestem nadzwyczaj samotną istotą. Ale rzeczywiście jest nas dwoje, nie wolno mi tylko o niej wspominać. Teraz sama się ujawniła. Mieliśmy współpracować, ale nie wyszło. Ja jej nie znoszę.

- O czym wy mówicie? - powtórzyła Juana, coraz bardziej zrozpaczona.

Jordi odwrócił się do niej.

- Mieliliśmy dziś okazję oglądać coś bardzo dziwnego, Juano.

A potem opowiedział o jej upadku w przepaść i o akcji ratunkowej Miguela. O jego rozpostartych skrzydłach i olbrzymiej zielonej postaci.

Kiedy Juana po wielu protestach pojęła wreszcie, że nikt sobie z niej nie żartuje, skulona, z rękami zaplecionymi wokół kolan i ze spuszczoną głową, powiedziała do Miguela:

- Ocaliłeś mi życie i chętnie bym cię mocno uściskała, ale wiem, że tego nie chcesz. Powiem więc jedynie: dziękuję ci, przyjacielu. Bez względu na to, czym jesteś, to jesteś moim przyjacielem. A ja twoją.

- Przyjaciółką - dodała prędko Unni, gdyż inaczej słowa Juany mogłyby się wydać dwuznaczne.

Juana podniosła głowę.

- Ale co do jednego się mylicie. Straciłam przytomność już od tego uderzenia w głowę, nie czułam nawet, że spadam.

- Już wtedy? - zdumiał się Jordi - Coś mi tutaj nie pasuje.

- To ja mogę wyjaśnić - stwierdził Miguel. - Zarena, bo ona tak ma na imię, Zarena nienawidzi Unni. Nienawidzi jej dlatego, że Unni potrafi wyczuć jej obecność. Wielu jest takich, którzy nienawidzą Unni ze względu na jej niezwykłą zdolność spoglądania w to, co ukryte. Przy - puszczam, że Zarena chciała dopaść Unni, a wy obie, ty, Unni, i Juana, jesteście dość do siebie podobne, zwłaszcza z tyłu. Macie ciemne włosy tej samej długości...

- Ależ ja miałam jasnyniebieską chustkę na głowie - przerwała mu Unni, której nagle się to przypomniało. - Ojej, mam się poczuć dobrze czy źle z tego powodu że jestem obiektem takiej nienawiści? - Powinnaś uznać to za komplement - stwierdził Jordi - Biorąc pod uwagę, kto cię nienawidzi. No dobrze, Miguelu, ale teraz powiedz nam, kim jesteś. Wydaje mi się, że mamy prawo to wiedzieć. I dlaczego podążasz naszym śladem? !

Miguel przez długą chwilę milczał. Blask ogniska rzucał na jego twarz dziwaczne cienie, gdy Morten dołożył do ognia jeszcze kilka gałęzi.

- Przypuszczam, że rzeczywiście macie do tego prawo. Nie liczcie jednak na pełne wyjaśnienie. Nie wszystko wolno mi zdradzić. - Wstał, jak gdyby chciał ich powitać. - Jestem Tabris, demon szóstej godziny z klanu demonów Nuctemeron. Nuctemeron oznacza „noc rozświetlona przez dzień”. Jestem dżinem czy też duchem wolnej woli, jeśli wolicie takie określenie, i przybyłem tu, na ziemię, ponieważ mój Mistrz, tam w dole, w Ciemności, pragnie znać cel waszej wędrówki.

- A to dlaczego? - spytał Antonio. Miguel skierował spojrzenie na niego.

- Ponieważ Mistrz chce zniszczyć Urracę, która wykorzystywała swe magiczne zdolności w służbie dobra zamiast służyć jemu.

- Urraca jest naszą przyjaciółką, najsilniejszą opoką i ochroną!

- Wiem o tym. Mam jedynie swoje rozkazy. Usiadł z powrotem.

- A teraz pragnę poznać cel waszej podróży.

- A jeśli ci go zdradzimy, opuścisz nas? Chwila milczenia.

- Nie.

Jordi poczuł, że sytuacja się zakleszczyła.

- Kimże więc jest Zacena?

- Ona należy do najwyższej klasy demonów, złych i agresywnych.

- To znaczy, że ty nie jesteś zły? - spytała Sissi. Popatrzył na nią.

- Czasami. Gdy jestem do tego zmuszony. Wydaje mi się, że mieliście już okazję zobaczyć tego przykłady. Ale traktowałem was dobrze, prawda?

- Owszem - odparł Antonio. - A my ciebie.

- To prawda. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie było mi tak...

Nie dokończył.

Unni powiedziała cicho:

- Pomogłeś nam bardziej, niż to wiemy, prawda? Miguel odetchnął głęboko, z zamkniętymi ustami, przeciągle.

- Możliwe - odparł w końcu. - Ale ty i tak wiesz, Jego słowa stanowiły potwierdzenie niezwyklej pozycji Unni.

Ale Jordi również się czegoś domyślał.

- Na przykład w tej sali tortur inkwizycji? Do tej pory nie mogłem zrozumieć, jak udało nam się przeżyć!

Miguel przyznał cicho:

- Ale to za moją sprawą zabłądziliście. Juana długo mu się przyglądała, w końcu drżącymi wargami spytała:

- Wydaje mi się, że mnie również raz już pomogłeś. Uratowałeś mnie przed Zareną. I byłeś wtedy Tabrisem. Czy mam rację?

Miguel wsunął gałązkę w ognisko.

- Być może.

Juana spuściła wtedy głowę, bo po twarzy pociekły jej łzy Jordi zaczął się zbierać.

- Musimy się przespać. Nie wiem, jak to będzie możliwe w tym zimnie. Nie mamy więcej opału.

Rzeczywiście, był to problem. Nagle Miguel uniósł głowę.

- Co się stało? - spytali jednocześnie Jordi i Antoni - Ktoś jest w pobliżu.

- Chyba nie znów Zareną? - spytała Sissi, czując, ciarki przechodzą jej po plecach.

- Nie, to ludzie. Pozwolicie, że pójde to sprawdzi - Oczywiście. Wstał i odchodząc rzucił jeszcze:

- Zgaście ogień.

Natychmiast go posłuchali. Już w następnej chwili Miguel całkiem zniknął. Pozostali patrzyli na siebie, ale ich twarze nic nie wyrażały. Przysunęli się bliżej jeden drugiego.

Trzy dziewczyny siedziały oddzielnie, Juana pośrodku. Łzy nie przestawały płynąć jej z oczu.

- Tak bardzo go kochałam, a on... tylko... mnie nienawidzi. A teraz w ogóle znalazł się poza jakimkolwiek zasięgiem.

I Unni, i Sissi mocno ją objęły.

- On też cię kochał - stwierdziła Unni. - To dlatego cię nienawidził.

Juana, szlochając, musiała wytrzeć nos. A Sissi powiedziała:

- Wydaje mi się, że właśnie tobie zawdzięczamy jego łagodność.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak, ale nie mów mu tego, on sam o tym nie wie. Juana roześmiała się, lecz zabrzmiało to żałością. Sissi, przykładając czoło do jej czoła, powiedziała:

- Niezłe z nas trzech dziwaczki. Jedna zakochana w upiorze, druga w demonie, a trzecia w wariacie.

Wybuchnęły takim chichotem, że mężczyźni popatrzyli na nie ze zdziwieniem.

Potem nikt już nie powiedział ani słowa, dopóki Miguel nie wrócił. Nagle stanął przed nimi, a potem przykucnął.

- Emma z drużyną? - spytała Unni.

- Nie, oni są dalej. W wąwozie. Tam rozłożyli obóz. Nie, ci nadciągają od innej strony. Ale... kierują się tutaj. Mają latarki. I jest ich troje. Dwaj mężczyźni i kobieta. Nie znam ich.

- Czy jeden z mężczyzn jest wysoki i chudy?

- Tak.

Antonio zaciśniętą pięścią uderzył w ziemię.

- Skąd oni, u diabła, przez cały czas wszystko wiedzą?

- Ale co my teraz zrobimy? - pytała Juana z lękiem. - Jeśli oni tu przyjdą? Czy trzeba się będzie stąd przenieść? Mu - simy się przecież przespać, jestem śmiertelnie zmęczona.

- Ja także - przyznała Unni.

- No właśnie, moja kochana - rzekł Jordi z powagą. - Czy mądrze robimy, pozwalając ci kontynuować tę wy - prawę, w twoim stanie?

Unni prychnęła.

- To dopiero drugi miesiąc, o jakim więc stanie można mówić? Nic nie czuję, Antonio twierdzi, że jestem w świetnej formie. Dawno już rozwiązaliśmy tę zagadkę, zanim w ogóle coś będzie po mnie widać. To ci obiecuję.

Jordi przygarnął ją do siebie. Miguel powiedział z wahaniem:

- Jest pewien sposób, żeby rozwiązać oba problemy naraz. Chyba Juana wie, jaki.

A dziewczyna cieszyła się, że jest ciemno, bo na policzki wystąpił jej gwałtowny rumieniec, a przez ciało przeląła się fala gorąca.

- Chyba tak - wydusiła z siebie. - Miguel może się ukryć, może też ukryć nas, tak sądzę.

- I również was ogrzeję - dodał. - Muszę się jednak stać Tabrisem.

Popatrzyli na siebie. Czuli, że przekroczą teraz pewną granicę.

Czy się ośmielą? Demona Tabrisa widzieli jedynie z daleka, Juana zaś nie widziała go wcale.

- Dobrze - powiedział Jordi.

Mieli ze sobą kilka pledów. Miguel pożyczył dwa, żeby wyglądać przyzwoicie. Obwiązali go nim, tworząc w ten sposób całkiem niezłą przepaskę na biodrach.

Ponieważ było ciemno, nie musiał odchodzić zbyt daleko, lecz mimo to wszyscy odwrócili głowy na moment przeobrażenia.

Drgnęli, słysząc jego głos, gdy był gotowy. Ochrypli grubym głosem, niemożliwym do rozpoznania. Odwrócili się.

Tabris powoli wyłaniał się z mroku. Olbrzymi, lekko połyskujący na zielono, ze lśniąco skrzydłami, które powolutku zwiąjał.

Juana musiała złapać Antonia za rękę, jej palce pozostawiły głębokie ślady.

Wszyscy czuli się nieswojo. Właściwie bali się spojrzeć. Widzieli rogi, ostro zakończone uszy i kły, podłużne, zielono połyskujące oczy, twarz o mocno zarysowanych wystających kościach policzkowych i szpiczastej brodzie. Palce zakończone szponami, zarówno u rąk, jak i u stóp.

Ogon z trójkątnym czubkiem...

- Dzięki Bogu za tę przepaskę na biodrach - mruknęła Unni.

Ale nos Tabris miał zupełnie normalny, a ciało piękne. Szerokie barki, wąskie biodra. Gładkie napięte mięśnie brzucha. Połyskująca na zielono przypominająca rybią łuskę skóra wyglądała dziwnie, lecz pasowała do całości obrazu.

Niejedni poczuli, że ziemia się zakołysała na jego widok. Wreszcie Jordi odzyskał zdolność mowy:

- Ty świecisz! Oni chyba mogą cię zobaczyć?

- Dzieli nas niewielkie wzgórze - odparła ta niezwykła postać. - Możecie być spokojni, niczego nie zauważą.

- No a twoje skrzydła? Łagodnie mówiąc, rzucają się w oczy - westchnęła zatroskana Unni.

Ale Juana wiedziała lepiej.

- On potrafi pogasić te kolory i wtopić się w krajobraz. Widziałam go nad rzeką koło Oviedo.

Nie chciała zwracać się bezpośrednio do tej budzącej grozę istoty.

Antonio postanowił działać.

- W porządku, trzeba się pospieszyć. Co mamy robić, Migu... Przepraszam, Tabrisie?

Niedłgą chwilę później nikogo nie było już widać. Został tylko wielki, ostro zakończony kamienny blok. Tabris nakazał trzem mężczyznom położyć się albo usiąść na kocu z przodu przy jego nogach. Dziewczęta ułożyły się po jego bokach, a jedna za nim. Potem wokół nich wszystkich zamknęły się skrzydła. Unni ukradkiem przyciągnęła do siebie nogę, która znalazła się poza ich obrębem, starając się przy tym nie dotykać ogona Tabrisa.

W chwilę później pojawiło się ciepło, dobre, bezpieczne ciepło. Ożywcze dla zmarzniętych uszu, nosów i palców. W końcu zrobiło się tak gorąco, że Unni musiała poprosić Tabrisa o „przykręcenie kaloryfera”.

Juana rozrzucona myślała o tamtym razie, gdy siedziała pomiędzy kolanami Tabrisa. Była wtedy uśpiona, a potem sądziła, że to wszystko jedynie jej się przyśniło. Tak jednak wcale nie było. Wówczas czuła inne ciepło, bardziej duszne, bardziej naładowane uczuciami niż teraz. Wówczas ciepło to rozpałiło jej ciało, gdyż pochodziło od kogoś, kto sam zapłonął.

Odetchnęła drżąc i próbowała zasnąć. Chciała oddalić się od tych myśli, one były zbyt trudne, zbyt przykre.

Miguelu, dlaczego nie mogłeś być po prostu Miguelem? Wprawdzie trzymałeś mnie na dystans, chociaż teraz rozumiem, dlaczego to robiłeś. I to w pewnym sensie jest mi pociechą. Gorzką pociechą, przyznaję. Między nami i tak nigdy nic nie mogło być, i ty o tym wiedziałeś.

Antonio bardzo się niepokoił. W co oni się wdali? Jakim siłom rzucili wyzwanie, siłom, które w dodatku podlegały jeszcze potężniejszej władzy. Jak to się może skończyć?

Jordi podchodził do całej tej sytuacji ze znacznie większym spokojem, ale Morten aż szczełkał zębami ze strachu. Czuł, że ręka Sissi poszukuje jego dłoni, i uchwycił ją na wpół zdesperowany, domyślając się, że dziewczyna na pewno szuka pociechy. Udało mu się wmówić sobie, że to on doda jej otuchy, a nie odwrotnie.

Sissi uniosła głowę.

- Słyszę coś - szepnęła.

- Bądź cicho - ostrzegł Jordi.

Antonio czuł przytłumiony oddech olbrzymiego demona na swoim barku.

Potem wszyscy już to usłyszeli.

Głosy.

Bardzo proszę, niech oni tu nie przyjdą, błagała w myślach Unni. Co będzie, jeśli postanowią przenocować tu, na tej małej, spokojnej polance? Co wtedy zrobimy rano?

Ale nie, ci ludzie minęli ich w takiej odległości, że nikt nawet nie mógł zorientować się, o czym rozmawiają. Po pewnym czasie ich głosy pochłonęła noc.

Wszyscy myśleli o tym samym: Teraz wróg jest przed nami. W jaki sposób zdołamy go wyminąć?

Unni szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność pod skrzydłami demona.

Unni obudziło światło. Patrzyła w pogodne niebo. Trochę zmarzła. Usłyszała głosy i śmiechy, Usiadła gwałtownie. Sissi, Juana i Morten również już się budzili na swoich kocach. Morten zsunął się na suchy wrzos na ziemi.

Nieopodal na kamieniach siedzieli bracia Vargasowie, zajęci ożywioną rozmową z całkiem zwyczajnym Miguelem. Powitali ją wesołym „dzień dobry”.

Dzięki Bogu! Teraz wydawało się, że Tabris był jedynie złym snem.

Unni wstała i podeszła do nich.

- Dziękuję za miło spędzoną noc - powiedziała lekko do Miguela. - Od jak dawna nie śpicie?

- Zaledwie krótką chwilę. Obudziłem najpierw ich, żeby ułożyć jakiś plan - odparł.

- A my nie będziemy wtajemniczeni? - spytała, udając obrażoną.

- Rozmawialiśmy o tym, ile możecie znieść. To będzie ciężki dzień.

- A kiedy ostatnio było nam łatwo?

- No właśnie, dobre pytanie.

Miguel, gdy jego tajemnica została wreszcie odkryta, wpadł w o wiele lepszy humor. Potrafił nawet zdobyć się na uśmiech dla Juany, która przyszła, powłócząc nogami, zaspana i potargana.

- Przydałoby nam się trochę obmyć - stwierdziła Unni prędko.

- Tam, za tą skałą, jest strumyk. Świeża góraska woda, powiedziałbym, że bardzo orzeźwiająca.

- Świetnie! A do jakich wniosków doszliście, mądrale?

- Przeprowadziłem krótką wyprawę zwiadowczą - odparł Miguel. - Tych troje ludzi rozbiło obóz w sąsiedniej dolinie. Podążają w złym kierunku, ku równi - nie, na której stoją opuszczone domy. Sądzą widać, że w jednym z nich mieszkał hycel.

- A więc jednak mogą się mylić? - W głosie Jordiego zabrzmiała radość, niemal wręcz sadystyczna satysfakcja. - Na ogół jednak doskonale wiedzą, dokąd idziemy.

- Skąd wiesz, że oni źle idą? - zainteresował się Antonio.

Miguel odparł:

- Z góry wszystko widać o wiele lepiej. Momentami udawało mi się dostrzec dawny trakt, a on wcale nie prowadził w ich kierunku. Młody książę miał rację, wskazując, w którą stronę mamy iść.

- Ci troje - powiedział Morten, który również do nich dołączył. - Oni śledzą nas przez cały czas. Ciekaw jestem, jaka moc jest ich przewodnikiem.

- Zarena? - podsunął Antonio.

Miguel zastanowił się.

- Nie, to musi być coś innego.

- Na Boga, jeszcze jakieś duchy! - wykrzyknął Morten.

- Nie wiem - odparł Miguel. - W każdym razie to nie ja was zdradzam.

- To wiemy - powiedziała Unni ciepło i nie mogła powstrzymać się, żeby nie dodać: - Ty byś tak nie zmylił drogi.

Sissi też do nich przyszła.

- Dlaczego nie możesz zawsze być Miguelem? Cały aż się zatrzęsł.

- Ale przecież jesteś taki piękny - próbowała przekonywać go Unni.

- Mężczyzna nie może być piękny, bo wtedy jest słodki jak cukier. Może być przystojny, fajny, nieźle wyglądać - powiedział Antonio.

- Dobrze, dobrze, już wiem. I co powiesz, Miguelu, chcemy, żebyś zawsze był taki jak teraz. Źle ci z nami?

Wykrzywił się paskudnie.

- Najgorsza kara, jak może spotkać demona, to stać się śmiertelnikiem.

- A więc to możliwe? - zdziwił się Jordi.

- Owszem, ale bardzo za to dziękuję. Pomyśl tylko, utraciłbym wszystkie zdolności i musiałbym żyć, w ograniczonym czasie. Tak karze się tylko tych, którzy całkowicie złamią zasady i prawa obowiązujące w Ciemności.

- A ty tego nie zrobiłeś?

- Nie, jeszcze nie. - Popatrzył na nich ze złością. - I wcale też nie zamierzam tego robić. Pozwólcie mi być tym, kim jestem, bo inaczej obrócę się przeciwko wam.

Ustąpili. Czekali ich ciężki dzień.

Musieli pokonać kolejne wzniesienie, czy też raczej niewielki łańcuch górski, żeby zejść na właściwą równinę. I to właśnie była ta góra, co do której wcześniej zastanawiali się, czy wszyscy dadzą sobie z nią radę. Czekali ich poważna wspinaczka.

- Posłuchajcie - oświadczyła Sissi, osoba dość konkretna z natury. - Przecież tamci ludzie mieli konie, a konie nie mogą wspinać się po drzewach ani wędrować po przepaściach.

- Zastanawiałem się nad tym - odparł Miguel. - Ale ślady konnej drogi prowadzą rzeczywiście aż pod same góry i ciągną się po drugiej stronie.

- No to chodźmy tam - zaproponował Jordi. - Na pewno znajdziemy jakąś ścieżkę.

Albo może uda nam się obejść naokoło?

- Naokoło to będzie cholernie daleko - stwierdził Morten.

- Za daleko dla ciebie? - spytał zaraz Antonio. Morten zaczął się wykręcać.

- Nie, nie, jakoś dam radę.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że Morten ma problemy. Przecież minął zaledwie rok od czasu, gdy odniósł groźne dla życia obrażenia, kiedy Leon potracił go samochodem. Wcześniej nigdy tak daleko nie wędrowali, Morten zaś i tak niekiedy kulał, a twarz ściągał mu ból, choć do niczego nie chciał się przyznać.

Antonio wiedział, jak musi się czuć chłopak, bo i jego kolano również od czasu od czasu się odzywało. Niezbyt dokuczliwie, lecz istniała groźba, że stan może się pogorszyć, a Antonio bał się, że to zaledwie początek ich włóczędzy po świecie gór.

Szedł teraz razem z bratem.

- Co sądzisz o Mortenie, Jordi? Starszy brat westchnął.

- Nie wiem, martwię się o niego. Czy mamy go powstrzymać i kazać Sissi odprowadzić go z powrotem?

- Sissi jest nam potrzebna, to osoba ogromnie silna pod wieloma względami, a Morten jest jak sitowie na wietrze, i to nie tylko w kwestii sił fizycznych.

- Wiem o tym, ale przecież mamy za plecami Emmę i całą tę jej bandę. Jest też tych troje nieznajomych, no i mnisi oraz Zarena. Nie możemy pozwolić, żeby wracał sam.

- Nie, to by było czyste morderstwo.

Milczeli. Grupa dotarła teraz już niemal do samej skalnej ściany, która wznosiła się przed nimi pionowo, niemożliwa do przebycia. Obok nich płynęła rzeka, wyglądało jednak na to, że nie będą musieli się przez nią przeprawiać, wypływała bowiem z wnętrza góry, nieco bardziej na lewo.

Antonio jeszcze raz poruszył ten sam wątek.

- Nie moglibyśmy poprosić Miguela? Tabrisa?

Jordi zastanowił się.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy aż tak nadużywać jego cierpliwości. Jest dobrze, dopóki jest tak jak teraz, nie trzeba pogarszać sytuacji. Widziałeś wczoraj te jego zielone świecące oczy, zło nie tkwiło w nich głęboko.

- Zauważyłem, ale spójrz tylko, jak on spokojnie rozmawia teraz z Unni i Mortenem, a Juana, pomimo iż nieszczęśliwie zakochana, jest promienna jak słońce.

- O tak, nieszczęśliwa miłość potrafi być słodko - gorzkim doznaniem.

Antonio uśmiechnął się półgębkiem.

- Pomyśl, że wszystko skończyło się tak dobrze!
Ale szczęście nie trwało długo.

Dotarli do skalnej ściany. Pochodzili trochę tam i z powrotem, wypytywali Miguela o konny trakt, lecz z miejsca, w którym się teraz znajdowali, tak blisko skały, nie mógł stwierdzić nic z całą pewnością.

Jordi podniósł głowę i popatrzył na jasną wapienną ścianę.

- Zauważyłeś jakąś szczelinę w skale od góry? Miguel zastanowił się.

- Nie, tylko taką linię, jak gdyby pęknięcie, kreskę wąską jak ołówek. A o czym myślisz?

- Czy ona nie mogłaby się rozszerzać na dole?

- Wodospad - bystro zauważyła Sissi.

- Chodźmy tam - zdecydował Miguel.

Był to spory kawałek do przebycia, w dodatku po bardzo trudnym terenie. Usłyszeli, że Morten kilka razy jęknął.

W końcu jednak tam dotarli.

Znaleźli się tak blisko skały, że słońce przeświecało wprost przez wodospad, który spadał z góry nieco powyżej miejsca, w którym stali. Kropelki rozpryskiwanej wody tworzyły barwną tęczę.

- Gdyby udało nam się przejść przez wodospad - podsunął Antonio. - To być może...

- Nie wolno nam zapominać o koniach - mruknęła Juana.

- A może zostawiali je w tym miejscu? - zastanawiała się Unni.

Miguel jednak zaprotestował.

- Widziałem bitą drogę również po drugiej stronie tej góry.

Sissi i Jordi już przedzierali się przez spadające z góry strugi wody. Za chwilę zawołali:

- Tu w skale jest grotta!

- Dostatecznie duża, żeby zmieściły się w niej konie? - odkrzyknął Antonio.

Po rozejrzeniu się odpowiedzieli:

- Przynajmniej na razie tak.

Wrócili oboje, przemoczeni, ale szczęśliwi. Wszystkim wróciła otucha i chęć przeżycia przygody. Wbiegli do grotty, wydrążonej przez wodę już dawno temu, teraz jednak suchej. Wodospad wypływał z innego otworu, nieco wyżej i odrobinę z boku.

Byli szczerze uradowani.

- Dzięki temu będziemy mieć też spokój - śmiała się Unni. - Nikt nas nie zobaczy. Groty, groty! Dobrze, że nie ma z nami Flavii!

I właśnie wtedy Miguel znieruchomiał.

- Co się stało? - spytał Jordi. Miguel odetchnął głębiej.

- Muszę was opuścić, Zarena mnie wzywa. I jest wściekła. To akurat nie jest niczym nadzwyczajnym, ale widziała wczoraj mój lot i doniosła Mistrzowi.

Zapadła cisza.

- Wrócisz? - spytała Juana cicho. Popatrzył na nią i odparł:

- Nie wiem.

Unni podeszła do niego i lekko pocałowała go w policzek. Nie odniosła innego wrażenia, niż jakby całowała człowieka.

- Dziękujemy za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

Mamy szczerą nadzieję, że cię jeszcze zobaczymy.

Sissi zrobiła to samo, a Miguel wcale się nie cofnął. Nie uciekł nawet przed Juana. Położył jej lekko ręce na ramionach, ale prędko puścił. W tym geście nie brakowało życzliwości.

Antonio objął go i poklepał po plecach, a Unni przestraszyła się, że się zakurzy, tak się jednak nie stało. Jordi był bardziej formalny i zadowolił się uściskiem ręki i poklepaniem po ramieniu. Morten tylko podał mu rękę, wciąż jeszcze zbyt dobrze pamiętał Tabrisa.

- My chyba idziemy naprzód? - spytał Antonio.

- Tak, tak, idźcie - powiedział Miguel. - Na pewno was znajdę. We wnętrzu góry pozostaniecie bezpieczni, a jeśli grotą będzie ciągnęła się zaledwie kawałek dalej, to zaczekajcie na mnie do południa. Jeśli do tego czasu nie przyjdę, to znaczy, że nie wrócę wcale.

Uniósł potem rękę na pożegnanie i wyszedł z groty.

- Uf, teraz możemy odetchnąć - stwierdził Morten. Nikt mu nie odpowiedział, a Juana odwróciła się plecami.

Tabris wylądował w miejscu spotkania.

Dobrze będzie znów zobaczyć demona, nawet jeśli to jedynie ta okropna Zarena, pomyślał. Ach, ludzie, ludzie, oszaleję przez nich! Tacy są nudni, tacy zupełnie pozbawieni wyrazu!

Prawdą było jednak, że Tabris po raz pierwszy w swym długim życiu się bał. Mistrz nie był istotą, z którą można żartować, a Tabris zdawał sobie sprawę, że wielokrotnie już popełnił poważne wykroczenie.

Nagle jakaś siła popchnęła go w przód i wylądował na rękach. To Zarena nadciągnęła jak burza i zaatakowała go od tyłu. Poczł jej ostry zapach demona płci żeńskiej. Wcisnęła mu twarz w zeschnięte krzewinki, a potem ze złością syknęła przez zęby:

- Ty przeklęty idioto! Chcesz popsuć moje mistrzowskie dzieło? Miałam przecież zabić tę Unni...

Tabris był znacznie silniejszy od Zareny. Podniósł się więc prędko i zrzucił ją z siebie.

- To nie była Unni, tylko Juana, a Mistrz rozkazał, żeby doprowadzić ich do celu i dopiero potem się ich pozbyć. Kogo mam słuchać? Ciebie czy mego władcy?

Zarena skuliła się przed nim jak kot szykujący się do ataku.

- Mistrz dobrze wie, że nie masz zamiaru zabić żadnego z nich.

Tabris drgnął, lecz powiedział jedynie:

- Okłamałaś go.

- Poza tym wolno nam jest zniszczyć zbędnych lub niebezpiecznych członków grupy.

- Juana nie jest groźna. Nie jest też z pewnością zbędna. To ta osoba, która najwięcej wie na temat kraju.

- Ja mówię o Unni. Czy mogę poradzić coś na to, że wszyscy ci wstrętnei, głupi ludzie wyglądają tak samo? Nasi zleceniodawcy pragnęli się jej pozbyć, a ja wykonałam rozkaz. Nie miałaś prawa się w to włączać.

- A ty nie miałaś prawa donosić. W dodatku mam swoją wolną wolę. Nikt mi jej nie odbierze, bo ja jestem wolną wolą.

Zarena udawała, że go nie słyszy.

- A potem się ujawniłaś. I powiedziałaś o mnie. Tego Mistrz nie mógł znieść.

Do diaska, jakaż ona paskudna! Jaka obrzydliwie brzydka! Zupełnie już o tym zapomniał, a wiedział przecież, że sam wygląda niemal identycznie. Nic dziwnego, że wszyscy poprzedniego wieczora tak się wystraszyli.

Oczy Zareny zrobiły się wąskie i przebiegłe.

- A wiesz, co postanowił dla ciebie Mistrz? - syknęła triumfalnie. - Czeka cię zasłużona kara...

Gdy Tabris to usłyszał, wydał z siebie przenikliwy krzyk, jakby znalazł się w pułapce bez wyjścia. Skąła wokół niego zadrzała, a Zarena ze zdumienia aż zamrugęła. Cofnęła się, lecz Tabris już i tak jej dosięgnął. Chwycił ją za ręce i cisnął nią z całych sił o skalną ścianę. Rozległ się straszliwy łoskot. Zarena podniosła się niepewnie, z przerażeniem wpatrując się w Tabrisa, który w jednej chwili pociemniał jak noc. Jego skrzydła zrobiły się całkiem czarne, zielone oczy pały nienawiścią i rozpaczą.

Zarena wskoczyła na skalną półkę. Ziejąc wściekłością, wrzasnęła:

- Pamiętaj, Tabrisie, co powiedziałam! I pomyśl też, że utracisz te swoje wyjątkowe skrzydła. Tabris bez skrzydeł, kimże on wtedy będzie?

Nie powinna była drażnić go jeszcze bardziej. Tabris podfrunął do niej i pociągnął ją za sobą. Mocnymi uderzeniami połamał jej nasadę skrzydeł, a potem zrzucił w dół z wysokości co najmniej tak samo dużej, jak ta, która była przeznaczona dla Unni, lecz z której spadła Juana.

Kobieta - demon krzyczała jak szalona, spadając. Usiłowała bić skrzydłami, lecz one były bezsilne i każda próba poruszenia nimi sprawiała jej nieznośny ból.

Wiedziała, że w dole, w Ciemności, zdoła je naprawić, lecz powrót tam w takim stanie...

Z łoskotem, łamiąc każdą najdrobniejszą kosteczkę w ciele, upadła na ziemię.

Tabris nawet nie sprawdzał, co się z nią stało. Odleciał, pogrążony w głębokim żalu i rozpaczony nad własnym losem.

Wewnątrz góry panowała ciemność. Mieli wprawdzie przy sobie parę kieszonkowych latarek, lecz baterie mogły się w każdej chwili skończyć, starali się więc je oszczędzać. Jordi przygotował trzy pochodnie, które przez jakiś czas będą oświetlać im drogę. Na szczęście w jednym z plecaków znaleźli zapalki.

Poza tym momentami od góry wpadała do środka smuga światła. Jordi miał bowiem rację w swoich przypuszczeniach: szczelina, którą Tabris zobaczył z powietrza, rozszerzała się na dole. Góra była po prostu podzielona na dwoje długą rozpadliną, którą na dole wydrążyła woda, przemieniając w prawdziwą grootę.

Dostatecznie wysoką dla koni.

Zaczęli już nabierać pewności, że uda im się tędy przejść aż do końca.

- W takie miejsca nie powinien się zapuszczać nikt chory na klaustrofobię - stwierdziła Unni, spoglądając na nierówne ściany i sklepienie, na które blask pochodni rzucał niesamowite powykrzywiane cienie.

Rozdzielili bagaż i pochodnie najlepiej jak się dało. Unni odpowiedzialna była za wszystkie koce, które niosła na plecach, zwinięte i obwiązane rzemieniami.

Były momenty, kiedy od góry nie docierał nawet promyk światła.

- Powinno teraz padać - zawołała wesoło, a jej głos odbił się echem od ścian. - Ale oczywiście, kiedy chodzimy po ponurych grotach, na zewnątrz dzień musi być słoneczny.

- Czyż nie mieliśmy poczekać na Miguela? - spytała w pewnej chwili Juana z lękiem.

- Tylko w wypadku, jeśli grotka okazałaby się za krótka - odparł Jordi. - On nas

znajdzie.

Juana spojrzała na zegarek.

- Jest za kwadrans dwunasta - stwierdziła drżącym głosem.

Jordi nic na to nie powiedział. Sam się niepokoił. Wszystkim, z wyjątkiem Mortena, brakowało Miguela. A teraz, gdy wiedzieli, co umie Tabris...

Z pewnością jednak potrafił być również niebezpieczny, jeśli się go za bardzo rozdrażniło.

- Uważam, że był naprawdę przystojny - stwierdziła Unni - Zważywszy, że to demon.

- Ty chyba jesteś chora na umyśle! - wykrzyknął Morten. - Nigdy nie miałaś dobrze w głowie!

- I dzięki Bogu za to - skwitowała Unni ze śmiechem.

- Ja też uważam, że on miał swój styl - powiedziała Sissi nieco agresywnie. - Jak się już jest demonem, to trzeba nim być naprawdę.

Morten milczał. Często potykał się na nierównym kamiennym podłożu.

Nagle Jordi, który szedł przodem, niosąc pochodnię, gwałtownie się zatrzymał. Pozostali patrzyli, na co świecił. Był to niewielki kopczyk kości. Ludzkich kości. Dało się zauważyć czaszkę i żebra, lecz widać też było, że są one bardzo, bardzo stare.

- Z lat osiemdziesiątych piętnastego wieku? - spytała Unni cicho.

- Możliwe - odparł Antonio. - Tutaj się dobrze zachowały. Nie wydaje mi się, żeby od tamtej pory wielu ludzi chodziło tą drogą.

- Trudno zauważyć przejście przez wodospad - przyznała Sissi. - Ciekawe, jak to wygląda po drugiej stronie?

- Jeśli w ogóle tam dojdziemy - prorokował ponuro Antonio.

- Jak się czujesz, Mortenie? - spytał Jordi, chłopak bowiem dotarł do nich dopiero teraz. Pozostawał znacznie z tyłu.

- Czy nie możemy trochę odpocząć? Może coś zjemy?

- Chyba nie w tym miejscu. Ale masz rację, powinniśmy się posilić.

Juana znów spojrzała na zegarek. Za pięć dwunasta. Serce skurczyło jej się w piersi, a potem miała wrażenie, że osunęło się aż do stóp.

Może rozpadło się na pół, uśmiechnęła się lekko. Trzymała się blisko Unni i Sissi, które, jak wiedziała, dzieliły razem z nią tęsknotę za ludzkim Miguelem. To dotknięcie jego rąk na ramionach...

Więcej czułości nie potrzebowała. Tyle jej wystarczyło.

Przeszli jeszcze kawałek w głąb mrocznego tunelu. Jordi na szczęście zabrał ze sobą

kilka dodatkowych gałęzi i teraz odpalił nową pochodnię od starej.

- Tu jest więcej przestrzeni - powiedział. - Może się tutaj zatrzymamy.

Wszyscy stanęli i wtedy dały się słyszeć sunące korytarzem lekkie kroki.

- Zgaście pochodnie - szepnął Morten.

- Nie! - zaprotestował Jordi. - To idzie pojedynczy człowiek. Miguel.

Matko Najświętsza, spraw, żeby to był Miguel, modliła się Juana.

I to był Miguel. Powitali go serdecznie, lecz on miał na twarzy wyraz napięcia.

- Musimy iść dalej - oświadczył krótko. - Mnisi powiadomili Emmę. Ona już wie, którądy idziecie.

Zauważyli, że mówił „wy”, a nie „my”, jak wcześniej.

- Czy są już w grocie? - spytała Sissi.

- Jeszcze nie. Z wielkim trudem schodzą z płaskowyzu tą samą trudną drogą co wy, ale ciągle są jeszcze wysoko. To więc potrwa, ale kierują się na grocie.

- Przekłęci mnisi! - syknęła Unni. - Ach, gdybym mogła się rozprawić z tymi czterema ostatnimi.... donosicielami!

- Emmie i tak zostanie Zarena - przypomniał Miguel z ponurą miną. - Jest wprawdzie trochę opóźniona, ale Zarena jest gorsza od mnichów.

I przepelnia ją żądza zemsty, pomyślał, ale na głos nie powiedział nic.

- A tamtych troje nieznanych? - pytał Jordi. - To znaczy wiemy, że jest wśród nich Thore Andersen.

- Oni się wciąż oddalają. Wygląda na to, że kompletnie stracili orientację.

- Doskonale. Co się stało z tym ich fenomenalnym wyczuciem naszych śladów? - zdziwił się Antonio. - A co robi Zarena? Mówiłeś, że coś ją opóźniło.

Miguel spuścił głowę. Sprawiał wrażenie niezmiernie zmęczonego i wręcz przygnębionego. Powodem tego jednak nie była chyba Zarena.

- Niedługo już stąd wyjdziemy. Będziemy tu jeść? - spytał tylko.

Popatrzyli na niego ze zdumieniem. Na ogół nigdy nie interesowało go jedzenie. Zrobił się jakiś niepodobny do siebie. Nadszedł jakby kres jego przyjaznej ufności i gdy mówili do niego, wyraźnie starał się na nich nie patrzeć...

Ruszyli dalej w milczeniu.

Zatrzymali się, gdy zobaczyli nowy kopczyk kości, tym razem znacznie większy. Po drodze też rozsypanych było wiele szczątków ludzkich.

- Uf! - wzdygnęła się Sissi. - Czyżby odbyła się tu jakaś walka?

Jordi zwlekał z odpowiedzią.

- Mam swoje przypuszczenia - rzekł w końcu. - Wiecie, bardzo niewielu ludzi zna historię o pięciu czarnych rycerzach i gorzkim losie, jaki ich spotkał. Jeszcze mniej słyszało o wiosce ukrytej w dolinie, którą próbujemy teraz odnaleźć. Ale rycerze musieli mieć wielu pomocników. Tych, którzy wieźli skarb, rzemieślników, sam nie wiem. A ci ludzie oczywiście nie mogli biegać po kraju i rozprawiać o ukrytej wiosce ani plotkować o skarbie, a tym bardziej nie mogli podjąć próby zagarnięcia go dla siebie.

- Sądysz więc... że byli zabijani?

- Tak, tak właśnie myślę.

- Przez rycerzy?

- Z pewnością nie wszyscy, lecz ci ostatni tak Zapadła cisza. Nie w smak im było usłyszeć coś podobnego o szlachetnych rycerzach.

O swoich przodkach.

Wkrótce ujrzeni przed sobą światło dzienne i mogli zgasić pochodnię.

Wyjście zagradzały olbrzymie zarośla.

- Jak my się wydostaniemy? - spytał Morten niesłuchanie zmęczony. - Przecież nie mamy czym tego zrąbać!

- Próbujcie prześlizgnąć się blisko ściany - zaproponował Jordi. - One się przecież kiedyś muszą skończyć. I dobrze, że wejście nie jest widoczne od tej strony. Przecież musimy jeszcze wrócić!

Optymista, pomyślała Unni.

Okropnie podrapani i w podartych ubraniach wydostali się z zarośli. Jakie niezwykle wydało się ciepło słońca! Cudowne!

- Tam jest jakieś wzgórze - stwierdził Antonio. - Spróbujmy ze szczytu zobaczyć, co stamtąd widać, a potem usiądziemy po drugiej stronie i odpoczniemy.

- O, tak, świetnie - szepnął Morten cicho.

- Musimy oszczędzać jedzenie - ostrzegł Jordi. - Nie wiadomo, ile jeszcze dni zajmie nam wędrówka.

- Phi! Przecież jesteśmy już prawie u celu - stwierdził Morten.

- Tak ci się wydaje?

Dotarli do szczytu wzniesienia i przyjrzeni się wszystkiemu z góry. Przed nimi rozciągała się dość długa równina, końca jej nie widzieli, ponieważ szczyt niewielkiego wzgórza zasłaniał widok.

- Nie widzę żadnego wąwozu - stwierdziła Sissi.

- Miał być widoczny z domostwa hycła, czyż nie tak?

- A gdzie ono jest?

- No właśnie. Raczej na pewno już nie istnieje - stwierdził Jordi.

Antonio bacznie przyglądał się Unni.

- Co ci się stało? Dlaczego tak dziwnie reagujesz?

- To ta równina!

- Jaka równina?

- Ta, którą widziałam podczas wizji. Ta, którą jechali rycerze z Urracą, wioząc martwe królewskie dzieci.

- Na miłość boską, przecież ty mówiłaś o jakiejś niekończącej się podróży przez równiny z Leon na północ, o jakiejś wiosce i klasztorze.

- Tak, tak, ale to miejsce również widziałam. Na koniec, zanim wjechali w... No właśnie, w wąwóz.

Tę wiadomość musieli przez chwilę przetrwać.

- Widziałaś domostwo hycła? - spytała Juana. Unni zastanawiała się przez chwilę.

- Nie jestem pewna, lecz jeżeli tak, to musiało ono leżeć... - Pokazała palcem. - Tam! Gdzieś wśród wzgórz na wprost tego wzniesienia.

Jordi skierował tam wzrok.

- W takim razie był to doskonały punkt obserwacyjny na całą równinę, nie tylko na tę część.

Ku wielkiej uldze Mortena zeszli w dół i w końcu usiedli, żeby odpocząć i trochę się posilić. Morten wyciągnął się na kocu i jęknął żałośnie.

- Czy nie możemy tu dzisiaj zostać?

- Powinieneś być wrócić razem z Gudrun i Pedrem - powiedział poważnie Jordi. - Albo nawet z Flavią, to nie jest dla ciebie dobre.

- Dam sobie radę - odparł słabym głosem, ręką zasłaniając twarz.

Antonio dał mu tabletkę przeciwbólową i ukradkiem też jedną zażył.

- To cię nie wyleczy, ale może przynajmniej pomoże ci wytrzymać.

- Wszystko będzie dobrze - mruknął Morten niewyraźnie.

Jedzenie trochę mu pomogło, chociaż nie mogli najeść się do syta. Antonio wyciągnął z plecaka butelkę wina.

- Cudownie! - uradowała się Unni. Ale Jordi ją powstrzymał.

- To nie dla ciebie - powiedział ostrzegawczym tonem.

- Och, rzeczywiście, przepraszam - powiedziała Unni z żalem. - Kiedy się nie odczuwa żadnych symptomów, łatwo zapomnieć o tak zwanym błogosławionym stanie. Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy!

Zadowolili się wodą, ale uważała, że i tak jest dostatecznie smaczna.

Długi odpoczynek nie był im dany. Musieli iść dalej, Emma deptała im po piętach, a najlepiej byłoby, gdyby w ogóle ich nie zobaczyła.

Po wielu „czy” i „ale” i przy dużej pomocy ze strony mnichów Emmie i jej bandzie udało się wreszcie dotrzeć do wejścia do grotty.

Była zła i zirytowana z powodu zniszczonego ubrania i potarganych włosów, wściekała się też na mężczyzn, którzy jakby nie pojmowali, jak bardzo powinni się spieszyć.

- Szybciej, lenie! Ci nędznicy nie mogą położyć łapy na całym złocie, przecież ono należy do nas!

Mężczyźni trochę przyspieszyli. Przyświecali sobie latarkami, lecz tak niespokojnie, że wszystko zdawało się wirować.

- A więc znaleźli drogę przez górę - mamrotała Emma pod nosem. - Ktoś musiał im pomagać. A do czego właściwie przydał nam się ten męski demon, którego mnisi wciągnęli do współpracy? Ja go nawet nie widziałam!

Dotarli do pierwszego szkieletu.

Manuelito i Pepito natychmiast uderzyli w krzyk.

- Przecież to nic takiego! - wrzasnęła Emma. - Tylko jakiś trup!

Dwaj Hiszpanie przeżegnali się.

- To oznacza nieszczęście, nie wolno nam iść dalej!

- Nie wygłupiajcie się, spójrzcie tylko!

Emma czubkiem buta rozgarnęła żalosne szczątki. Tego jednak dla Manuelita i Pepita było już za wiele.

- Dosyć! - wrzasnęli i biegiem rzucili się z powrotem przez skalny korytarz.

- Wracajcie! - wołali za nimi Emma i Alonzo.

- Nigdy w życiu! Tyle okropności się za wami wlecze! Upiory, demony, a teraz jeszcze zwłoki, które nie spoczęły w poświęconej ziemi!

Zapadła cisza.

- No cóż - stwierdził po chwili Kenny cierpko. - Zostało nas tylko czworo. Tommy, ja, ty i Alonzo.

Emma starała się zapanować na gniewem.

- Tym lepiej! Więcej będzie dla nas! Chodźcie, dogonimy Unni i tę jej przekłętą bandę!

Jordi zatrzymał się. Dotarli już do szczytu wzniesienia, skąd mieli widok na przeciwległą stronę równiny.

- Czy nie jest możliwe, że tam, kawałek dalej, stał kiedyś jakiś dom?

- W każdym razie miejsce jest dobre - stwierdził Antonio. - Trawiasta polana, miejsce osłonięte od wiatru. Chodźmy tam! Nie, Mortenie, nie możemy teraz robić przerwy.

Zaledwie kilka minut później byli już na drugiej stronie i przyglądali się polance.

- Hm - zastanawiała się Unni. - Nigdzie nie widzę żadnych resztek domu, tylko trochę czarnej ziemi. Może to ślady pożaru, ale nie wiem.

- Ale to zagłębienie tam, wyżej, przy kamieniach, wygląda mi na malutką jaskinię - stwierdziła Sissi i zaraz pobiegła w górę zbocza.

Pozostali popatrzyli tylko po sobie, niemal oszołomieni pokazem takiej energii i tak świetnie wytrenowanego ciała. A przecież Sissi przez ostatni odcinek prawie ciągnęła Mortena!

Wolnym krokiem podążyli za nią.

Rzeczywiście, wyglądało to na kryjówkę czy też miejsce zabaw jakiegoś dziecka. Chłopca, tak przynajmniej należałoby sądzić po ułożeniu kamieni i prostych drewnianych sprzętach, które się jeszcze zachowały.

- Czy możemy przypuszczać, że to on zapisał te słowa, które znaleźliśmy w opactwie w Panes? - zachodził w głowę Antonio. - „Mój przybrany ojciec był najędzniejszym z nędznych... „, I że słowa księcia o „domostwie hycla” również dotyczyły tego miejsca? Juana odwróciła się.

- Spójrzcie, wszystko się zgadza! Tam dalej, na drugim końcu równiny, widać wejście do jakiegoś wąwozu.

A więc rzeczywiście odnaleźli domostwo hycla.

Uradowani zadzwonili zaraz do Vesli, do Pedra i Gudrun, Flavii, rodziców Unni, Jorna, Hassego, Nissego i Elia. W użyciu było jednocześnie kilka komórek, tak jakby wprost musieli poczuć, że mają kontakt ze światem. Tutaj było tak samotnie, tak nieskończenie daleko od wszystkiego. Musieli opowiedzieć, że udało im się zrobić ogromny krok naprzód.

- Okej - powiedział Jordi. - Idziemy dalej w stronę wąwozu.

Ale organizm Mortena odmówił posłuszeństwa.

- Ja już nie mam siły - wydusił z siebie. - Nie mogę iść dalej.

- Musisz. Chyba że wolisz zostać tutaj, w tej jaskini. Zostawimy ci prowiant i będziesz czekał z nadzieją, że wrócimy.

- Czy Sissi nie może mnie odprowadzić do ludzi?

- Sissi jest nam potrzebna. Ty również - uśmiechnął się Jordi łagodnie.

Morten tylko bezradnie pociągnął nosem. Jordi, nie bardzo wiedząc, co robić, zwrócił się do Miguela:

- Czy ty nie mógłbyś go zabrać z powrotem w jakieś zamieszkane okolice? Tak jak przeniosłeś Juanę?

Miguel od swego powrotu właściwie nie odzywał się ani słowem. Teraz też spoglądał na równinę.

- Nie mogę - odparł cicho. - Nie mogę użyć swoich skrzydeł. Żadnych ze swoich zdolności. Jestem teraz tylko bezradnym nikim, do niczego nie mogę się wam przydać, nie mogę wam nawet zagrozić. Na razie.

- Ale dlaczego? Co się stało?

Miguel zmęczonym ruchem potarł oczy. Chociaż słońce mocno świeciło, przez trawę przebiegł nagle jakiś zimny powiew. Unni, nie wiadomo dlaczego, po plecach przeszły ciarki.

Miguel stłumionym głosem powiedział:

- Poniosłem karę za to, że wam pomogłem.

Stali zdumieni i zakłopotani. Juana nie wiedziała, czy ma płakać, czy się cieszyć.

- Jaką karę? - spytał Jordi cicho.

- To was nie obchodzi.

- Owszem, Miguelu, interesuje nas twój los. Zwłaszcza jeżeli czemuś jesteśmy winni.

Popatrzył na nich i westchnął.

- Wiecie, że nie chcę stać się śmiertelnikiem. Zawsze właśnie tego najbardziej się obawiałem. A teraz nim jestem.

- Ach, nie! - jęknęła Unni, która potrafiła wczuć się w jego smutek. Wyraźnie było widać, że Jordi i Antonio również potrafią podzielać uczucia Miguela, natomiast Juanę przepełniła wielka nadzieja.

- Demon nie może żywić żadnych uczuć wobec innych - powiedział Miguel. - Nie wiem, ale musiałem się w tym nie sprawdzić, choć nie pojmuję, jak mogło do tego dojść. Ale nie pozostanę śmiertelnikiem na zawsze.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwiła się Sissi.

- Odzyskam egzystencję demona, jeżeli będę towarzyszyć wam aż do osiągnięcia celu...

- I co dalej? - ponaglił go Antonio, gdy Miguel milczał.

Miguel z trudem wypowiadał słowa.

- I kiedy uzyskam odpowiedź, o co w tym wszystkim chodzi, znów stanę się demonem. A wtedy pojmam Urracę dla mego Mistrza. Ona bowiem jest w to wmieszana i z pewnością tam będzie, a mój pan zmusi ją, by wstąpiła do niego na służbę.

- Ach, nie, tylko nie Urracę! - poprosili.

- A potem zabiję was wszystkich. Juanie dech zaparło w piersiach.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział Jordi. - Mnie zabić nie możesz.

Miguel popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem.

- To wcale nie będzie potrzebne. Ty jesteś tym bratem, który tam zostanie.

Nad tajemniczym wąwozem zebrały się ciężkie ołowianoszare chmury. Wejście przestało kusić.